Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr – 12 stron

Warszawa, 15 czerwca 1952 r.

Nr 24 (116) Rok III

W NUMERZE m. in.: **Witold Rudziński** — Stanisław Moniuszko, społecznik i patriota; **Stefan Świerzewski** — Nieznane listy Stanisława Moniuszki do Józefa Kraszewskiego; **Henryk Gaworski** — Moja miłość; **Jarosław Iwaszkiewicz** — Na jubileusz Zofii Nałkowskiej; **Zofia Nałkowska** — Na dawnym miejscu życia, Pięćdziesięciolecie; **Anna Kamieńska** — Pierwszy alarm; **Tadeusz Kubiak** — Trzy wiersze dla ciebie; **Tadeusz Fangrat** (opr.) — Węgierskie dyskusje o literaturze; **Hieronim Michalski** — Najmłodsze kadry; **Stanisław Wiechno** — Ścieżka; **Józef Jerzy Kwapis** — Ręce matki; **Stanisław Lubicz** — Gałązka bzu; **Bogusław Kogut** — Sprawa Floriana Dębicy; **Joanna Guze** — Książka o Leonardzie; **Ludwik Flaszen** — Niewyzyskana szansa; **Wacław Sadkowski (Rola)** — Dyskusja o najmłodszej poezji; **Józef Rurawski** — Trzy karty historii; **Stefania Beylin** — Film, który się podoba publiczności; **Julian Tuwim** — Nowe fraszki; **Antoni Słonimski** — Za mało i za dużo.

Kanał Wołga — Don

Panować nad przyrodą — to było zawsze marzeniem i celem człowieka. Zwyciężać, podporządkowywać sobie siły natury, aby służyły pożytkowi ludzkości, jej dobru i szczęściu. Nie pozwolić, aby ślepa ich moc obróciła się przeciwko życiu. Wyzwalany z przesądów i zacofania człowiek wydzierał naturze jeden sekret po drugim, po to by pomnożyć potęgę ludzką, uczynić życie piękniejszym, prostszym i szczęśliwszym. Ptakom odebrał skrzydła, wiatr zaprzągł do przewożenia ciężarów, piorun zmusił do oświetlania mieszkań, przesyłania słów prawdy i dźwięków muzyki. A niemal zawsze to, co miało służyć dobru czy szczęściu, jeśli nawet zostało wydarte przyrodzie, w społeczeństwie klasowym przypadało w udziale wrogom człowieka, kierowane zostawało w służbę zniszczenia, śmierci, ucisku. Piorun ożywił również krzesło elektryczne. Atom wyludnił Hiroszimę. Było też tak, że drogocenne siły przyrody — drzemały wśród pustyń i bagien nieznane, nieprzeczuwane, ślepe.

Tak jak wody Padu zalewają miasteczka i wsie włoskie, tak suche piaski wysuszały roślinność żyznych stepów nad Wołgą i Donem. Ale na ziemiach nadwołżańskich zdobył władzę lud pracujący. I dopiero w tej części świata, gdzie on sam zaczął decydować o swoich losach, gdzie w jego ręce wróciły nieprzebrane siły i skarby przyrody, dopiero tam człowiek zacząć mógł właściwie nimi rządzić.

Połączenie dwu wielkich rzek było od dawna marzeniem ludu rosyjskiego. Nawodnienie suchych stepów, przemiana ich w krainę kwitnących ogrodów, zawładnięcie klimatem i urodzajem, wszystko to stało się możliwością ludzi radzieckich. Socjalizm wyzwolił nieprzebrane zasoby energii i twórczej myśli narodów. Socjalizm stworzył potężną bazę techniczną, sprzęt, maszyny, metody pracy.

Ale przede wszystkim socjalizm skierował to wszystko w służbę wielkich pokojowych budowli, gdyż tylko w tym ustroju praca nad przysporzeniem dobrobytu i szczęścia obywateli jest najważniejszym i pierwszym zadaniem państwa.

W ciągu roku śledziliśmy z napięciem przebieg gigantycznej bitwy z przyrodą w ZSRR. Wkrótce po decyzji związania pięciu mórz, okalających europejską część Związku Radzieckiego w jeden węzeł dróg wodnych, fabryki całego kraju radzieckiego ogarnęła potężna fala pracy nad wyprodukowaniem odpowiedniej ilości narzędzi i maszyn. Kto szybciej, kto więcej? Da całego pokojowego przemysłu ZSRR to było pierwsze i najważniejsze zadanie. W ciągu dni i tygodni w stepy nadwołżańskie popłynęły sznury dźwigów, koparek, spychaczy. Pojawiły się maszyny - kolosy, jak potężne „koparki kroczące", za jednym zamachem załadowujące ziemią rzeczny statek. Pojawiły się maszyny - automaty, zastępujące pracę dziesiątek i setek ludzi. Stalowe łyżki rozorały czarną ziemię Donu. Sztuczne łożysko rzeki ryto na przestrzeni stu kilometrów równocześnie. W poprzek starego Donu, nad brzegami Wołgi, wzniesiono potężne zapory betonu i stali, zagradzając drogę strumieniom wód. Zepchnięte z odwiecznego szlaku nurty Donu rozlały się w olbrzymie morze Cymliańskie, pokrywając tysiące kilometrów suchych dotychczas stepów, zalśniły w pajęczej sieci nawadniających kanałów, niosąc życiodajną wilgoć przyszłym ogrodom. Nad brzegami zbiorników: Karpowskiego, Beresławskiego, Warwarowskiego wyrosły miasta, koleje, porty. Nie rosły same. Wydzierała je ziemi na mrozie i słocie, nocą i dniem uparta wola robotników radzieckich, ich entuzjazm i zapał. Wydzierały je potężne maszyny socjalistycznej techniki. Każdy sukces we współzawodnictwie pracy, każde zwielokrotnienie wysiłku to przyspieszenie terminu budowy, to rzucenie w stepy dońskie ogromnego siewu, który natychmiast obrodzi pszenicznym chlebem. Pierwszego lutego wody dońskie rozpoczęły swą podróż ku Wołdze. Stacje pomp tłoczyły je do zbiorników, ludność w okolicznych wsiach budził pierwszy plusk wody. 44 metry wzniosła się woda wzwyż. 24 maja została otwarta droga z działu wodnego na Wołdze. Strumień rzeczny pobiegł osiemdziesięcio-ośmio metrową drogą w dół, po stopniach potężnych śluz. Przegrzmiały pierwsze burze, przekwitły sady w kozackich stanicach. 31 maja o godzinie 13,55 złączyły się dwa strumienie dwu bratnich rzek rosyjskich. Dziś kanałem Wołga - Don płyną pasażerskie statki z Moskwy, berlinki ze sprzętem dla donbaskich hut.

Andrzej Braun

MIROSŁAW KOWALEWSKI

ROZMOWA Z MŁODYM INŻYNIEREM

Wyższa Szkoła Ekonomiczna Biblioteka Główna Łódź

Do przedziału zaglądał wczesny świt letni. Pociąg biegł wolno przez szerokie łąki, pokryte tu i ówdzie zaroślami, zostawiał za sobą wioski o chatach niskich, krytych słomą, czasami zadudnił po drewnianym moście lub minął niestrzeżony przejazd. Odległości między stacjami stawały się coraz większe, a stacje były małe i niepozorne.

Inżynier Dacewicz powoli otworzył oczy, po czym wstał, wyprostował się, podszedł do okna.

— Jeszcze dwie godziny — szepnął, spojrzawszy na zegarek. — Jeszcze tylko dwie godziny...

Ukryta głęboko, tłumiona obawa wypełzła znowu. Obawa przed pracą, jaką miał objąć, przed nowymi, nieznanymi warunkami życia na wschodnich krańcach Polski.

— Owszem — powiedział z uśmiechem inżynier Dacewicz — możecie i tak zacząć. Ale nie tylko obawę odczuwałem wówczas, gdym zbliżał się do wyznaczonego mi miejsca pracy. Nie tylko obawę, uczuciem, jakie we mnie nad innymi górowało, była niechęć, powstała już w pierwszej chwili, gdy tylko dowiedziałem się o moim przydziale. Niechęć zrodziła się z tego choćby, że nie ja sam sobie wybrałem miejsce pracy, że zostało mi ono narzucone — chociaż rozsądek zapytywał, kiedy to właściwie absolwent wyższej uczelni miał wolny wybór pracy? Czy może wtedy, gdy — przed wojną — chwytał się pierwszej lepszej posadki, jaka mu się szczęśliwie nadarzyła, nie bacząc, czy leży w zakresie jego specjalności? Niechęć moja zrodziła się i z tego, że musiałem jechać na prowincję — ja, który od szeregu lat byłem związany z wielkim miastem. Proszę zrozumieć: dla człowieka, przyzwyczajonego do tramwajów, gazu, kina, teatru i biblioteki, do środowiska wyższej uczelni — perspektywa kilkutysięcznego miasteczka na wschodzie Polski naprawdę nie jest nęcąca.

Młody inżynier począł mi jeszcze raz opowiadać o początku i dalszym przebiegu swej pracy, o czym zresztą już nieraz rozmawialiśmy. Dzisiaj z dawniejszych rozmów wyciągaliśmy także wnioski ogólne. Chodziło o zagadnienie zasadnicze dla naszego przemysłu: o napływ młodej inteligencji technicznej ze szkół różnych stopni do zakładów przemysłowych.

— Pierwsze zetknięcie się z zakładem, w którym miałem pracować, bynajmniej nie zmniejszyło owej niechęci, lecz nawet ją spotęgowało. W kilka godzin po przyjeździe, gdy załatwiłem już formalności w wydziale personalnym, przedstawiłem się dyrektorowi technicznemu. „Nareszcie — powiedział, podając mi rękę. — Spodziewaliśmy się kolegi już dawno. Robota czeka. W naszym podziale pracy ma kolega już przewidziane miejsce". Wiecie: skończyłem wydział chemiczny politechniki, jestem inżynierem-chemikiem. A cóż się tymczasem okazuje? Moje miejsce jest w dziale głównego mechanika. „Dlaczego? — pytam. — Co mam wspólnego z mechaniką?" Dyrektor tłumaczy: fabryka jest w trakcie poważnej rozbudowy. Rozszerza się produkcję, montuje nową aparaturę. Termin krótki, roboty aż nadto. A główny mechanik sam jeden. Trzeba mu pomóc: dopilnować niektórych odcinków pracy, prowadzić dziennik budowy, kalkulować zarobki akordowe, normować poszczególne czynności, nieobjęte ogólnie obowiązującymi normami. Zadanie dla chemika? Nie znałem zupełnie tych zagadnień, uczyłem się chemii organicznej i fizycznej, różnych technologii, analizy.

— Dzisiaj inaczej już na to patrzycie, inżynierze, prawda?

— Dzisiaj inaczej, w istocie. Dzięki takiej pracy, jaka została mi przydzielona, mogłem nabyć doświadczenia w sprawach, które inżynierowi — bez względu na rodzaj specjalności — nie mogą być obce. Wtedy nie chciałem tego zrozumieć i buntowałem się przeciw narzuconemu mi zakresowi obowiązków. A przecież nie tylko nabywałem doświadczenia: dzięki pracy przy montażu stykałem się bezpośrednio z załogą, poznawałem brygadzistów, rzemieślników i robotników; byłoby to niemożliwe, gdybym został skierowany do laboratorium, czego się ciągle domagałem.

Tu jednak zgodziliśmy się obaj z inżynierem Dacewiczem, że jego przykład nie jest w pełni charakterystyczny. W rzeczywistości fabryki kierują wielu absolwentów do pracy nieodpowiedniej, której nawet jako chwilowej praktyki nie można traktować i stwarzają od razu między absolwentem a fabryką zasadniczy konflikt. Rozmówca przytaczał mi przykłady młodych mechaników, których zaprzęgano do planowania — techników warsztatowych, których jedynym zajęciem było wypełnianie kart pracy — chemików, którym powierzano referat inwestycyjny. Przyczyny tego są rozliczne. Fabryki odczuwają na ogół brak inteligentów i nowym pracownikiem starają się zapełnić tę lukę, która jest w danej chwili najbardziej dotkliwa. Że przez to niewłaściwie wykorzystuje się czyjeś przygotowanie i wiadomości? — „Trudno — powiadają — w laboratorium poradzą sobie i bez was, a planowanie musi być wykonane, mamy ciągłe monity." Bywa i tak, że zakład pracy, zgłaszając zapotrzebowanie na absolwentów, nie liczy się z przyznanymi etatami. Dopiero gdy absolwent z przedmiotu korespondencji działów personalnych zmieni się w żywego człowieka, następuje konsternacja: co z nim zrobić? W dziale technicznym brak etatów, jedyne wolne miejsce jest w rachubie płac. Decyzja: absolwent będzie figurował jako starszy rachmistrz, a prowadzić będzie formalności inwestycyjne.

Czy sytuacje takie można uważać za regułę?

Nie. Bez wątpienia większość fabryk poważnie traktuje składane przez siebie zapotrzebowania na młodych fachowców i rezerwuje dla nich etaty. Wówczas przybyły absolwent nie czuje się kimś zbędnym, lecz przeciwnie — od razu nabiera przekonania, że jest fabryce potrzebny.

Wróciliśmy jeszcze do zagadnienia, poruszonego uprzednio przez inżyniera Dacewicza: do zagadnienia lęku przed prowincją. Musiałem przyznać memu rozmówcy, że niezależnie od wszelkich innych okoliczności sam fakt wyjazdu z dużego miasta na prowincję jest dla wielu młodych ludzi bolesny i z góry nastawia ich niechętnie do przyszłej pracy.

— My rozumiemy, że w Planie 6-letnim kładzie się nacisk na rozwój terenów zacofanych do tej pory gospodarczo. Mają powstać i już powstają nowe okręgi przemysłowe, a tam, gdzie do niedawna słychać było tylko żałosne porykiwanie chudego bydła, rozlegają się fabryczne syreny. Ale co innego to rozumieć, a co innego samemu jechać „w teren" i to nie dorywczo, a na stałe. Zerwać z dotychczasowym środowiskiem, wyrzec się teatru i koncertów, czasem i kina, pożegnać krąg znajomych — w zamian za co?

Tu właśnie zastanowiliśmy się. W zamian za co? Czy wyjazd na prowincję jest równoznaczny z wyrzeczeniem się wartości kulturalnych, czy też prowadzi raczej do pewnej ich zamiany?

Książkę mamy dziś wszędzie, głośnik radiowy zastępuje w pewnej mierze i salę koncertową, i teatralną. Ale nie o to nam chodziło. Inżynier Dacewicz wspomniał o swym koledze, który był wielkim miłośnikiem teatru.

— Obecnie siedzi w podobnej mieścinie, jak i ja — mówił — i jest duszą kółka amatorskiego, które ożywił i prowadzi. Udział w zespole świetlicowym nie daje tych samych wrażeń estetycznych, co oglądanie przedstawienia w zawodowym teatrze, ale i jedno, i drugie zaspokaja naszą potrzebę życia kulturalnego.

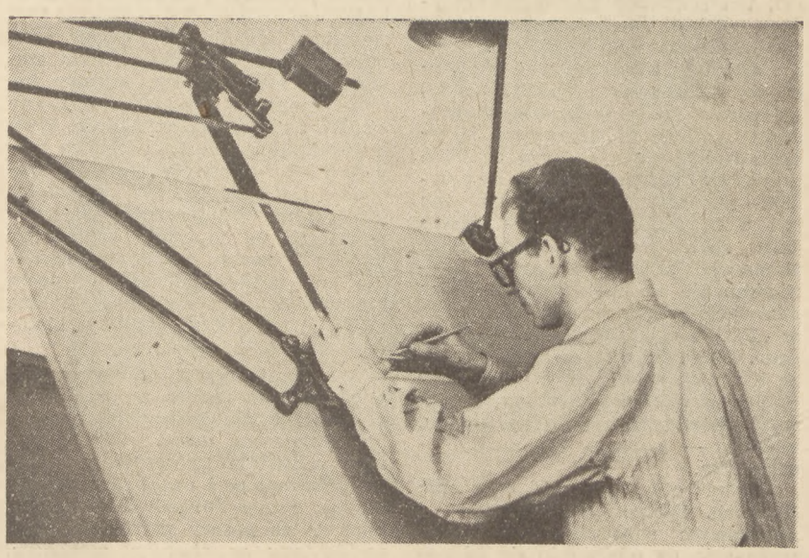

— Mój kolega — ciągnął inżynier — czuje się tam doskonale i pisał mi niedawno, że lęka się wprost przeniesienia do centrali, co jest prawdopodobne.

Odpowiedziałem, że widocznie nastąpiło już u niego pewne przestawienie psychiczne, że zżył się już ze swoim środowiskiem.

— Ba! — odparł żywo Dacewicz — o te dwie przecież chodzi rzeczy. Są one niełatwe do osiągnięcia, a zarazem konieczne, aby praca nasza była najbardziej wydajna i pożyteczna.

Wtrąciłem, że dla młodego absolwenta wszystko jest nowością: fabryka, robotnicy, praca w miejsce dotychczasowej nauki, owa prowincja wreszcie.

— Otóż nie — zaprzeczył inżynier — to nie jest nowością, a przynajmniej nie powinno nią być. Przecież każdy z nas wyjeżdżał w czasie nauki na praktykę. I jeśli mówić o zagadnieniu młodej inteligencji technicznej w terenie, to trzeba właśnie zacząć od praktyk wakacyjnych.

Zakład pracy, przyjmujący w okresie letnim praktykantów, wyznacza im opiekuna spośród swego personelu. Jeśli opiekun zorganizuje praktykę właściwie, to bardzo poważnie ułatwi studentowi jego późniejsze wciągnięcie się do produkcji. Praktyka nie może być traktowana wyłącznie pod fachowym kątem widzenia. Student musi poznać nie tylko swój zawód, ale życie zakładu pracy, jego codzienne problemy, działalność Rady Zakładowej, organizacji społecznych i politycznych, musi wziąć udział w wyjazdach ekip łączności ze wsią, zetknąć się ze świetlicą i klubem sportowym, być na masówce, na naradzie produkcyjnej, wziąć udział w zobowiązaniach załogi. Jeśli jako praktykant tak zbliży się do fabryki, to jako absolwent nie będzie bał się w niej pracować, a każdą załogę powita jak dobrych znajomych.

Żeby praktykant wżył się w zakład pracy, w którym przebywa miesiąc lub dwa, musi być otoczony troskliwą opieką nie tylko swego urzędowego opiekuna, ale wszystkich instancji, które mają coś do powiedzenia w fabryce, przede wszystkim więc Partii i Rady Zakładowej. Opieka ta jest również konieczna w odniesieniu do absolwenta, do młodego inżyniera czy technika, rozpoczynającego swą drogę zawodową. Bywa z tym różnie. Czasem spotyka się zupełną obojętność w stosunku do młodych kadr i brak zainteresowania. Czasem zaś jest przeciwnie: zarówno Podstawowa Organizacja jak i Rada Zakładowa zaczynają „interesować się" młodym inteligentem na wszelkie sposoby. Wyjazd w teren? — on. Referat? — on. Do Komitetu, do Komisji, na odprawę, wykłady na szkoleniu — on i on. Jest to objaw na tyle często krytykowany, że nie ma potrzeby udowadniać jego szkodliwości.

Prawdziwa opieka nad absolwentami jest zjawiskiem rzadkim. Czasem sprowadza się tylko do zapewnienia, szczególnie w okresie początkowym, znośnych warunków bytowych, a to nie jest jedyne zagadnienie.

— Aczkolwiek bardzo ważne — powiedział inżynier Dacewicz. — Właściwe warunki bytowe są jedną z podstaw dobrej pracy i dobrego kształtowania się naszego współżycia z fabryką i jej kierownictwem. Znam taki wypadek: młody technik, żonaty, zaczyna pracę. Od razu w pierwszej rozmowie z dyrektorem stawia żądanie natychmiastowego przydziału mieszkania. Fabryka wówczas nie dysponowała wolnym mieszkaniem, on tego nie chciał zrozumieć i tak rozpoczął się spór długi, niepotrzebny, który z miejsca zadrażnił stosunki między młodym absolwentem a jego przełożonymi. Potem wolne mieszkanie nawet było, w następstwie sporów zostało jednak przydzielone komuś innemu, sprawa oparła się aż o Centralny Zarząd. O ile wiem, technik wyrobił sobie przeniesienie do innej fabryki, nie mogąc pracować w ustawicznym zatargu z dyrektorem. On ma niepotrzebne kłopoty, fabryka traci zdolnego fachowca. A przy dobrej woli obu stron jakże łatwo było uniknąć wszystkich nieporozumień.

Nie wystarczy, jeśli opieka nad młodą inteligencją ograniczy się tylko do strony bytowej. Musi być ona wszechstronna. Jeśli absolwent zachowa się niewłaściwie w życiu prywatnym, jeśli wpadnie w złe towarzystwo, zaczyna zaglądać do kieliszka, łamie dyscyplinę pracy — musi się znaleźć ktoś do tego powołany, aby go zganić. Jeśli się poprawi — niech go ktoś pochwali. Musi mieć także zapewnioną i pomoc w zakresie fachowym.

— Mój proces wżywania się w nowe środowisko — opowiadał inżynier Dacewicz — przebiegał dlatego stosunkowo łatwo, że opiekę taką miałem. Skierowany do pracy, do której — jak mówiłem — nie miałem ani właściwego przygotowania, ani, co ważniejsza, ochoty, czułem stałą pomoc głównego mechanika. Cierpliwie wyjaśniał mi zagadnienia fachowe, podsuwał podręczniki, pomagał w obliczaniu norm i akordów. Dyrektor i Rada Zakładowa interesowali się, jak mieszkam, czy jestem zadowolony ze stołówki, czy nie mam jakichś potrzeb, które byliby w stanie zaspokoić. Pamiętam, że pokój, w którym mieszkałem, miał bardzo hałaśliwe sąsiedztwo. Parokrotnie rozmawiałem o tym z hotelowym, lecz bezskutecznie. Zwróciłem się wreszcie do Rady Zakładowej i oto znalazło się wyjście. Dla mnie nie było w istocie innego pokoju, lecz przeniesiono moich sąsiadów, a na ich miejsce przyszli spokojniejsi lokatorzy. Powiecie, że to jest drobny szczegół? Tak, to może drobiazg, ale powiem wam, że od owej chwili zacząłem jakoś inaczej patrzeć na naszą fabrykę. Właśnie od owej chwili przestała mi się ona wydawać wrogą instytucją, a coraz bardziej widziałem w niej mój własny, macierzysty zakład pracy.

— W procesie wżywania się w nowe środowisko — ciągnął inżynier — niemałą rolę odegrała okoliczność, że należę do ZMP. Tu musimy przyjąć za regułę: zetempowiec lub członek Partii łatwiej wciągnie się w obcy mu dotąd rytm produkcji. Nie jest sam: od początku czuje się zespolony z pewnym kolektywem, który z kolei stanowi cząstkę załogi fabrycznej. Byłem niechętnie usposobiony do fabryki, tak, ale byłem zarazem — z najgłębszego przecież przekonania — członkiem Koła ZMP przy tejże fabryce.

Inżynier Dacewicz mówił już o swoim zespalaniu się z załogą fabryczną. Zaczęliśmy uogólniać rozmowę, zrobiliśmy rodzaj podsumowania tego, co zostało już powiedziane. A więc: młoda inteligencja techniczna, kończąca studia, kierowana jest w teren, do rozlicznych zakładów pracy. Jedzie tam niechętnie: boi się prowincji, boi się nieraz bezpośredniego udziału w produkcji. Zdarza się często, że okoliczności na miejscu pracy niechęć tę jeszcze pogłębiają. Zdarza się niewłaściwy przydział pracy, złe warunki bytowe, brak opieki ze strony kierownictwa fabryki i czynników społecznych, brak rozrywek kulturalnych w dotychczasowej ich formie. Pomimo jednak, że zawsze któraś z tych okoliczności występuje, przeważająca część młodzieży po dłuższym lub krótszym czasie wżywa się w nowe otoczenie i daje coraz poważniejszy wkład w rozwój produkcji.

— Czy myślicie, że następuje tu zazwyczaj jakiś przełom? — zapytałem. — Czy może jakieś czynniki specjalnie ten proces przyśpieszają?

— To sprawa indywidualna — odparł inżynier. — Myślę, że dużą rolę odgrywa tu współzawodnictwo. Nie osobiste, gdyż rodzaj pracy takiego młodego inżyniera czy technika nie zawsze mu pozwala na branie osobistego udziału w współzawodnictwie. Ale przypatrywanie się temu ruchowi z bliska i współdziałanie z nim bardzo dużo znaczy. Znało go się zaledwie z gazety, a tu mamy obok siebie, nieraz w podległym nam dziale, współzawodniczące brygady. Starają się o lepsze wyniki, walczą, rywalizują, osiągają — bywa — po pareset procent normy. Jakże tu pozostać samemu z dala od tego? To zmusza i nas do wydajniejszej pracy. Zdarza się często, że nam właśnie powierzana jest strona techniczna prowadzenia współzawodnictwa: obliczanie punktacji, wyników i miejsc — szczególnie w zakładach mniejszych, gdzie nie ma wyodrębnionych komórek współzawodnictwa. Wielkie znaczenie mają zobowiązania załogi z racji świąt i rocznic, a w zobowiązaniach tych uczestniczymy już zazwyczaj osobiście. To nas bardzo do załóg zbliża, włącza nas w nurt życia fabrycznego. Podobnie przedstawia się sprawa z ruchem racjonalizatorskim. Ja właśnie — ciągnął Dacewicz — zostałem wyznaczony opiekunem Klubu Racjonalizacji i Techniki. Przez blisko pół roku nie przejawialiśmy

(Dokończenie na str. 8-ej)

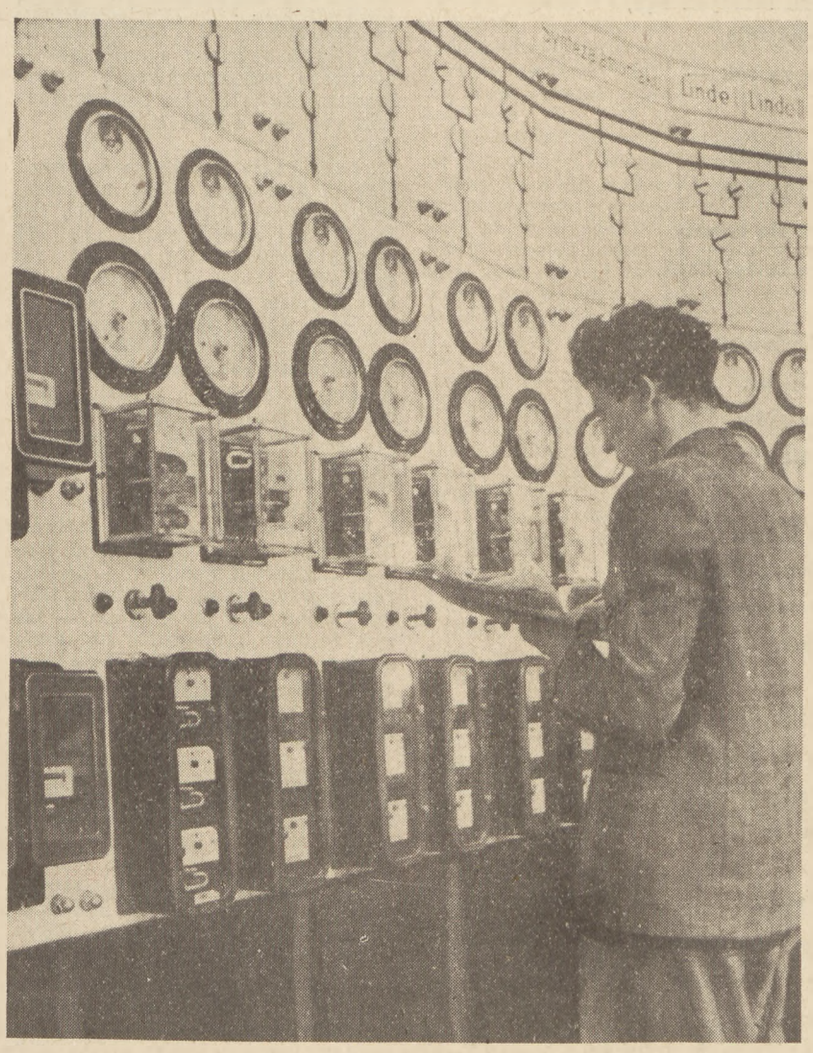

WITOLD RUDZIŃSKI

Stanisław Moniuszko — społecznik i patriota

Moniuszko nie miał szczęścia do polskiej muzykografii *) — napisano w r. 1873, w rok po śmierci Moniuszki, jedną ciekawą monografię (autorem jej był Aleksander Walicki), a potem przez długie lata ograniczano się do mniej lub więcej obszernych studiów i przyczynków, nieustannie odkładając zaszczyt, ale i trud ujęcia całości dla jakiegoś przyszłego biografa. Tymczasem oczywiście, w miarę jak upływały lata — gubiły się po trochu materiały — najważniejsze zaś — zatracała się tradycja ustna, umierali ludzie, którzy Moniuszkę znali osobiście od dzieciństwa lub młodości. Toteż gdy w r. 1923 Opieński publikował swoją bardzo sumienną monografię — natknął się na wiele luk i braków w materiałach. Dzisiaj zadanie to jest jeszcze bardziej trudne, a dochodzi również sprawa sprawdzenia faktów i opinii, rozsianych w tym chaosie.

A właśnie opinie były najczęściej krzywdzące. Polska krytyka muzyczna nie umiała sobie dać rady z zestawieniem dwóch wielkich postaci muzycznych w wieku XIX — Chopina i Moniuszki. Za wszelką cenę chciano wyważyć na jakiejś jednej dokładnej wadze wielkość tych dwóch postaci — tak jakby np. Niemcy mieli jakikolwiek kłopot z właściwym ustawieniem takich nazwisk jak Bach i Schubert; przecież współistnienie tak różnych niewątpliwie zjawisk jak Chopin i Moniuszko — to tylko wyraz bogactwa naszej muzycznej kultury narodowej! Zaznaczamy nawiasem, że Moniuszko sam doskonale umiał tę różnicę określić.

Trzeba jednak podkreślić, że w naszej literaturze moniuszkowskiej dwóch autorów — Walicki i Opieński, zwróciło uwagę na społeczny charakter twórczości Moniuszki, na nurt demokratyczny i postępowy, z którym był związany życiem i dziełem. Poza nimi (z tym, że Opieński wielu zasadniczych rzeczy już nie potrafił dostrzec) — szalała w naszej muzykografii reakcyjna „nauka"; doprowadzała ona niekiedy do takich wyskoków, jak np. wypowiedź Niewiadomskiego, endeckiego krytyka muzycznego (zasłużonego poza tym kompozytora-pieśniarza), który miał za złe Moniuszce, że w „Halce" poszedł za daleko w krytyce szlachty. Inni nie dostrzegali po prostu zagadnienia — rozdmuchując do niebywałych rozmiarów stronę religijną twórczości Moniuszki — niewątpliwie dosyć bogatą i szczerą, ale wcale nie najważniejszą właśnie z punktu widzenia roli, jaką w kulturze muzycznej Polski Moniuszko spełnił i nadal spełnia.

Trzeba sobie dobrze uświadomić, jakie środowisko kształtowało Moniuszkę. Mówi się zwykle, że pochodził ze szlachty i cała jego muzyka przepojona jest duchem dworków, folwarków, hreczkosiejów, szlagonów, wartogłowów, obżartuchów, okrutników, wyzyskiwaczy. To właśnie jest nieprawda. Otoczenie Moniuszki — to światli, wykształceni ludzie — wychowankowie oświecenia, szerzonego przez Uniwersytet Wileński. Stryjowie, wśród których Moniuszko (ur. w r. 1819) się wychował, układali petycje w sprawie wyzwolenia chłopów, zajmowali się oświatą ludu; jeden z nich, Dominik Moniuszko, podzielił swój majątek pomiędzy chłopów, osadził ich na samodzielnych folwarkach, założył dla nich szkoły; eksperyment jego upadł, po wizytacji z Petersburga, która najpierw pochwaliła jego szkoły, opisała je w „Tygodniku Petersburskim" —a potem kazała je zamknąć. Odtąd Moniuszko przyswoił sobie marzenie stryjów o Polsce nie tylko wolnej, ale i sprawiedliwej. U Moniuszki wyraziło się ono w stałej emocjonalnej gotowości do podejmowania ostrych tematów społecznych w twórczości.

Wykształcenie muzyczne Moniuszko otrzymał (a przynajmniej zakończył i pogłębił) w Berlinie — wśród Niemców, którzy nie tak dawno serdecznie witali rozbitków powstania listopadowego. Nauczył się tam nie tylko sztuki kompozytorskiej, ale także umiejętności służenia swoją sztuką społeczeństwu. Od razu na początku swojej samodzielnej działalności postawił Moniuszko przed sobą zadanie stworzenia narodowego, głęboko związanego z twórczością ludową repertuaru pieśniarskiego. Tak powstał niezmiernie interesujący program (opublikowany w specjalnym prospekcie), a po nim „Śpiewnik domowy" wydawany zeszytami. Pieśni z tego zbioru zdobyły całą ówczesną Polskę, szybko przeniknęły do wszystkich warstw społeczeństwa — niejedna z nich została przyswojona przez lud wiejski i jest śpiewana narówni z własnymi pieśniami.

Moniuszko zawsze poczuwał się do działalności społecznej — planował swoją twórczość uwzględniając potrzeby społeczeństwa zgodnie z temperamentem urodzonego wokalisty poświęcając ją przede wszystkim najbardziej mobilizującym dziedzinom — pieśni i operze; organizował orkiestry i chóry, przychodził z pomocą wszelkiemu zdrowemu, postępowemu ruchowi, nie tylko muzycznemu, ale artystycznemu i kulturalnemu w ogóle. Jego dom w Wilnie był przez długie lata punktem oparcia dla wszystkich artystów, organizujących tam koncerty, w korespondencji znajdziemy wiele śladów czynnego poparcia, jakiego udzielał każdemu twórczemu, wzbogającemu kulturę polską poczynaniu.

Z życiem narodu wiązał się Moniuszko głęboko w najbardziej niesprzyjającym okresie — pomiędzy dwoma powstaniami — służył mu swoją natchnioną muzyką, mobilizował operą, podtrzymywał na duchu pieśniami. Gdy tylko okoliczności na to pozwoliły — przeniósł się do Warszawy; między innymi uczynił to dlatego, że w Wilnie nie mógłby kształcić swoich dzieci po polsku.

Dbał o wzrost polskiej kultury muzycznej — wprowadzał na swoich koncertach wielki repertuar światowy, popierał najwybitniejszych wirtuozów, z największą troskliwością szerzył kult muzyki Chopina, z uszczerbkiem dla własnych zajęć wykładał przez pewien czas w Instytucie Muzycznym.

Warto zwrócić uwagę na to, że wielka twórczość operowa Moniuszki prawie bez wyjątku obraca się wokół zagadnień społecznych. Gdy w r. 1846 nieudane powstanie kończy się rabacją chłopską — Moniuszko podejmuje pracę nad „Halką". Był to świadomy komentarz twórcy do tych wypadków, wskazanie na odpowiedzialność szlachty za sytuację narodową. Walicki, pierwszy biograf Moniuszki, zwraca uwagę na to, że „Halka" powstała świeżo pod wrażeniem wypadków 1846 roku". Na fakt ten przez osiemdziesiąt lat nie zwrócono żadnej uwagi, co wystarczająco charakteryzuje muzykografię moniuszkowską. Opieński, ten sumienny niewątpliwie badacz, wyraża nawet ubolewania, że rabacja miała miejsce właśnie wtedy, gdy losy nieszczęśliwej, skrzywdzonej przez panicza, podhalańskiej dziewczyny dały polot najpiękniejszym momentom lirycznego i tęskno-dramatycznego natchnienia polskiemu kompozytorowi! A przecież temat krzywdy społecznej nie był u Moniuszki nowy — jeszcze jako siedemnastoletni młodzieniec tłumaczył „Parię" Delavigne'a — zagadnienie to nurtowało go przez całe życie — ukoronował je właśnie w „Parii", ostatniej z jego wielkich oper. Znalazła w tym wyraz myśl, że krzywda społeczna wszędzie jest jednakowa, a walka o sprawiedliwość obowiązkiem każdego narodu, każdego — godnego tej nazwy — człowieka.

„Halka" otworzyła cykl oper społecznych. Społecznym bowiem — i narodowym zagadnieniem — było wskazanie na oderwanie się od narodu, sprzeniewierzenie się jego tradycjom, wyobcowanie się ze swego społeczeństwa — jak to miało miejsce w „Hrabinie"; społecznym zagadnieniem było ukazanie trosk, bólów i radości ludu we „Flisie"; gdy po ciężkich klęskach powstania styczniowego sięga Moniuszko do tematu historycznego — „Strasznego dworu" — i wtedy nie zapomina o sprawie chłopskiej — młodzi bohaterowie, wracający z pola walki powtarzają sobie, że powinni okazywać ludowi serce i roztaczać nad nim opiekę. Ta społeczna linia wielkiej twórczości nie jest przypadkiem — tematy te Moniuszko wybierał sam, podobnie jak wybierał librecistów, którzy takie tematy mogli należycie wyrazić.

Z biegiem czasu zauważył Moniuszko, że tak pojęty patriotyzm — walka o wielkość kultury narodowej, o wolność polityczną i społeczną jest dążeniem postępowych ludzi nie tylko w Polsce. Z takimi ludźmi w innych krajach — w Rosji, Czechach, Niemczech — szybko potrafił się porozumieć i zaprzyjaźnić. Stąd bliska jego zażyłość z Dargomyżskim, przyjazne stosunki z Glinką, Sierowem, nie mówiąc o Cezarze Cui, który był jego wychowankiem. Już za życia Moniuszki widać było, że jego twórczość operowa jest bliska wszystkim narodom słowiańskim. Gdy w Niemczech do głosu doszli nacjonaliści — Moniuszko traktuje już swoją twórczość nie tylko jako kompozytora narodowego polskiego, ale w łączności ze swoimi współkolegami — Słowianami. W listach jego znajdujemy wyraz tego silnego poczucia wspólnej walki i wspólnego zadania.

Człowiek, który walczył o wielkość i wolność swego narodu, w tym rewolucyjnym okresie zrywów wolnościowych i społecznych, miał szacunek i sympatię dla kultury innych narodów. Moniuszko w czasie swojej działalności w Wilnie żywo interesował się kulturą ludową Litwinów i Białorusinów. Odbywał specjalne podróże, by poznać folklor litewski na Żmudzi, gdy przygotowywał się do napisania kantaty na tematy litewskie („Milda"), wspólnie z polsko-białoruskim poetą Marcinkiewiczem napisał (zaginioną niestety) operę na tematy białoruskie — („Sielanka").

Wtedy, gdy krytyka muzyczna nie wiedziała, co począć z kompozytorem, który nie był ani Chopinem, ani Wagnerem, naród polski, z którego wyrastała twórczość Moniuszki, pokochał go i uznał za przedstawiciela swoich żywych dążeń. Pokochał go za gorący patriotyzm, niezasklepiony w ciasnym zaścianku, ukazujący piękno polskiej kultury narodowej i wspólnotę wszystkich postępowych ludzi, walczących o wolność i sprawiedliwość dla swoich narodów, za podchwycenie i wyśpiewanie najżywszych uczuć człowieka, żyjącego na polskiej ziemi. Dlatego muzyka Moniuszki w sercu narodu polskiego żyła zawsze i żyje dziś, gdy towarzyszy nam w budowaniu lepszego jutra, tak jak marzył Moniuszko — sprawiedliwego i szczęśliwego jutra.

Witold Rudziński

*) Muzykografią nazywam literaturę o muzyce, w odróżnieniu od muzykologii — nauki o muzyce. W muzykografii mieszczą się takie zagadnienia jak krytyka muzyczna, przyczynki biograficzne, literatura upowszechniająca muzykę itd. Gdy użyłem tego terminu po raz pierwszy — pewien krytyk oburzył się na to, uważając że muzykografia — to „pisanie lub przepisywanie nut"; podobnie można by było powiedzieć, że faktografia — to pisanie faktów, a nie zbieranie i opisywanie faktów. Termin ten zresztą ma już dawno prawo obywatelstwa w innych językach, np. we francuskim. W „Nouveau dictionnaire de musique" (Paryż 1947), znajdziemy wygodne określenia: „muzykograf (musicographe) — piszący dzieła lub artykuły o muzyce, muzykolog — studiujący dokonujący poszukiwań w zakresie teorii lub historii muzyki". W codziennym użyciu terminy te są bardzo wygodne. Właśnie krytyk, o którym była mowa, jest muzykografem, podobnie jak w tej roli autor tego artykułu.

Stanisław Moniuszko

HENRYK GAWORSKI

MOJA MIŁOŚĆ

Sypał się wokół świat rozbity
na krople ludzkich gorzkich łez.
Kochana moja, czemu pytasz,
czy mocno kocham to co jest.

Na ziemi mojej ognie kalin,
żywe rumieńce nowych miast —
rzeczy, za które umierali
ludzie prawdziwi, w trudny czas.

Cóż ja — żyjący w takim kraju,
gdzie kochać biel twych młodych rąk,
rzekę i most co dziś powstaje
i dom, co przyjmie nas za rok —

to znaczy w trudzie i uporze
dźwigać jak cegły ciężkie dni,
to znaczy kształt, który się tworzy
obmyć, gdy trzeba, w własnej krwi.

W otwarte oczy twe, kochana,
mierzą wyloty czarnych luf,
pod nimi płacz, siwizna głów
i czas nagłego umierania.

Jeśli mój czyn i wola twoja,
mnożone przez narodów gniew,
pięści zbrodniarzy nie rozbroją,
jeżeli ogień znów i krew —

wtedy odpowiem tak, jak umiem,
czy mocno kocham to, co jest.
Zapłaczesz może, lecz zrozumiesz
miłość silniejszą od twych łez,

kochanie moje, które każe
oddać za świat oddany nam
wszystko com zdziałał i wymarzył —
za to co kocham — to co mam.

STEFAN ŚWIERZEWSKI

Nieznane listy Stanisława Moniuszki do Józefa Kraszewskiego

Ogromne archiwum J. I. Kraszewskiego, rozproszone po wszystkich bibliotekach kraju, zawierające bardzo cenne zbiory ikonografii polskiej i obcej, wraz z bogatą korespondencją pisarza i jego adresatów, zostało w dużej mierze zniszczone podczas ostatniej wojny. Nauka burżuazyjna nic prawie nie zrobiła w tym kierunku, by zbiory te opracować. Jedynie zbiór listów do Kraszewskiego, uporządkowany i przekazany przez niego samego Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, doczekał się „Indeksu" Adama Bara" *).

Korespondencja ta, zupełnie prawie nieznana, jest nieocenionym źródłem dla przeprowadzenia badań nad rolą Kraszewskiego w walce z wstecznictwem i zaściankowością magnatów i szlachty, walce o postępowy kierunek kultury umysłowej i artystycznej na t.zw. „kresach". Wielka wartość „Korespondencji Kraszewskiego" kryje się jeszcze w tym, że dzięki niej pisarz utrzymywał kontakty prawie ze wszystkimi ludźmi pracującymi w kraju na polu literatury, nauki i sztuki.

Trzeba pamiętać, że Kraszewski walkę o rozwój literatury, nauki i sztuki prowadził podczas terroru rządów mikołajowskich, a więc w okresie, w którym zostały rozbite na tamtych ziemiach ruchy rewolucyjno-wyzwoleńcze, gdy nastąpiło złamanie konarszczyzny i zgniecenie spisku z r. 1846.

W tych niezwykle ciężkich warunkach Kraszewski — fenomenalny talent organizatorski, przez swoją działalność na polu literatury, nauki i sztuki pełni — bez przesady powiedzieć można — rolę uniwersytetu na ziemiach litewskich i białoruskich, uniwersytetu, którego wówczas tam zabrakło. Kształcił on cały szereg literatów, krytyków, naukowców i wskazywał im drogę, którą podążać powinni w swojej twórczości. Wśród nich znalazł się również Stanisław Moniuszko.

Początkujący kompozytor, uwikłany w kłopoty finansowe, wyzyskiwany przez najrozmaitsze kreatury z prowincjonalnych teatrzyków (którym dostarczał operetek), nie miał oparcia, by walczyć z egoizmem magnatów, lekceważących talenty rodzime, odmawiających sztuce krajowej racji bytu, na rzecz dzieł sprowadzanych z zagranicy.

Wówczas S. Moniuszko nawiązał korespondencję z J. I. Kraszewskim, prosząc go najpierw o napisanie libretta do przygotowywanej opery. List ten, niedatowany, prawdopodobnie pochodzi z roku 1838:

„Treść opery zostawiam autorowi, byle ta była serio — co najwięcej pogrzebów, modlitw, albo żeby to były jakieś czary, strachy czy coś bardzo wesołego — jeżeli byś zaś mógł czyli chciał, to w treści może być Lukrecja Borgia albo Twardowski, albo Zamek Zawżeprzycki."

Moniuszko w początkowej pracy kompozytorskiej nie posiadał jeszcze dość skrystalizowanego programu, o czym świadczy ten pierwszy list do J. Kraszewskiego. Kraszewski dopomógł mu znaleźć drogę do sztuki prawdziwie narodowej.

W dalszej swej drodze twórczej Moniuszko zamierzając ogłosić drukiem „Śpiewnik domowy" — do którego wprowadza m. in. teksty z Ballad i Romansów Mickiewicza — zanim roztoczy propagandę na rzecz swojego wydawnictwa w Petersburgu — zwróci się w liście z dnia 26.V 1842 do Kraszewskiego z prośbą o recenzję jego kompozycji.

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Ośmielony radą Pańskiego kuzyna, Pana Konstantego Nowomiejskiego, udaję się do takiego z najpokorniejszą prośbą, ażebyś chciał za moim mającym wyjść śpiewnikiem kilka słów przemówić w jakimkolwiek piśmie periodycznym. Zbiór moich śpiewów, rozdzielonych na trzy rodzaje, ballady, romanse i piosenki sielskie, nie ma innej zalety jak tylko dobrą chęć kompozytora przysłużenia się śpiewającym, przezornie przyczepiając swoje imię do Imion Tych, którzy są naszą chwałą. Niemieccy Muzycy wyborem poezji umieją siebie inspirować i ich Szyller, Goethe i wszyscy sławniejsi poeci znaleźli ponieraz najszczęśliwsze melodie. Smutno widzieć, że u nas nikt z piszących muzykę nie spróbował sił swoich na poezjach od dawna wyglądających śpiewaka. Mylne mniemanie, że do dobrej poezji ciężko jest pisać muzykę, że zuchwałością jest porywać się z muzyką do pięknej poezji. Mnie przynajmniej zdaje się, że każdy dobry wiersz przynosi z sobą gotową melodię, a umiejący ją podsłuchać i przelać na papier jedna sobie nazwanie szczęśliwego kompozytora, wtenczas gdy się czem innem jak tylko tłumaczeniem tekstu w muzykalnym języku nazywaćby się był powinien. Gdy więc zdolniejsi ode mnie nie domyślili się dotychczas, jaką korzyścią, jaką obroną dla kompozytora jest dobry poeta, gdy lubownicy krajowej muzyki od dawna czekają nowych śpiewów, gdy niejeden z prawdziwych czcicieli narodowej poezji rad byłby słyszeć, jakby muzyka umiała zastosować się do niektórych wierszy — niechże i moja pierwsza próba w tym rodzaju w świat idzie, a dla mojego dziełka nie mogłem szczęśliwiej o opiece pomyśleć, jak oddając je pod sąd pierwszego z pomiędzy nas głosu, za którym wszyscy radzi idziemy.

— Zostaję z najgłębszym uszanowaniem Wielmożnego Pana Dobrodzieja Najszczerszym Jego Wielbicielem i najniższym sługą

STANISŁAW MONIUSZKO

Dla dania wyobrażenia o charakterze mojego Śpiewnika, przyłączam z niego duże próbki, jak i do Pana należący poszyt Śpiewów Pana Mickiewicza, którego talent udało mi się wygrzebać ze steku walców i kontredansów, naprowadzając go na dobrą drogę.

r. 1842 mc Maja 26 d. Wilno.

J. I. Kraszewski w odpowiedzi na ten list w roku 1842 na łamach Tygodnika Petersburskiego pisał m.in.:

„Prosilibyśmy tylko Szanownego kompozytora, aby mając wzgląd na przyszłą i pożądaną popularność swych śpiewów uczynił je o ile możności przystępnymi dla ogółu" następnie dodawał, że „chcielibyśmy aby natchnione utwory P. Moniuszki zastąpiły miejsce tych bladych, bezbarwnych śpiewek warszawskich, których tyle widzimy na każdym fortepianie, tyle słyszymy zawsze jednakowych".

Opinia Kraszewskiego umocniła kompozytora na drodze własnych poszukiwań ideowo-artystycznych.

O tym, że Kraszewski był dla Moniuszki wówczas wielkim autorytetem w sprawach sztuki, świadczy nie tylko korespondencja, ale i sam fakt przesłania pisarzowi do oceny fragmentów „Śpiewnika domowego", jak i skomponowania ilustracji muzycznej do poematu Kraszewskiego „Witolorauda", poematu, który był uważany do czasu upowszechnienia „Pana Tadeusza" na tamtych ziemiach za epopeję narodową.

W następnym liście Moniuszko dziękował Kraszewskiemu za ową wzmiankę w Tygodniku pisząc:

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Pośpieszam złożyć moje najczulsze podziękowanie za chlubną wzmiankę w Tygodniku o moich śpiewach, czuję całą prawdę zrobionej mi uwagi o potrzebie zastosowania się do niedojrzałych pojęć i pisząc muzykę zawsze mam ją na względzie, ale zawsze tak się zapędzam, że na koniec ze smutkiem spostrzegam, że niewielu zechce się za mną pofatygować, ażeby te uniesienia się pomimowolne usprawiedliwić. Bardzo żałuję, że nie mogę z tej przestrogi korzystać w Śpiewniku, gdyż ten już gotowy do druku, przepisany a co najważniejsze przebył szczęśliwie cenzurę. Staram się o ile możności przyśpieszyć jego wyjście, tylko leniwie w pomoc idąca prenumerata staje na przeszkodzie, a tymczasem nowe projekty i próby odrywają moją uwagę od przesłanych robót. Nawet miejsca przeznaczone do muzyki w Witoloraudzie, nie uszły moim melodiom. Racz Pan łaskawie darować, żem się tak rozgadał i zapomniał prawie, kogo zatrudniam moją gadaniną — proszę raz jeszcze — przyjąć wyrazy wdzięczności i uszanowania, z jakowymi zostaję

Wielmożnego Pana Dobrodzieja najniższy sługa

STANISŁAW MONIUSZKO

1842 r. mies. Październ. 13 Petersburg.

Około 1844 Kraszewski, redaktor Athenaeum koncentruje wokół swojego czasopisma cały ruch umysłowy i artystyczny na kresach. Śmiało można twierdzić, że nie było wówczas na tamtych ziemiach artysty, który by się do Kraszewskiego o radę czy też o pomoc nie zwrócił, albo też którego by sam redaktor nie odnalazł i nie wprowadził w życie.

W tym to czasie ukazuje się „Śpiewnik domowy", o czym Moniuszko pośpiesznie zawiadomił swojego protektora.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Wydanie mojego śpiewnika tak się przedłużyło, że boję się, czy zostało w Jego pamięci to, czym tak łaskawie w „Tygodniku" przemówić Pan raczył. Wiedząc jak nieobojętna jest Pańska uwaga na wszelkie pojawienie się sztuk pięknych w naszym szczupłym gronie, spodziewam się, że i moja muzyka zwróci ją na siebie. Oddaję więc moje dziełko pod najsurowszy rozbiór jedynego może u nas sądu, którego głos będzie miał... prawo o niem wyrokować. Zostaję z najgłębszym uszanowaniem Wielmożnego Pana Dobrodzieja najniższy sługa

STANISŁAW MONIUSZKO

1844 r. mies. Maja 3 d. Wilno.

Kraszewski w recenzji z r. 1844 w Tygodniku Petersburskim nr 50 uwydatnił, iż:

„Śpiewnik domowy" to przejaw walki z kosmopolitycznymi śpiewkami różnych muzykantów w rodzaju Puget'ów, Moupon'ów, Bevat'ów i Dessauer'ów."

A w zbiorze moniuszkowskim zwrócił uwagę na ludowe źródła pieśni, harmonijnie powiązane z tekstem:

„Tu S. Moniuszko pojął, że pieśni sielskie, pieśni z podań ludu, koniecznie motywami muzykalymi ludu dopełniać się powinny. Ale jak te motywa pod ręką artysty nabierają wdzięku, życia, znaczenia!".

W odpowiedzi na tę recenzję „Śpiewnika" Moniuszko pisał do Kraszewskiego:

„Artykuł Pański o moim „Śpiewniku" znalazł mnie w Mińsku, gdzie od czasu do czasu zmuszony jestem

(Dokończenie na str. 11-ej)

Winieta tytułowa „Witolorauda" I. J. Kraszewskiego z „Muzyką wybraną" Moniuszki (rok wydania 1846)

*) Listy powyżej po raz pierwszy ogłoszone znajdują się w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

4 czerwca 1952 r.

Niedawnej niedzieli majowej widzieliśmy ją, mieszkańcy Warszawy, podczas Kiermaszu Książki na Alei Stalina. Otoczona ciasno przez młodzież i starszych, podpisywała swe tomy. Kiosk z książkami Zofii Nałkowskiej przemówił jasną i prostą prawdą: oto wielka pisarka, oto żywa twórczość, oto piękny sojusz między artystą słowa i czytelnikiem.

Wczoraj, 4 czerwca 1952 r., obchodziliśmy jej jubileusz. Jubileusz pięćdziesięciolecia pracy twórczej. Niecodzienne to w naszym życiu kulturalnym święto — bo klamra czasu niezwyczajnie szacowna, i dzieło w niej zawarte — imponujące. A przy tym — niesposób nie pomyśleć, nie powiedzieć, nie zadziwić się jak najbardziej szczerze i radośnie: jak młoda, jak wciąż bardzo młoda jest Zofia Nałkowska!

Pozwolcie, Czytelnicy, że to sprawozdanie odbiegnie trochę od protokolarnych obyczajów. Dzisiejszego dnia wiele osób, nie mogących wziąć udziału w uroczystości, wypytywało mnie: jak było wczoraj? Musiałem opowiadać szczegółowo. Potem się wzbraniałem: przeczytajcie sobie w gazetach. — Ach, nie!—protestowali ciekawi — to przecież co innego. — Ja wiem, i Wy wiecie, Czytelnicy, że to istotnie co innego, gdy człowiek pyta o sprawę naprawdę sobie bliską, o kogoś naprawdę drogiego. A Zofia Nałkowska ma tylu przyjaciół, ilu czytelników. Więc — bardzo dużo. Dlatego, zamiast zdawać sprawę, lepiej powiedzieć jak było — Wam wszystkim, których myśli o autorce „Granicy" i „Medalionów" są równie młode i żywe, jak jej słowa dla Was pisane.

Było zatem bardzo pięknie.

Znaczy to, że charakter i nastrój obchodu, że treść słów, które się duły słyszeć z mównicy, i tych, które sobie szeptem zwierzali zebrani — że wszystko, co wypełniło godziny wspólnego przeżycia i wzruszenia było bardzo podobne do książek Zofii Nałkowskiej.

Było dużo kwiatów.

Stały te kwiaty różnobarwne — wiosenne jeszcze fiołki i konwalie, i przynależne już latu róże, bratki, irysy — leżały w pękach i wiązankach na stole, na podium, na mównicy, potwierdzając wdzięczną ludzką pamięć. Wszystko się działo w naszym domu związkowym, w sali obrad. I ten dom stał się wczorajszego dnia jeszcze nam milszy, stał się naprawdę domem. „Takie chwile — powiedzieli później Boguszewska i Kornacki, przyjaciele jubilatki od lat — bardzo nas wszystkich spajają". Tak. Gdy się czuje: dom, czuje się zarazem: rodzina.

Było dużo ludzi. Pełna sala. Przyjechała z Łodzi siostra jubilatki, rzeźbiarka. Przybyli krewni, przyjaciele, bliscy znajomi. Koledzy-pisarze. Przedstawiciele i delegaci. Młodzież — dużo młodzieży. Zespół pracowników Związku. Była też, oczywiście, panna Genowefa.

Proszę mi pozwolić powiedzieć kilka słów o pannie Genowefie, bo to ważne i dla sprawy istotne. — Od dziesięciu przeszło lat jest ona oddaną i ofiarną towarzyszką pani Zofii w jej powszednich sprawach domowych. Więcej: jest osobą zadziwiającą. To nic jeszcze, że prowadzi gospodarstwo. Ona prowadzi papiery. Wie wszystko, w każdej chwili, na wyrywki. O książkach — kiedy wydane, gdzie która, na jakiej półce. W jakiej szufladzie brulionu, zarzucony w pośpiechu szkic artykułu, list z redakcji. Dokąd pani Zofia zatelefonować musi, a dokąd nie musi. I gdzie się podziały okulary. Administruje wspaniale roztargnieniem (znacznym!) pani domu, jest jej drugą pamięcią w setkach spraw zasadniczej i niezasadniczej natury. Despotka ładu, miłośniczka literatury, opiekunka domowych zwierząt, ostatnio — uczennica szkoły ogólnokształcącej dla dorosłych, drobna, groźna i dobra panna Genowefa — piękny człowiek, przyjaciel. Nic może tak nie świadczy o pani Zofii, jak ona—dla tych co mają możność spojrzeć z bliska, z samego środka zwykłych dni, na życie wielkiej pisarki, na jej sztukę obcowania ze światem, z ludźmi, na sztukę wyzwalania i ujawniania urody i dobra w najprostszej codzienności. — Była więc pani Genowefa, w trzecim rzędzie, i płakała z dumy i radości.

Gdy na sali zjawiła się Zofia Nałkowska, zebrani — powstawszy—powitali ją długotrwałą owacją. Uroczystości przewodził sekretarz generalny Związku, Jerzy Putrament. W prezydium — obok jubilatki—zasiedli m. in. Stefan Dybowski, Lucjan Rudnicki, Helena Boguszewska, Janina Broniewska, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Brandys i Bohdan Czeszko. Minister Dybowski udekorował Zofię Nałkowską za zasługi dla kultury polskiej Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Odrodzenia Polski. I znowu owacja — a w niej duma nas wszystkich, duma za naszą Nałkowską, za jej pracę, której półwieczne dzieło dała nam wszystkim na własność. — „Piękna!" — westchnął ktoś obok mnie. Powiecie, że to może mniej ważne? Ważne. Bo i w tym nasza radość, że zdarzyło się, iż urokom twórczości towarzyszy urok twórcy. Bardzo młode, bardzo niebieskie spojrzenie i gorzka mądrość ust, uśmiech i skupienie, ufność w tej twarzy i świadomość — oto sens westchnienia, jakie usłyszałem. Czyż inne są książki Zofii Nałkowskiej?

Pięknie i serdecznie przemówił do Jubilatki w imieniu pisarzy Jarosław Iwaszkiewicz. Mowę tę z koniecznymi skrótami znajdziecie obok — kaleczyć jej streszczeniem nie trzeba. Jej bezpośredni a głęboki ton przekaże Wam najlepiej nastrój uroczystości.

Był potem recital fortepianowy Pawła Lewieckiego i obramowane Chopinem recytacje z dzieł Nałkowskiej. Czytali artyści sceny warszawskiej — Ryszarda Hanin i Andrzej Szczepkowski. Szlachetnie współbrzmiał z muzyką odpowiadający jej treściowo fragment z „Rówieśnic", podmuchem dobrej zabawy przeszły po sali dwa satyryczne „Charaktery", a cząstka „Domu nad łąkami" i dopełniające ją „Miejsce dawnego życia" (essay najnowszy) — wzruszyły głęboko.

Na zakończenie przemówiła Zofia Nałkowska — zebrani każdą niemal kropkę po zdaniu głuszyli oklaskami, gdyż dawno nie słyszeli takiej mowy, w której polot równa się zwięzłości, rozumna myśl — dowcipowi, a wzruszenie — dyskrecji.

Kwiatom, dla których zabrakło naczyń, udzieliła pomocy panna Genowefa. Część zgromadzenia przeniosła się teraz na górę, w tym samym domu, do pracowni Zofii Nałkowskiej. I tu, jak w sali obrad, widać przez okna Kolumnę i Stare Miasto w odbudowie, ale panorama jeszcze stąd szersza i w głąb, za Wisłę idąca. Przy lampce wina odbywały się serdeczne sprawy przyjaźni.

Nie nazbyt długo, bo w salach klubowych Związku już czekał wieczorny bankiet. Przy stole było jeszcze serdeczniej — ma się rozumieć — głośniej. W toastach zawarli zebrani wszystkie swe dobre uczucia i życzenia dla Jubilatki. Swoje o niej najważniejsze myśli i wyobrażenia. Niestrudzony Putrament porządkiem toastów dyrygował. Ich długi i wartki tok otworzył min. Sokorski. Potem szczera ochota porwała aż czterdziestu mówców. Trzeba im oddać sprawiedliwość — byli zwięźli i akuratni. Z okruchów jednak wszystkich tych wypowiedzi złożył się w sumie raz jeszcze tego dnia—pełny i piękny obraz Człowieka i Pisarza.

Wybaczcie, Czytelnicy, że o tej części uroczystości nie potrafię opowiedzieć nazbyt dokładnie. Powtórzę tylko:

Było bardzo pięknie.

Wilhelm Mach

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Na jubileusz Zofii Nałkowskiej*)

Przychodzi mi na pamięć takie oto jedno lato, zamknięte w puszczach leśnych nad rzeką Teterewem, dżyste i grzybne, mokre i samotne. Miałem wtedy szesnaście lat. Cóż za objawienia! W leśnej głuszy brzmiały wtedy beethovenowskie sonaty grane na prastarym fortepianie — i jak błyskawice, rozjaśniające duszne i burzliwe niebo, książki. Repertuar ich może się wyda dzisiejszej młodzieży nieco naiwny lub przestarzały, ale dla moich szesnastu lat to były wstrząsy niezapomniane. A w tym wieku czyta się przecie bez żadnego wyboru, pochłania wszystko co pod rękę wpadnie. „Wiosenne wody" Turgieniewa, „Bracia Karamazow", „Portret Doriana Greya", „Gotyckie pokoje" Strindberga, „Ad Astra" Orzeszkowej, i Romskiego—tytuły tych książek bezładnie cisną mi się na usta. Trudno mi było wówczas ustalić ich hierarchię. A i dziś jeszcze z tą lekturą związanych jest dla mnie tyle afektów, tyle namiętności przeżycia wewnętrznego, że trudno mi jest wśród nich przebierać i jakąś hierarchię naprawdę między nimi ustalić. Jeżeli do tego dodamy pierwsze objawienia poezji francuskiej i rosyjskiej, Moréasa i Błoka — łatwo zrozumieć będzie czym się stało dla mnie to lato.

I oto w tym gąszczu przeżyć nagle nieznana książka Nałkowskiej, „Rówieśnice". Nie odczytywałem tej książki już od tamtych czasów, nie doczekała ona wielu wydań. Nie umiałbym dzisiaj ani opowiedzieć jej treści, ani zastanowić się nad jej zawartością ideową. Zaskoczenie polegało zupełnie na czym innym: uderzony tym odkryciem — i nie ja jeden zapewne — najważniejszym „że można tak w Polsce pisać". Było to objawienie nowej, znakomitej, wnikliwej, a prostej prozy. Prozy unowocześnionej, a jednocześnie przenikniętej najlepszymi tradycjami języka, najlepszymi tradycjami polskimi i francuskimi jasności psychologicznej, coś z madame de Lafayette i coś z tej plejady historycznej piszących kobiet polskich, których orszak w naszej literaturze jest tak liczny i ważny, jak może w żadnym innym piśmiennictwie.

Zjawisko to było dla mnie doświadczeniem i nauką, przykładem i wzorem doskonałości, olśnieniem i zachętą do przezwyciężenia tego wszystkiego, co w naszej prozie było jeszcze ciężkie, niezgrabne i prowincjonalne!

Nieznana mi dotychczas osoba autorki „Rówieśnic" stała się czymś bliskim, kimś zarazem odległym i tajemniczym: owa piękna wysoka kobieta, przemawiająca na wiecach, o której w głuszy partykularza długo opowiadała mi siostra Karola Szymanowskiego, Nula. I oto los tak potasował karty, że dzisiaj stoję tutaj przed nią, jako przed szanowną jubilatką i mam wygłaszać jej pochwałę, analizować jej twórczość. Przyznacie mi, że mam powody, aby czynić to nieskładnie i jąkać się w moim liryzmie i moim wzruszeniu. Postaram się jednak wprowadzić jaki taki ład w moje słowa „et commencer par le commencement".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości i wszyscy o tym wiemy, że pierwsze książki Zofii Nałkowskiej hołdowały modnemu wówczas estetyzmowi, że sławiły w swej wymowie piękno, pojmowane w dość ograniczony sposób jako piękno barwy, kształtu, dźwięku, brzmienia. Nie doceniamy jednak może tego, ile w owym estetyzmie — zwłaszcza u Nałkowskiej — było pierwiastków nowych i powiedziałbym — postępowych. W naszym rewolucyjnym ferworze, w szczerym oddaniu się zagadnieniom realizmu — sądy nasze o estetyzmie czasami są zbyt prędkie i pochopne.

W ostatnio ogłoszonych pamiętnikach Albina Bobruka, chłopa, robotnika, komunisty, jest taka niezapomniana scena, kiedy towarzysze z celi nie mogąc nic pomóc Bobrukowi, którego cisnął na pryczę więzienną atak serca, czytają mu Goethego i jeden z nich powiada „Wiesz pewnie równie dobrze jak ja, że piękne rzeczy dodają sił".

A przecie to, co wcisnęło pióro w ręce młodej dziewczyny, to co kazało jej pisać o kwiatach, tonach, zapachu, co zajmowało jej umysł obrazami wielorakiej miłości — to była przecież pasja życia. Ona to kazała lubować się w opisach owoców i jarzyn, w okrytych rosą Teweryny kradzionych bzach czy w brzoskwiniach Modesty, ona pozwalała jej tworzyć setki urozmaiconych postaci kobiecych: one wszystkie Hanie, Marusie, Koteczki, Raisy, całe galerie córek i synowych niezapomnianego domu Oliwnych, opisy muzyki i spacerów letnich i zimowych po wszystkich „Neanderthalach" naszej ubogiej, zacofanej ale pięknej ojczyzny. Rzecz dziwna, ta buntownicza namiętność życia obok tej galerii wspaniałych i urozmaiconych kobiet i kobieciątek — nie pozwalała wniknąć Nałkowskiej w pierwszym okresie jej twórczości w psychologię męską. „Przyzwyczailiśmy się już do tego — pisałem ongi w roku 1920 w „Skamandrze" — drukowanym w moim esseju o „Hrabi Emilu" — że mężczyźni Nałkowskiej sprawiają wrażenie czarnych kawałków próżni o konturze frakowego garnituru, zarysowanego otoczeniem przebarwnych damskich sukien. Nie pokusiła się Nałkowska o pokazanie, co się dzieje we wnętrzu takich deus ex machina jak Worośnicki, Czarostański, i jak tam się oni jeszcze nazywają. Na razie są oni przedmiotem podziwu i pożądania, przychodzącym z nieznanego i niezrozumiałego świata, elementem niepokoju i grozy. Mimo wszystkie apele o wyzwolenie kobiety Nałkowska w pierwszych swych utworach jest poddana urokowi mężczyzny. Dlatego też zawodzi ją ten moment twórczy, kiedy pragnie pokazać nam postać rewolucjonisty. 1905 rok — i to może właśnie razić jej najzapamiętalszych wielbicieli — Nałkowska traktuje jako przeżycie estetyczne. Co gorsza bohater jej „rewolucyjnej" powieści, „Książę", sam swe przeżycia traktuje jako jakieś przezwyciężenie nudy życiowej, jako samotne wyzwanie rzucone „losowi", jako igraszkę z bardzo secesyjnie, jak na obrazach Böcklina czy Klingera, namalowaną śmiercią. Ostatni to pogłos w naszej literaturze Manfreda czy Lametra, portret malowany bardzo kobiecym pędzlem uwielbienia, ale będący tylko dowodem, jak mało rozumiała Nałkowska ówczesne zdarzenia historyczne. Jeżeli dla Prusa rewolucje robiły niegrzeczne „dzieci" — prawie jak dla Rostworowskiego — to dla Nałkowskiej tworzyli ją zdobywcy — mężczyźni, którzy jak toreadorzy walcząc na arenie świata liczyli na nagrody z rąk pięknych i tajemniczych kobiet.

Była to zastanawiająca pomyłka młodej kobiety — ale pomyłka. Jednakże, moi kochani, pasja życia nigdy nie zawadzi. O ile jest oczywiście szczera, gorąca, obejmująca całą istotę człowieka. Pasja ta wyprowadziła Nałkowską z manowców prawdziwego czy urojonego estetyzmu, że ścieżek pożytecznej czy szkodliwej kontemplacji piękna na trakt ukochania rzeczywistości, który ją wywiódł na szczyty artyzmu. Pozwoliła jej stworzyć prawdziwych ludzi, mężczyzn i kobiety, pozwoliła potrącić i poruszyć prawdziwe zagadnienia.

O związaniu pisarki z życiem, o postępie w rozumieniu tego życia świadczy wielki przełom, jaki spowodowała w niej wojna 1914 roku. Jeżeli porównamy jej reakcję na to zdarzenie z reakcją innych pisarzy tego czasu, jeżeli będziemy obserwować jak groza i wielkość tych zapasów Europy burżuazyjnej odbiła się w twórczości na przykład Staffa czy Iłłakowiczówny, to zrozumiemy może bardziej istotę sztuki pisarskiej Nałkowskiej. Wielkie zdarzenia 1914 — 1918 roku targnęły przede wszystkim stylem Nałkowskiej, odtrącając z tego wspaniałego drzewa wszystkie zżółkłe liście minoderii i tego co Francuzi nazywają „preciosité". Jasne to było nawet dla nas, Skamandrytów, w momencie opublikowania przez Nałkowską jej „Hrabiego Emila", książki w całej jej twórczości przełomowej. Ale ta zewnętrzna przemiana jej stylu pisarskiego była, jak to się często, jak to się zawsze — powiedzmy — zdarza tylko oznaką wewnętrznej przemiany wielkiej pisarki. Jakże tu już było daleko od „Wężów i Róż" — ostatniej przedwojennej książki pani Zofii. Pisałem o tym przed 32 laty we wspomnianym wyżej esseju.

„W „Wężach i Różach" miało się świat tak wybornie gotowy, ułożony, możliwie przytulny, na rzeczy piękne i brzydkie, na instynkt i intelekt, na węże i róże podzielony. Jakże tam było dobrze, kiedy trzeba było rozstrzygnąć tylko kwestię, kogo pan Jarosław Czerostański właściwie kocha (nie kochał naturalnie ni-

*) Fragmenty przemówienia wygłoszonego w Związku Literatów w dniu 4 czerwca b. r.

Zofia Nałkowska i A. B. Dobrowolski w ogrodzie „Domu nad łąkami"

ZOFIA NAŁKOWSKA

Na dawnym miejscu życia*)

Oto dzień! Jak uwierzyć, że to przeżyłam, że zamykająca biografię scena dramatu, czy ostatnia pieśń epopei nie została wymyślona że zaszła pośród rzeczywistości — ujrzana, stwierdzona, doznana inną — pośród ludzi. I tam!

Samochód się spóźniał. Minęła pierwsza trzydzieści, później druga. I jeszcze druga trzydzieści. Telefon zamiejski wyjaśnił, że samochód już jest w drodze. Że zepsuł się podczas porannego objazdu terenu. Ale uszkodzenie zostało naprawione.

Jadę tedy z tekstem w torebce i przerażeniem w sercu na uroczystość Komitetu Obrońców Pokoju w mieście W.

Już od samego początku jest dziwnie. Trochę mylimy się na Miodowej, skręcamy, wracamy, objeżdżamy. Oto tunel, ponad którym dziś mieszkam, oto Trasa, Mariensztat, most. Nic nie jest podobne do tego, co było. Przymyka się powieki na chwilę, by ujrzeć tamto minione — we mgle i ciemnościach. Most jest nowy, dający oglądać Wisłę, niebo i brzegi zielone — nie poprzez kraty, jak dawny. Woda i powietrze stały się bliższe, jasne, dostępne widzeniu.

Praga. Mijamy miejsce dawnego spalonego dworca Wileńskiego, kiedyś nawet — Petersburskiego, skąd od najdalszego dzieciństwa odjeżdżały pociągi w stronę „domu nad łąkami". Trochę zakrętów tu i tam. Szosa. Jedziemy.

Nic nie poznaję. Zielono, nisko Domeczki, niewiele drzew. Czasami w małych ogrodach kwitnące bzy. Jeździłam tędy przecież kiedyś po tamtej wojnie końmi, gdy nie było pociągów. Jeździłam chyba i samochodem. Czy Zielonka? Czy może Żabki? Nie, to już Sosnówka! Znowu nic nie poznaję. Zieleń wszędzie niska, prawie przyziemna, bardzo świeża w tym chłodnym, wietrznym maju. Na tak — jakieś pierwsze nieznaczne wzniesienie. Domy tylko murowane. Nie ma wiele lasu, nie ma sosen. Wszędzie dużo powietrza.

Wreszcie miejsce staje się znajome. O tu, na nagim piasku, stoła ta drewniana buda Millerów, którą, przenosząc się w inne strony, rozebrali i wzięli ze sobą, jak kuferek. Tu był dom pana Fersena. Jeszcze jest, ale już inny.

Wjeżdżamy w dawną drogę leśną — dziś bez jednego drzewa. Jasno, przewiewnie, nago. Dom pani Branckiej jest. Ale ani śladu Dziobaków, ani śladu najbliższych sąsiadów, Fuśniaków. Pusto. Duży samochód bez wysiłku wdrapuje się na tę spadzistą drogę, która między wysokimi, ciemnymi sosnami zjeżdżałam na niezapomnianym, jedynym i krótkotrwałym koniu mojego życia, Pomidorze, i widać już na grzbiecie wzgórza — niczym nie osłonięty, bez jednej nad sobą sosnowej gałęzi—„dom nad łąkami". Jakaś uroczystość, są ludzie, witają nas życzliwie. Jest młodzież ze szkół z kwiatami. Słyszę słowa różne, dobre i piękne. Słyszę jakbym nie ja była na tym miejscu, jakbym była kim innym.

Dom — dawniej mniejszy od drzew, schowany w nich — dziś wystaje z tej nagiej górki, jest duży. Drewniane dawniej ściany piętra są tynkowane. Jest drugi, nowy ganek od strony wejścia. Nie ma już studni z żurawiem u stóp wzgórza między sosnami, inna, żelazna z pompą, stoi prawie tuż przy domu. Zamiast dawnej drewnianej oficynki, gdzie mieszkało małżeństwo bezrobotnych, dziś widać niewielki budynek murowany. Wzniesienie od północy jest też wyłożone cegłą, nie darnia.

W ogrodzie „Domu nad łąkami": od prawej — Zofia Nałkowska, jej siostra Hanna Nałkowska - Bikowa, matka pisarki, A. B. Dobrowolski z żoną

Jest mi jakbym była widmem powracającym na miejsce dzieciństwa i młodości. Ojciec, matka, tamci ludzie, życie pełne map i atlasów, kochane i życzliwe zwierzęta. Z nieprzeliczonych tamtych sosen zostały tylko dwie. Jedna sprzed okna matki, przy którym na małym biureczku pisała chyba wtedy monografię Wisły do Słownika Geograficznego. Pod tą sosną zasadzony był pręt perskiego bzu, przywieziony z ogródka babki na Zwierzyńcu pod Krakowem. Rozrósł się później w rozczapierzony krzew, z wiszącymi wiosną na długich cienkich wygiętych gałązkach wielkimi kiściami blado-fioletowych kwiatów, daleko piękniejszych, niż inne bzy. Druga sosna została ponad tarasami sadu, którego też już nie ma. Z sześciu klonów, zasadzonych przed domem, stoi jeden sprzed mojego kiedyś okna. Jest olbrzymi, jest niewiarogodny. Nic nie jest podobne. Z grupy sosen podbitych leszczynami, już nisko nad łąką, gdzie była ławeczka darniowa — zostały tylko leszczyny. Zapomniałam zobaczyć, czy jest jeszcze ogromny kamień tam wówczas leżący.

Na dole ani osin, ani dębów. Małe krzaki, nie ma wcale płotu. Łąka bez olszyn. Trytwa bez drzew. Dawny lasek brzozowy pod dalszym sosnowym — jest pustką. Nie ma tego domu pośrodku pola. Wszędzie pusto, zielono, daleko.

Obywatel S. robi honory domu, oprowadza po tych miejscach przeminionych. Zna moją książeczkę „Dom nad łąkami", zna Heleny Boguszewskiej „Czekamy na życie". Coś cytuje. — Czy tu jest „dół, w którym był utopiony pies?" — Poznaję śliczną malutką sadzawkę już nad samą łąką. Cienkie witki kruszyny rosną tu jak dawniej gęsto i otulają zielonym cieniem wodę. Nie pamiętam, czy nieznajomy pies utopił się tu, czy raczej w granicznym rowie za domkiem Wiłów. Pamiętam tylko, jakiegoś lata pędziłam na tę sadzawkę ścieżką z góry ufne i zabawne kaczki. Jest sadzawka, ale nie ma wcale pełnego roślin wodnych i najdziwniejszych wodnych zwierząt rowu wzdłuż drogi. Został zasypany bez śladu.

Obchodzimy te trzy morgi wydmy, utrwalonej lasem. Rosły tam najstarsze sosny, a piasek porośnięty był seledynowym meszkiem, zwanym płucnicą islandzką, i kępkami trawy cienkiej, suchej jak włosie, raczej niebieskawej niż zielonej. Ale więcej niż tej trawy i płucnicy było tu brunatnego igliwia, po którym dość trudno było chodzić boso, bo kłuło.

Grunt był nie tylko nieurodzajny, ale strasznie suchy, woda deszczowa łatwo spływała z pochyłości po igliwiu, nie przenikając gruntu. Dlatego ojciec, kierowany wiedzą raczej geograficzną, niż rolniczą, postanowił od strony słonecznej, gdzie było mniej sosen, zrobić na sposób włoski tarasy. To była nasza dziecinna robota — kopanie tych tarasów. Robiło je się w ciągu lat i zasadzało fasolę i pomidory, a także drzewa owocowe, zwłaszcza brzoskwinie, hodowane z pestek i odporne na mróz. Ale dla drzew owocowych trzeba było kopać jeszcze głębokie okrągłe doły i wypełniać je naprzód gliną, a później ziemią czarną, którą wolno było bezpłatnie brać z miejsca, gdzie leżała niepotrzebna na brzegu wykopanych stawów cegielni.

Wracamy do domu od strony zachodniej. Nie ma sadzonych tam na tarasach rozkrzewionych szeroko leszczyn, nie ma domu Wiłów ani tego bliżej, w którym już później mieszkał profesor Lencewicz, także geograf.

Teraz dom: wchodzimy od tyłu, od północy. Dawny dość wąski pokój jadalny, gdzie w kącie na przybitej gałęzi sosnowej siedziała oswojona sowa, wodząca z góry dziobem i uważnymi oczami za biegającym wszędzie jeżem. Ten pokój, stał się zwykłą sienią, z której prowadzi troje drzwi do zamieszkałych przez kogoś pokojów. Frontowe wyjście z tej strony na ogród jest zamknięte, oszklone podwoje czymś osłonione. Uchylam róg zasłony i patrzę na to miejsce jedyne, na wielką łąkę, na moje dawne granice świata. Jest zupełnie inaczej, nisko, daleko, bardzo rozlegle. Nie tylko u nas wszystko wycięte, ale i cały wielki las za łąkami, zamykający horyzont. Olbrzymi widok ogarnia teraz Osów, Grabicz, jakieś inne nieznane wsie. Jest inaczej, i — o dziwo — jest może jeszcze piękniej, niż wtedy.

Odwracam oczy, jeszcze oglądam tę ścianę. Za zamkniętymi drzwiami z lewej pamiętam pokój niegdyś ojca, później mój. Przy tamtym oknie „weneckim" pisałam chyba jeszcze **Rówieśnice, Moje zwierzęta i Tajemnice krwi.**

W pokoju za drzwiami z prawej stał fortepian, długi i żółtawy, pamiętny jedną sonatą Mozarta i tym zwłaszcza, że na jego zamkniętym wieku układaliśmy jednego lata ściśle według alfabetu bezlik małych paseczków papieru z nazwami miast, gór i rzek, lądów i oceanów do takiego Wielkiego Atlasu Geograficznego. Później z tych papierków przepisywało się kolejno nazwy już w gotowej kolejności abecadła. To tam jednego razu gwałtowny wicher otworzył nagle okna, zamknięte przed burzą i zwiał wszystko z fortepianu, tak że uniesionych karteczek trzeba było szukać po całym lesie. Na szczęście nie zmokły, bo na burzę tylko „się zanosiło", a deszcz wcale nie padał. Na tym fortepianie mała siostra rozkładała rajzbrety i różne tajemnicze przybory, żeby rysować piękne figury do ojca Geografii Astronomicznej.

Pokoju na dole nie zobaczyłam. Ale oto idziemy na górę, gdzie mieszka pan S. Tu już nie rozumiem nic. Nie ma wcale dawnych stromych i wąskich, u dołu tylko z lekka zakreconych, schodów. Nowe, szerokie, prawidłowo załamane, są gdzie indziej — na miejscu kuchni? czy pokoju ojca? Co to jest? Małe trzy letnie — bez pieców pokoiki na górze ze stryszkami po bokach, zniknęły bez śladu. Nie dociekam już więcej, i tak nic nie zrozumiem. Wchodzimy do wielkiego pokoju z dużym oknem, a bez balkonu. Jest pełno książek i obrazów, pośrodku stoi stół, pięknie nakryty do podwieczorku. Siadamy. Jest przewodniczący Komitetu Obrońców Pokoju. Są inni. Jest też dużo młodzieży. Jest przełożona pobliskiej szkoły im. Władysława Spasowskiego.

Teraz przypominam sobie nagle tego człowieka, pedagoga i filozofa, który był na tym miejscu — przed iluż to laty! — gdy ten duży pokój

(Dokończenie na str. 4-ej)

*) Jeden z ostatnio napisanych fragmentów prozy Zofii Nałkowskiej odczytany w czasie uroczystości jubileuszu pisarki.

kogo). A tu doszło się do rzeczy o wiele ważniejszych, życie narzuciło tyle pytań, tyle kwestyj — aż się pod ciężarem ugięły barki kobiece; nie rozstrzygnęła zatem jej inteligencja ani kwestii wojny, ani kwestii militaryzmu i państwowej roli wojska. Rzucone tu pytania za rozstrzygnięcia mają paradoksy ciekawe, inteligentne przede wszystkim, co się zawsze rzuca w oczy w talencie Nałkowskiej — ale zupełnie niewystarczające".

(Skamander, marzec, 1920).

I właśnie nie osiągnięcia, nie klęska — od której w ostatecznej instancji ratuje Nałkowską tym razem tylko jej zbyt może siląca się na „obiektywizm" inteligencja — ale samo postawienie problemu wojny i pokoju jest już ważne. Mimo że tytuł książki i tytuł jej bohatera świadczą, że Nałkowska mało się posunęła na drodze do demokratyzacji swej sztuki — jednak jej „księcia" od „hrabiego" dzieli przedział zasadniczy, poza który nasza autorka nigdy się już nie cofnie — przedział wielkiej wojny.

Jeżeli pisarz naprawdę kocha życie — a bez prawdziwego ukochania życia w całej jego wielopostaciowości nie ma wielkiego pisarza — ten oczywiście nie może kochać życia w jego jakiejś absolutnej, oderwanej formie, w panteistycznym rozmodleniu wobec wielkości przyrody; przede wszystkim kocha człowieka. Szuka go on, poznaje, rozumie i stara się pokazać w coraz to nowym świetle, w coraz to nowej formie. W swej miłości do człowieka Nałkowska przeoczyła może rewolucję 1905 roku — ale natknęła się na wojnę, która pokazała jej człowieka we właściwym wymiarze, nie we fraku, nie w pseudorewolucyjnej, romantycznej dekoracji, ale w jego nieszczęściu, biedzie, w jego wielkości, w jego potworności. Człowiek ukazał się jej nagi. Poznała jego cierpienie.

Przełom spowodowany w sztuce Nałkowskiej przez wielką wojnę da się porównać z przełomem, jaki u jej wielkiej poprzedniczki George Sand wywołała rewolucja 1848 roku. Po 1848 roku George Sand przestaje być pretensjonalną autorką „Indiany" czy „Lelii" — porzuca swój sztuczny, na francuską modłę wyegzagerowany romantyzm — aby stać się autorką prostych wiejskich powieści jak „Mare an Diable" czy „François le Chanpi" — które już na zawsze pozostaną w skarbcu literatury francuskiej. Tak samo Nałkowska porzuca wyniosłość „Lodowych Pól" i zakrętasy wężów i róż — aby wykrystalizować w sobie stopniowo tak wspaniałe dzieło jak „Granica", „Niecierpliwi", wreszcie „Medaliony".

Będzie to przede wszystkim powrotem do prostoty. „Forma przez krytyków nazwana prostotą — powiada Nałkowska — odpowiada takiemu widzeniu świata, w którym właśnie rzeczy małe i mali ludzie godni są uwagi, współczucia, a autentyczność staje się najwyższym postulatem artystycznego piękna...".

Otóż to. Tu się zdradza autorka „Romansu Teresy Hennert" ze swoimi najistotniejszymi zainteresowaniami, z celem swej twórczości i życia. „Najwyższy postulat artystycznego piękna"... W poszukiwaniu „artystycznego piękna" szła ta pisarska dusza; zrazu zdawało się jej, iż to artystyczne piękno odnajdzie w seansach spirytystycznych, w wywoływaniu dreszczy wszelkiego rodzaju — w opisach i symbolach najrozmaitszych „téton de Venus" — czas i historia, którą przeżywa Nałkowska, wprowadza poprawki do jej poszukiwań. Wprowadzi poprawkę i do tej dopiero co przytoczonej wypowiedzi, w której nasza autorka dzieli ludzi na wielkich i małych, dzieli sprawy na wielkie i małe. Jeszcze trzeba będzie jednej wojny, aby zrozumiała to, że ludzie są zawsze ludźmi, a sprawa jest jedna: walka — pod każdą formą prowadzona — aby tym ludziom zapewnić lepszą przyszłość. I to ostateczne już sformułowanie misji pisarskiej: „to, czym jesteśmy dla ludzi, jest ważniejsze niż to, czym jesteśmy we własnych oczach". W tym, że Nałkowska przestaje przezierać się w niebieskim zwierciadle „Lodowych Pól", w płaszczyznach „Luster", lecz patrzy w oczy ludziom, jest jej największe osiągnięcie. Twórczość jej staje się twórczością „dla ludzi" — humanizuje się, doskonali się stopniowo.

Pierwszą „nową" książką Nałkowskiej rozpoczynającą długi szereg jej zdobyczy jest „Dom nad Łąkami". W dziwny a przecież zrozumiały sposób powraca ona w niej po odległych ekskursach i peregrynacjach do domu dzieciństwa, do domu rodzinnego. Ktoś nazwał bunty, które panią Zofię od tego domu odwiodły „fałszywymi buntami". Tak nie jest. Te bunty, ta chęć przezwyciężenia otoczenia, nie były fałszem, były koniecznością. Były koniecznością historyczną. Nie nam tutaj w tym skromnym szkicu nakreślać drogi i znaczenia buntów w imię „wiecznego piękna", które znaczyły drogi wielkich artystów tamtej epoki: Karola Szymanowskiego, czy Zofii Nałkowskiej. Ale niemniej zgodzić się nie mogę, aby je fałszami nazywano. Tak jak Szymanowski musiał przejść przez epokę swych Hafisów i Muerrinów, aby powrócić do „Harnasi" i „Pieśni Kurpiowskich", tak Nałkowska przeszła przez epokę brzoskwiń i wykwintów, aby wrócić do „Domu nad Łąkami", aby ujrzeć że jej ojciec ma rację. Często powracamy na ścieżki, którymi chadzali nasi ojcowie, nigdy nie są to jednak te same ścieżki, wracamy bowiem na nie jako inni ludzie, z balastem własnych przeżyć i zrozumień, z balastem żyć całych nawet — i z całą nowością jaką tworzy zawsze odmienny, osobny człowiek.

„Dom nad Łąkami" to także pierwsze zwrócenie się Nałkowskiej do „małych ludzi" — a raczej spostrzeżenie, że „mali ludzie" są ludźmi. Trochę nas razi dziś w tej książce jej filantropizm, zniżanie się jakby autorki do swych bohaterów, ale to wrażenie szybko mija w świetle prawdziwego i zadziwiającego „piękna autentyczności". „Wszystko (w tej książce) — powiada Wilhelm Mach — dokumentuje świetność wypracowanej w ciągu dziesięciu lat, dalekiej od wszelkich schyłkowych receptur, realistycznej metody twórczej. Celowość i celność każdego zdania, skromność środków powodujących optimum wzruszenia, prostota i logika konstrukcji — oto rezultat pełnej samowiedzy artysty, intelektualnego opanowania formy dla potrzeb wyrażanych przez nią treści".

W swojej pasji życia, w podróży dążącej do odszukania człowieka Nałkowska natknęła się na najbliższych, otaczających ją ludzi i w „Domu nad Łąkami" odkryła warszawskiego czy podwarszawskiego sąsiada, który swą wymowną prawdą życia, swym stosunkiem do świata tyle już naszych pisarzy nauczył. Realizm warszawski Prusa i Konopnickiej ma tyle ludowi naszej stolicy do zawdzięczenia co realizm warszawski Nałkowskiej. Piękny choć złośliwy, inteligentny choć uczepliwy, zadziorny, ale noszący w sobie zawsze zaródź bohaterstwa, bohaterstwa walki i bohaterstwa pracy lud naszej stolicy stał się współtwórcą przełomu Nałkowskiej i jej największych triumfów zwycięskich nad samym sobą. Niezapomniana ta kobieta z „Domu nad Łąkami", zbiedzona i nieszczęśliwa, nędzna i wyżyłowana przez życie — która oglądając pejzaż podwarszawski złożony z odrobiny piasku, odrobiny trawy i kilku sterczących sosen powiada: „wyjdę ja przed furtkę, spojrzę ja przed siebie — i wesoło mnie!" jest tego odnalezienia najlepszym wyrazem.

Te najprostsze odkrycia — ale odkrycia po odbyciu dalekich podróży i dalekich dewiacji — prowadzą Nałkowska i do odsłonięcia mechanizmu walk, i uwarunkowania istnienia człowieka. Takie powieści jak „Romans Teresy Hennert" lub „Granica" widzą i ukazują nam już nie człowieka samotnego, lecącego w przepaść Wisły jak słabiuchna, zadręczona życiem Marusia. Odsłaniają one nam najgłębsze ludzkie powiązania, owe „węzły życia", którymi każdy z nas jest łączony, jako członek swego narodu, swej klasy, syn swego czasu, dziedzic swej przeszłości. Śledząc jak najuważniej i jak najostrzej liczne rozgałęzienia owych powiązań, Nałkowska stawia ostateczne pytanie: jaka jest „granica" tych powiązań? Gdzie przechodzi linia demarkacyjna pomiędzy jednostką a całością społeczeństwa? Gdzie są „granice" czynu indywidualnego?

I tutaj odpowiada bez wahania — zarówno konstrukcją losów swoich bohaterów — zwłaszcza w znakomitej swej najdojrzalszej powieści, której nawet tytuł brzmi „Granica" — że wartość każdego czynu odmierzona musi być nie miarą subiektywną lecz miarą jego wartości społecznej. Oderwany od tła człowiek Nałkowskiej — otrzymuje w ostatnich jej książkach ową rzecz najważniejszą — tło i powiązanie. Z bohatera romansu staje się współczynnikiem twórczego, nowego życia.

Na marginesie niejako — poza nawiasem tych rozważań — istnieje jeszcze wiele pozycji dorobku pisarskiego Nałkowskiej, które chyba z wielkim naciąganiem dałoby się wtłoczyć w ramy schematów takich, jakie stwarza dla Nałkowskiej współczesna krytyka literacka. Należą tutaj dramaty jej, a przede wszystkim niezwykła, zadziwiająca, wypaczona w swych założeniach, wydziwaczona w swych formach — ale fascynująca powieść „Niecierpliwi". Leży ona poza granicami linii rozwojowych, którymi kroczył talent pisarski Nałkowskiej. nie ma ona nic z odkrywczości „Granicy" sąsiadującej z nią o miedzę — a raczej odkrywczość jej jest fałszywa, pozwólmy sobie tutaj na to słowo. Determinizm jej, szczegółowo uzasadniony, ciąży nad jej bohaterami lecz raczej z nas czyni niecierpliwych. Tragedia w rodzaju rodu Atrydów, irracjonalnie ponura — przejmuje nas jednak i wzrusza. Wielka sztuka pisarska Nałkowskiej odnosi tu wspaniały triumf zdobywając czytelnika i podporządkowując go sobie, pomimo jego wyraźnego wewnętrznego oporu. Mówienie o tej powieści psuje mi tak pięknie zbudowane rusztowanie, tak ładnie określony schemat twórczości Nałkowskiej. Jak widzieliśmy Mach w swoim studium ułatwił sobie zadanie prawie wcale o niej nie mówiąc — a jednak skłamałbym samemu sobie nie powracając myślą do tej niesprawiedliwej, okrutnej, dziwacznej a wspaniałej książki, gdyż dla mnie osobiście jest to może u Nałkowskiej najniezwyklejsze osiągnięcie jej wielkiej sztuki. Niestety, dla mojego gustu nie mogę znaleźć teoretycznych uzasadnień.

Droga Jubilatko — bez końca jeszcze moglibyśmy tak mówić o Twojej twórczości i tematy nasuwałyby się nam długim szeregiem — gdyż nie poruszyłem tutaj i dziesiątej części tego, co chciałem powiedzieć. Ale ani czas po temu, ani kompetencje moje mnie do obfitszej analizy nie upoważniają. Ot, zebrałem garść uwag, które mi się cisnęły na usta jako uczniowi, wielbicielowi, przyjacielowi Twojemu — i które w wielkim pośpiechu i chaosie tutaj wyłożyłem. Zanim jednak zakończę chciałbym przez chwilę zatrzymać się na dziełku małym rozmiarami, wielkim osiągnięciami, na dziełku, któreś nam i literaturze polskiej ofiarowała po wojnie i po czarnej nocy zbrodniczej okupacji. Jak poławiacz pereł z odmętów tej nocy wyniosłaś prawdziwy klejnot umiaru, inteligencji, zrozumienia, analizy — i stworzyłaś z niego instrument najpoważniejszego oskarżenia faszyzmu i ludobójstwa. Tylko z głębokiej mądrości i wielkiego uczucia rodzą się takie dzieła, na pozór powściągliwe i chłodne, a w rzeczywistości palące i porywające. To Twoje wielkie „J'accuse" godne jest twego wielkiego pisarstwa, Twojej kultury, Twojego dziedzictwa. Powiem więcej — godne jest polskiej literatury i jej największych tradycyj. Oczywiście wszyscy wiedzą, że mówię tu o „Medalionach".

W swoim skomplikowanym dążeniu do prawdy artystycznej, na drodze tych przemian, o których mówiłem na początku, miła Jubilatko, osiągnęłaś wreszcie doskonałość: „artyzm (Medalionów) — znowu powołam się na Macha — zrośnięty z faktami tak, że niewidoczny, nie do wydzielenia, choć jego najpełniejszą obecność czuje się w każdym słowie". Oto jest Twoje najwyższe osiągnięcie, a zarazem najwyższe osiągnięcie każdego artysty. Odnalezienie prawdziwego piękna. Nie w w aksamitach, i brokatach, nie w zaułkach Florencji i zakamarkach do średnowiewiecznego miasta podobnej egoistycznej duszy kobiecej— ale w ukochaniu człowieka, zrozumieniu jego losu, zespoleniu się z nim w wielkim pisarskim wyrzeczeniu swcich dumnych ,ale już teraz niepotrzebnych buntów odnalazłaś najwyższe i wymarzone przez siebie autentyczne piękno. Dostępne ono każdemu, każdego zachwyca, każdego poucza, każdego wzywa do walki — daj Boże wszystkim nam piszącym osiągnąć w tym stopniu te cele, któreś Ty sobie przed laty postawiła. Przysporzyłaś nam mocy, Zofio, bo jak wiadomo, „piękne rzeczy dodają sił".

I jeszcze jedno. W dniu dzisiejszym i dniach następnych otoczą Cię hołdy, życzenia, powinszowania. Nic w tym nie będzie dziwnego. Rzadko który pisarz może się poszczycić takim jubileuszem; w wieku XIX już dwudziestopięciolecie działalności pisarzy czczono wielkim świętem narodowym. Wśród tych świątecznych słów i wyrazów hołdu, które przyjdą do Ciebie ze wszystkich stron, pamiętaj o jednym, że ten jubileusz bynajmniej nie jest jakimś zamknięciem, zakończeniem czy pożegnaniem. Linia Twojej twórczości znajduje się dzisiaj u szczytu, czekamy od Ciebie i dalszego ciągu „Węzłów Życia", i nowych jeszcze, wciąż nowych książek. Winna je jesteś nam wszystkim, winna czytelnikom, winna wielkim i trudnym przeżywanym przez nas czasom.

Bo cóż za drogę, kochana Zosiu, dane nam było przemierzyć — od stosunków na poły feudalnych, jak ja powiadam, sięgających jeszcze XVII wieku, aż po dzień dzisiejszy tak nabrzmiały nowymi rzutami w przyszłość. I jeżeli naprawdę, jak mówisz, „jesteś cała zaszyta w teraźniejszość" — to musisz przeżywać bardzo intensywnie sprawy teraźniejszości, swym ogromem, swym porywem przechodzi nasze dawne wyobrażenie. Cóż za zadanie dla nas, pisarzy, sprostać tym oddechom. I cóż za radość, że stoimy tu w jednym szeregu z młodymi, idziemy razem z nimi, odczuwamy te same niepokoje i te same trwogi, te same także radości. W czasach dzisiejszych i ich treści kryje się tajemnica naszej młodości. Bo przy nas rodzi się nowy świat, świat prawdziwy i sprawiedliwy; mimo ciężkich błędów i straszliwych trudności możemy powtórzyć wszyscy za tobą z największą radością: „widzimy jasno trwogę ustrojów przeżytych przed wydźwigającym się ponad nie twórczym, radosnym i sprawiedliwym światem pracy, któremu wojny nie będą potrzebne".

Jarosław Iwaszkiewicz

NA DAWNYM MIEJSCU ŻYCIA

(Dokończenie ze str. 3-ej)

był małym pokoikiem między dwoma stryszkami. Przywiózł go tu ze sobą Antoni Bolesław Dobrowolski, ten sam, który z wyprawą Belgiki zimował w pobliżu bieguna południowego i ten, który napisał niezwykłą książkę **Historia naturalna lodu.** A dawniej, w głębi dzieciństwa przyjeżdżał tu przyjaciel ojca, mądry i bardzo dowcipny Ignacy Radliński, u którego było jeszcze więcej książek, niż u nas, autor **Historii jednego Boga** i **Historii jednego z Synów Bożych** oraz jego córka Hela Radlińska, która zrobiła się później Boguszewską i napisała śliczne **Czekamy na życie,** gdzie właśnie jest mowa o tamtym czasie. Przyjeżdżał na te Górki autor książki **Ideał wszechludzki w poezji współczesnej** i **Galeria ostatnich dni** o malarstwie europejskim, Cezary Jellenta, którego syn, Alfred, zginął później w niepotrzebnej wyprawie kijowskiej. Była tu też Marynia Komornicka, pisząca do Chimery niezwykłe poezje, **Baśni i Psalmodie** i bojąca się kotów, z którą rozmawiałam jak dorosła o **Głodzie** Hamsuna, na tej ostatniej górce pod sosnami, gdzie najwcześniej kwitły sasanki. Mówiłam, że nie rozumiem strachu przed obłąkaniem, który tam był opisany, że właśnie jedyna rzecz, jakiej jestem pewna, to myśl i świadomość. Ona pochwaliła pegadogicznie, że tak mniemam, ale wyznała, że sama uczuwa niekiedy ten strach. I w wiele lat później zmarła w Tworkach po długiej chorobie.

Przyjeżdżał jeszcze Leo Belmont, także przyjaciel ojca, redaktor **Wolnego Słowa,** obrońca więźniów politycznych, tłumacz **Onięgina.** Umarł w czasie ostatniej wojny, zamknięty w getcie warszawskim. I w czasie ostatniej wojny odebrał sobie życie Władysław Spasowski.

Później, gdy zaczęłam chodzić na to, co wówczas nazywało się „pensją", mieszkaliśmy już w Warszawie, tylko wakacje spędzając na Górkach. Mieliśmy i wtedy różne porozumienia i przyjaźni. Ale nic nie było naprawdę ważne, póki nie zostało przewleczone przez Górki.

Widok z okien tamtego zmienionego domu stał się, jak mówiłam, po wycięciu lasów okolicznych jeszcze piękniejszy, niż w dzieciństwie. Jednak rodzaj zniszczeń i zaniedbań — nie uprawne zagonki na dole, wycięcie drzew owocowych, zrujnowane obmurowania tarasów — dawniej mających zbocza tylko darniowane, rozwalone kamienne schody w miejscu, gdzie dawniej rosły brzoskwinie — to wszystko było dla mnie wciąż nie dość zrozumiałe.

Pod wieczór pojechaliśmy stamtąd do odległego tylko o dwa kilometry miasteczka W., gdzie właśnie miała się odbyć uroczystość Komitetu Obrońców Pokoju. Uczestnicy wypełnili całkowicie dużą, czystą i jasną salę — mieszkańcy miasta, robotnicy nieczynnych przed wojną fabryk, pracownicy instytucji społecznych, członkowie organizacji. Wygląd ich i zachowanie niczym się nie różniło od takich samych zebrań w stolicy. I tu nie mogłam poznać miasta, znanego mi od dzieciństwa. Przewodniczący Komitetu w pięknym referacie zdał sprawę ze wspaniałego przebiegu i zasięgu wielkiej akcji składania podpisów pod apelem sztokholmskim. Były jeszcze inne przemówienia, a później muzyka i śpiew. Obecny mieszkaniec „domu nad łąkami", obywatel S., czuwał nad wykonaniem programu, którego jednym z numerów była też recytacja jego poezji. Zapowiadane i objaśniane przezeń popisy młodych muzyków i śpiewaków zdziwiły mnie swym poziomem. Okazało się, że w tym niewielkim mieście powstała po wojnie obok innych także szkoła muzyczna.

Po ukończeniu koncertu zostaliśmy jeszcze czas jakiś w sali, rozmawiając.

I teraz dopiero jakby domknął się krąg rzeczywistości, doznanej przeze mnie w tym dniu niezapomnianym. Stało się jasne to, czego — oglądając tak zmienioną okolicę „domu nad łąkami" — nie umiałam zrozumieć. Dowiedziałam się mianowicie, że na tamtych miejscach było przez czas wojny getto.

Tam odbywały się egzekucje, dymiły pożary, tam ludzie umierali w męczarni, tam kończył się w ich oczach świat. Aż jednego dnia tym, którzy jeszcze żyli, kazano się zabierać. I stamtąd właśnie wyszły tłumy nieszczęsnych, pędzone szosą na miejsce wiadomej śmierci.

Zofia Nałkowska

ZOFIA NAŁKOWSKA

Pięćdziesięciolecie

Przemówienie wygłoszone podczas uroczystości jubileuszowej w Związku Literatów.

Muszę wyznać, że to piękne święto budzi we mnie uczucia istotnej wdzięczności i zarazem głębokie zastanowienie. Wyznacza bowiem jakiś punkt stały pośród zamętu nieprzejrzanych lat mej biografii, skłania do opamiętania.

Jedna z mych bohaterek, niejaka pani Cecylia Kolichowska, wyraziła się kiedyś w sposób następujący:

— Wszystkiego byłabym się spodziewała, ale tego, że będę stara, to nigdy.

Miała rację o tyle, że zarówno dzieciństwo, jak młodość, są naszym najdawniejszym przyzwyczajeniem. A przyzwyczajenie staje się — jak wiadomo — drugą naturą.

Gdybym obchodziła dzisiaj rocznicę pięćdziesiątą mych urodzin — już by to było zastanawiające, już by mi to całkowicie wystarczyło. A tu okazuje się, że to jest pięćdziesięciolecie mej twórczości. Ładna rzecz!

Do przywilejów wieku tak dojrzałego należą jak słyszałam różne rwania i darcia, a niekiedy też pewne rozgoryczenia. Na to się nie uskarżam. Dolega mi tylko ostatnio dość uporczywy udział w *jury* nagród i sądach konkursowych. Sprawia to bowiem, że muszę czytać dużo cudzych tekstów, zamiast pisać własne.

Nikt, sądzę, nie pomówi mnie o próżność, jeżeli wyrażę przypuszczenie, że jestem w tej sali osobą najbardziej zasobną pod względem uzbieranych lat.

To sprawia, że postanowiłam zwrócić się do mych młodszych kolegów z jedną prośbą. Chciałabym, aby zechcieli przekazać nadchodzącym pokoleniom kilka prawd na mój temat.

Idzie mi mianowicie o sprostowanie trzech błędnych mniemań, związanych z moim pisaniem i poniekąd osobą.

Oto one:

Jedno dotyczy pięknego motta, zdobiącego pierwszą powieść moją „Kobiety". Motto brzmi mianowicie: „Nie dowierzajcie mojemu ulowi. Pszczoły w nim są, ale miodu nie ma".

W Obrazie współczesnej literatury polskiej Czachowski powiedział, że jestem pod wpływem Oskara Wilde'a i na dowód przytoczył to motto. Odtąd powtarzano parokrotnie, że jest ono wziętą przeze mnie cytatą z Wilde'a.

Tymczasem piękną metaforę o pszczołach i miodzie wzięłam z opowiadań mego ojca o losie jakiejś wyspy na oceanie. To wódz szczepu niewinnych wyspiarzy powitał tak imperialistycznych napastników: „Nie dowierzajcie mojemu ulowi, pszczoły w nim są, ale miodu nie ma".

Drugą złą o mnie informacją jest znowu motto, poprzedzające „Księgę o przyjaciołach". Zawiera ona nowele zwierzęce Marii Wielopolskiej i moje. Przez omyłkę motto, którym opatrzyła Wielopolska napisaną przez siebie część książki, znalazło się przed moim tekstem. Brzmi ono: „Im bardziej poznajemy ludzi, tym więcej kochamy zwierzęta". I to też było przytaczane przez krytykę na mój rachunek — zresztą niestety życzliwie.

Tymczasem jest to stanowisko jak najbardziej z moim sprzeczne. Najbardziej bowiem ukochaną istotą, poręczającą mi dobro rzeczywistości, jest dla mnie człowiek. Kocham również zwierzęta dlatego właśnie, że przypominają mi ludzi, że niejako dały im początek. Co więcej — żyjąc bliżej ze zwierzętami — najlepiej widzę, jak łatwo swe złe instynkty pozwalają przerabiać na dobre, jak chętnie ulegają perswazji, jeżeli do nich podejść tylko z sercem.

Trzecie wreszcie zniekształcenie prawdy o moim charakterze, nadające się może do sprostowania, znajduję w dyskusyjnym zeszycie *Słownika współczesnego języka polskiego.* Pod hasłem g o d z i n a przytoczono tam jako przykład zaczerpnięte z „Domu nad łąkami" takie — zasługujące istotnie na szczególną uwagę — słowa „I j e ż e l i s t a n i e s i ę, ż e u m r ę... o t y m w ł a ś n i e p o m y ś l ę w o s t a t n i e j g o d z i n i e. Nałk.".

Zdanie to daje najbardziej nieuprzedzonemu czytelnikowi prawo do pomówienia mnie o przesadną ostrożność, podaje po prostu w wątpliwość stan mojej równowagi psychicznej. „Jeżeli stanie się, że umrę" — nie, to już naprawdę przesada. W tym względzie doświadczenie poucza, że — co jak co — ale na to przecież możemy liczyć z całkowitą pewnością, to mamy jednak ponad wszelką wątpliwość zagwarantowane.

Otóż proszę zaświadczyć wobec potomnych, że tak dalece idący sceptycyzm jest mi naprawdę obcy, że po prostu znajduję się jeszcze na razie w pełni władz umysłowych. Bowiem zdanie, że tak powiem inkryminowane, brzmi w oryginale po prostu: „I j e ż e l i s t a n i e s i ę, ż e u m r ę gdzie indziej— o t y m w ł a ś n i e p o m y ś l ę w o s t a t n i e j g o d z i n i e ".

Z góry dziękuje za spełnienie tej prośby, a tym samym przywrócenie mi honoru i po prostu opinii osoby, 1⁰ nie biorącej z Wilde'a tego, czego w nim nie ma, 2⁰ nie żądającej od ludzi, by stali się zwierzętami i 3⁰ nie pretendującej do nieśmiertelności w znaczeniu tak ściśle dosłownym, choć chętnie rojącej o niej w przenośnym — wyrażam wdzięczność zebranym kolegom i przyjaciołom za życzliwy udział w tym naprawdę nieoczekiwanym i pięknym dla mnie wieczorze.

Zofia Nałkowska

WĘGIERSKIE DYSKUSJE O LITERATURZE

Centralnym problemem zeszłorocznego Kongresu Pisarzy Węgierskich była walka ze schematyzmem w literaturze. Zagadnienie to dyskutowano długo i wyczerpująco, przy czym wśród wielu głosów niewątpliwie najciekawszą była wypowiedź ministra Wychowania Ludowego, Józefa Revai'a na temat „Zadań literatury węgierskiej". (Szczegóły w lipcowym numerze „Twórczości" z r. 1951).

Józef Revai stwierdził m. in., że „walka ze schematyzmem jest walką przeciwko płytkiej literaturze, w której występują takie postacie, z którymi czytelnik nie umie się naprawdę stopić w jedno. Nie potrafi z nimi razem nienawidzić, kochać i nie ma chęci razem z nimi walczyć i działać. Walczyć przeciw schematyzmowi o stworzenie literatury prawdziwie wychowującej człowieka, znaczy t w o r z y ć ż y w y t y p o b d a r z o n y i n d y w i d u a l n o ś c i ą, który właśnie dlatego jest określonym typem, że posiada indywidualność. Obowiązkiem pisarza jest uogólnić zjawiska zachodzące w życiu, na świecie, w rzeczywistości. Dalej jego obowiązkiem jest oddzielenie rzeczy istotnych od nieistotnych. Czy literatura węgierska potrafiła już stworzyć typ tego rodzaju? Nie".

Od dni kongresu minął rok. Ukazał się szereg nowych powieści i tomików wierszy. Jakkolwiek niektóre z tych utworów stanowią wyraźny krok naprzód, problem schematyzmu w literaturze węgierskiej jest nadal aktualny, o czym świadczą dalsze wypowiedzi na ten temat w prasie literackiej.

Miesięcznik „Csillag" z lutego 1952 r. — organ Związku Literatów Węgierskich przynosi m. in. tekst odczytu Jerzego Lukacsa pt. „Dzisiejszy stan walki ze schematyzmem i nowopowstałe problemy".

Na wstępie swojego referatu Lukacs stwierdza, że na odcinku rozwoju literatury zaznaczyły się nowe trudności, wśród których najważniejszą było to, że pisarzy owładnął lęk przed krytyką. Jeżeli krytyka ma s ł u s z n o ś ć choćby w pięciu procentach, słuszność wyrażoną nawet w niewłaściwej formie to pisarz na podstawie tej krytyki może i powinien się uczyć. Całkowicie fałszywe oceny w krótkim czasie tracą swoją ważność i nikt ich potem nie pamięta. Nie ma zatem powodów do obaw. A jeżeli obawy istnieją, świadczy to, że znaczną część pisarzy cechuje słabość ideologiczna, wyrażająca się w przesadnej wrażliwości.

Przyczyn słabości literatury nie należy szukać na zewnątrz. Błędy literatury to błędy samych pisarzy, którzy winni je zwalczać z pomocą kolegów, krytyki, Partii. Ale głównie własnym wysiłkiem twórczym. Najpoważniejszym niebezpieczeństwem jest dla literatury schematyzm. Najbardziej jaskrawą cechą literatury schematycznej jest brak typowych postaci. Postacie często traktowane są szkicowo i u niektórych autorów prezentują sztuczną treść polityczną i ideologiczną. Błędne jest twierdzenie, jakoby ładunek ideowy dzieła miał tłumić jego wartość artystyczną, jakoby partyjność miała szkodzić artystycznej stronie literatury. Dzieła schematyczne są martwe nie wskutek nadmiaru ładunku ideologicznego, lecz przeciwnie wskutek jego ubóstwa. Treść polityczna dzieł jest pusto brzmiącym frazesem, a tego rodzaju ujęcie z góry uniemożliwia bogate obrazowanie życia.

Dalej rozprawia się Lukacs z przesądem, jakoby partyjność miała szkodzić bogatej, obfitującej w prawdę życiową twórczości, jakoby sprzyjała szablonowi. Nie było w literaturze świata takiego pisarza, który by nie zajmując określonego stanowiska wobec rzeczywistości mógł stworzyć żywą postać. To zagadnienie nie jest wymysłem narzuconym literaturze przez marksistów. Jest ono podstawowym zagadnieniem wszystkich literatów, a w literaturze realizmu socjalistycznego charakteryzuje się wyższym poziomem świadomości.

Schematyzm w literaturze bardzo często przejawia się w ten sposób, że pisarze pokazują g o t o w e rezultaty, zamiast procesu t w o r z e n i a s i ę nowego człowieka. A zatem z dynamiki życia robią statykę. Tymczasem pisarz powinien pokazać, skąd człowiek przyszedł, dokąd idzie i gdzie się znajduje. Jeśli od razu pokazuje gotowy rezultat — musi popaść w szablon. Szablon pomija to co jest bardzo ważne, mianowicie: stopień narastania ś w i a d o m o ś c i i r o z w o j u. U pisarza schematycznego występują szkodnicy i komuniści, a ponieważ komuniści są przeważnie dobrymi komunistami, więc pod względem uświadomienia stoją zwykle na jednym poziomie. Zachodzi tu jakiś metafizyczny kontrast pomiędzy świadomością a nieświadomością. Można go uniknąć tylko poprzez opis procesu narastania świadomości. W przeciwnym razie zniknie to nadzwyczajne bogactwo i zróżniczkowanie między postaciami o różnych stopniach świadomości. Społeczeństwo kapitalistyczne oddzieliło człowieka od człowieka, zwłaszcza odosobniło inteligencję i pisarzy. I dlatego pisarze zamykali się w sferze życia prywatnego. Natomiast społeczeństwo socjalistyczne nie tylko łączy życie prywatne z publicznym, lecz także zespala dążenia indywidualne z powołaniem, pracą i za pośrednictwem tego — z życiem publicznym. Stąd wynika możliwość o d t w a r z a n i a węzłowych zagadnień życia poprzez sprawy pracy i powołania człowieka, wynika możliwość takiego uchwycenia problemu jednostki, jakiej w dawnej literaturze nie było. Tu nasuwają się prawdziwie literackie problemy: indywidualność i typowość. Można je rozwiązywać tylko łącznie. Pisarze podchodzą do tego zagadnienia z obawą, zwłaszcza gdy chodzi o życie ludzi Partii. Na przykład w powieści Orkeny'ego pt. „Małżeństwo" autor zamiast pokazać, w jaki sposób jeden z jego bohaterów został sekretarzem koła partyjnego, ograniczył się do opisu przemian, jakie zaszły w jego postępowaniu po objęciu funkcji. Tu uchylenie się Orkeny'ego od zasadniczego zadania jest schematyzmem. Podobnie ma się sprawa z portretami postaci negatywnych. Zły funkcjonariusz partyjny przedstawiony schematycznie

ANNA KAMIEŃSKA

PIERWSZY ALARM

Wieś — to centralny punkt naszej aktualnej problematyki współczesnej. To miejsce zapalne naszej rewolucji socjalistycznej, ognisko walki klasowej i tej wewnętrznej, i tej kierowanej obcymi rękami z obozu imperializmu. Walka o spółdzielczość produkcyjną na wsi na obecnym etapie to walka o socjalistyczną Polskę. Truizmy. Ale nigdy nie dość podkreślane w środowisku literackim, w dyskusjach nad współczesną sztuką. W ciągu ostatnich trzech lat nasilenia walki klasowej na wsi powstało u nas niemało książek o tematyce wiejskiej, powstały dramaty, scenariusze filmowe, do zagadnień współczesnej wsi sięgała poezja. Ale nie znaczy to bynajmniej, aby sprawa artystycznego ujęcia problematyki wsi posunęła się wyraźnie naprzód, abyśmy w tej dziedzinie mieli poważniejsze osiągnięcia. Nie mamy jeszcze książek, które by dzięki dojrzałemu ideowo i artystycznie kształtowi mogły głębiej oddziaływać i w walce o nową wieś przyjąć swój aktywny udział. Nie mamy nawet skromnego odpowiednika „Zoranego ugoru" Szołochowa.

Nasza literatura dotycząca wsi, nasza powieść wiejska, bo o niej zwłaszcza chcę mówić, jest ciągle z nielicznymi wyjątkami literaturą trzeciorzędną. Nie bez wpływu na to jest fakt, że pisarze dojrzalsi ideowo i artystycznie nie znają na ogół współczesnej wsi, że stronią od niej jako od tematu. Z trudną problematyką wiejską borykają się albo niedoświadczeni pisarze-samoucy, pochodzący ze środowiska chłopskiego, albo poeci uprawiający prozę ubocznie, albo wreszcie pisarze najmłodsi.

A przecież tzw. przez pozytywistów „kwestia chłopska" zaprzątała umysły wszystkich naszych wielkich pisarzy od czasów narastania rewolucji burżuazyjnej. Nie miejsce tu na odpowiednie compendium z historii literatury. Ale dobrze jest przypominać sobie, że szlak ten znaczony jest wieloma nazwiskami. Mickiewicz, Kraszewski, Orzeszkowa, Konopnicka, Prus, Sienkiewicz, Reymont, Żeromski, Orkan. Każdy pisarz polski wieku XIX i początku XX, z tych, którzy poczuwali się do odpowiedzialności za sprawy narodu — stawiali i rozstrzygali dla siebie na swój sposób problem wsi i chłopa polskiego, którego kosztem narastał w Polsce kapitalizm, a dzięki któremu to chłopstwu — jak przeczuwali — naród mógł jedynie zaspokoić swoje dążenia wolnościowe.

W literaturze dwudziestolecia narastać zaczął rewolucyjny nurt powieści poświęconej wsi. Wyrastał on ze świadomej już postawy rewolucyjno - marksistowskiej. Proza Kruczkowskiego, Kowalskiego, Wasilewskiej ostro zarysowała konflikty klasowe wsi prowadząc do rewolucji.

Reforma rolna 1944-45 roku zlikwidowała feudalizm i dokończyła dzieła rewolucji burżuazyjno-demokratycznej na wsi. Literacko-pozytywistyczna tzn. pouwłaszczeniowa kwestia chłopska, narastająca już w okresie dwudziestolecia sprzecznościami, konfliktami i strajkami, stanęła wobec nowych już zagadnień, innych przejawów walki.

Zlikwidowany został dwór. Pozostał drugi członek sojuszu: kułak. Dwór pozostał chyba jako zawieszone w próżni ramię wrogich agentur.

Niedostateczność reformy, pogłębiający się podział klasowy wewnątrz wsi i zaostrzająca się walka klasowa, sojusz robotniczo-chłopski przejawiający się realnie w całej polityce ludowego państwa, samorzutne organizowanie się spółdzielczości produkcyjnej, awans młodzieży wiejskiej, rozwój kultury i oświaty — to główne zakresy treści tego wielkiego tematu, jakim jest dla współczesnej literatury wieś.

A w tym wszystkim to, co jest właściwą, bezpośrednią treścią utworu literackiego — człowiek, a wiec chłop — jego nowe kształtujące się oblicze, jakże często niedostrzegane przez pisarzy pod patyną wielorakich konwencji literackich. Bo historyczna perspektywa tematu chłopa w naszej literaturze pomaga ale też niekiedy utrudnia stworzenie realistycznego, współczesnego obrazu.

Pisarze, którzy stanęli po reformie wobec przedstawienia obrazu nowej wsi w zmienionych warunkach ustrojowych — nie nawiązali niestety bezpośrednio do rewolucyjnego nurtu powieści wiejskiej. W pierwszych latach po reformie zapanował w tematyce wiejskiej duch gloryfikacji nowego ustroju wsi. W powieściach, opowiadaniach i wierszach — reforma czyli działka parcelacyjna stała się ostatecznym punktem dojścia zwłaszcza z rezerwuarem Ziem Odzyskanych. Pisarze zaczęli przeoczać sprzeczności klasowe wsi po reformie. Na działaczy partyjnych czekała kula zza węgła, banda kierowana rękoma byłego obszarnika lub jego sługusa. Oto jedyne niemal przejawy walki. I kto wie czy nie literatura na pół dokumentarna w tym okresie podtrzymała prawdę o wsi— prawdę codziennej, ostrej i coraz gwałtowniejszej walki klasowej wewnątrz wsi. Walka ta przybrała na sile wraz z wysunięciem sprawy spółdzielczości produkcyjnej. Pojawiły się nowe konflikty, nowe sytuacje i nowe postacie. Pisarze nie umieją ich jeszcze dostatecznie uchwycić. Nie tylko dlatego, że zabrakło im plastyki pióra, ale że wyznając przeważnie ideologię marksistowską, zbaczają niekiedy na błędne pozycje, przyjmując wraz z pewną konwencją literacką przebrzmiały światopogląd. W tym wypadku wyraźny staje się dysonans między dobrą intencją ogólną i praktycznie fałszywą anachroniczną postawą pisarską.

Poza naiwnie przyswojoną konwencję reymontowsko-orkanowską nie wychodzi obszerna powieść *Marii Wardasówny „Wyłom"*, w której prymitywny wątek romansowy, zaciemniony gwarą, przeplatany jest wstawkami obyczajowo - etnograficznymi. W *„Opowieści wierzbowej" Zofii Dróżdż-Satanowskiej* wątki powieści szpiegowsko - detektywistycznej przeplatają się z ckliwym romansem w stylu Kraszewskiego. Tej źle skomponowanej, wielowątkowej powieści starczyłoby na kilka „Chat za wsią". Poza tym założenie ideologiczne, postawa bohatera — Jasienkowskiego — jest tu w gruncie rzeczy przejawem mieszczańskiego indywidualizmu. Robotnik jedzie pracować jako działacz polityczny na wieś, ponieważ taka jest jego moralność. W gazetowo-melodramatycznym stylu wielu dialogów tej książki tkwią moralistyczne racje poprawiania ustroju, konwencja pozytywizmu.

Podobnie w *„Sprawie Marcina Piechoty" Jana Koprowskiego*, tej powieści dla grzecznych robotników i chłopów, działaczowi przypisuje się rolę męża opatrznościowego podciągającego lud w górę.

Również szkodliwą konwencją literacką jest podkreślanie „chłopskości" typów przez tzw. krzepę, przez trywialne wyrażenia, przez owe liczne „smrody" chłopskich dialogów. Jest to oczywiście zwulgaryzowana konwencja naturalizmu. „Spółdzielni ci się zachciewa, dzwonka dworskiego? To przywiąż se ten dzwonek między nogami, i niech ci dzwoni, głupi pieronie!" — brzmi jedno z elegantszych przemówień chłopa w powieści *„Zapomniana wieś" Józefa Mortona.*

Błędem jest reformizm czy też naiwny radykalizm wielu powieści, a więc *Gałaja („W rodzinie Lebiodów"), Satanowskiej, Koprowskiego, Marca („Słońce wschodzi", „Olchy", „Most nad urwiskiem").* Postawa tego naiwnego radykalizmu polega na mocolnym częstokroć przedstawianiu wizji nowej lepszej wsi, stworzonej przez rozwój kultury jakby niezależnie od systemu ekonomicznego. Paradoksalnie i po prostu wyłożył tę postawę Julian Gałaj ustami swego bohatera-działacza. „Czego wy się tak boicie?" — zapytuje on chłopów niechętnie usposobionych dla nowości ustrojowych — „Gazet? Książek? Elektryczności?" Dla Gałaja to właśnie są podstawowe elementy rewolucji: gazety, książki, elektryczność. Są one nimi oczywiście, ale dopiero w związku z rewolucją ekonomiczną. Tak wygląda jakby działaczowi Gałaja wystarczył Lisków czy też tysiąc Liskowów w Polsce. — „I pomyśleć — mówi ten sam bohater Gałaja — że gdyby ludzie, co siedzą po tak nędznych chałupkach, złączyli swoje siły i zamiast na kłótnie przeznaczyli je na wspólne budowanie, jakby to życie na wsi wyglądało!" Mimo dobrych intencji Gałaj źle maluje w tych słowach sens walki klasowej toczonej dziś na wsi.

Inną wlokącą się konwencją literacko-ideologiczną jest pseudo-intelektualizm uprawiany przez Teodora Goździkiewicza, który określiłam kiedyś jako „zarażanie inteligentem". Inteligencki kompleks naszej literatury powojennej przenosi Goździkiewicz na teren wsi. Jego inteligent na wsi, nauczyciel czy działacz, musi nosić cechy sceptycyzmu i wewnętrznego rozdarcia. Jest czytelnikiem Ibsena i Żeromskiego. Konflikt przebiega po linii: inteligent — prostak. Autor przedstawiając swego inteligenta na tle wsi uprawia obowiązkowy w tym wypadku psychologizm. Ta kategoria społeczna — chłopskiego inteligenta — to kompleks całego błędnego systemu agraryzmu, związanego z „Wiciami" i Uniwersytetami Ludowymi. Niewolne od tego kompleksu były powieści autobiograficzne Stanisława Piętaka, bardziej jednak krytycznego w stosunku do siebie i swojego bohatera.

Najbardziej może, i to w sensie ogólnym, zaciążyła reymontowska tradycja szerokiego epickiego ujęcia obrazu obyczajowego wsi. Takie ambicje stworzenia nowej wiejskiej epopei, obejmującej lata przełomowe dla wsi, nie wydawałyby się złymi ani tym bardziej szkodliwymi ambicjami. Ryszard Matuszewski w swoim artykule o znajomości współczesnego życia w literaturze powieściowej zarzuca naszej literaturze wadę wręcz odwrotną — brak wielkich, szerokich ujęć epickich, ograniczanie się do zwężonego odcinka rzeczywistości, wybór jednego problemu. W odniesieniu do powieści wiejskiej byłby to zarzut niesłuszny i gołosłowny. Ambicje szerokich ujęć są. Nie ma ich przekonywających realizacji. Bo nie ma właśnie umiejętnej i mądrej selekcji spraw. Nie ma tej wewnętrznej dociekliwości i pasji stawiania problemu i wzgryzania się weń. Z doświadczenia wielkiej literatury wiemy, że wielkie ujęcia, epopeje i syntezy społeczne powstawały czasem właśnie w perspektywach takiego jakby monograficznego ujęcia wybranego problemu.

Najlepsze osiągnięcia naszej literatury o wsi, bardzo zresztą skromne i pozostające w ramach literackiego reportażu odznaczają się właśnie słusznym wyborem problemu i sondowaniem go środkami literackimi, tzn. poprzez postacie i losy ludzi. Taka jest metoda tworzenia *Witolda Zalewskiego* w książce *„Traktory zdobędą wiosnę"*. Taka jest metoda *Józefa Kuśmierka* w książce *„Uwaga! człowiek"*. Natomiast ambitne próby powieściowe *Lesława Bartelskiego „Ludzie zza rzeki"* i *Edmunda Niziurskiego „Gorące dni"* mają epickie ambicje schwycenia kawału surowego życia. Naturalizm stoi tuż za progiem a naiwna chęć zmieszczenia w powieści *wszystkiego*, czym żyje wieś, zwłaszcza w powieści Niziurskiego, upraszcza pojęcie realizmu i w oddziaływaniu podrywa zaufanie do realizmu jako metody twórczej. Realizm tego typu, balansujący na krawędzi naturalizmu przyczynia się bowiem do powstania szarego, ciężkiego obrazu życia, w którym coś się ważnego dzieje, ale wszystko utopione jest w sosie uciążliwej powszedniości. To ostatnie grozi zresztą bardziej Bartelskiemu, gdyż Niziurski słusznym instynktem przywołuje na pomoc humor. Szkoda, że humor ten nie chroni go od zjawiska słusznie zwanego „wszystkoizmem". Ten to „wszystkoizm" został określony jako jedna z kategorii schematyzmu. Ale czym jest schematyzm? Skąd wypływa? Czy właśnie nie z tej tendencji do opisywania całego życia na jednej płaszczyźnie? Obronić pisarza od schematyzmu może jedno tylko — kierowane marksistowską wiedzą o rzeczywistości, ale osobiste, własne wgryzanie się w gąszcz życia, w jego złożoną problematykę, osobistymi pasjami kierowany wybór problemu i sondowanie go na własną odpowiedzialność, na własne umysłowe ryzyko.

Bojąc się tej odpowiedzialności i tego ryzyka pisarze tworzą książki podobne do siebie jak dwie krople wody, odpisują od siebie, choćby nie dosłownie, całe sytuacje, postacie, dialogi. Zabierając się do czytania nowej powieści o wsi wiemy już, że były parobek będzie się umizgał do kułackiej córki, że w odpowiednim momencie zjawią się na scenie powieści robotnicy i zaczną od chwalenia miejscowych dziewuch, zjawi się wahający się średniak, że prędzej czy później, ale raczej prędzej ukaże się zły kułak, że będzie scena za kulisami spółdzielni przy wódce, burzliwe zebranie Samopomocy, że podpalony zostanie młyn, zaorana droga, że wreszcie kułacy spoczną w areszcie, a szczęśliwi młodzi dopiją swego kakao gwoli podnoszącej się stopie życiowej wsi.

Nieschematyczna, ale właśnie stawiająca własny problem jest książka *Jerzego Pietkiewicza „Zbrodnia Piotra Dudy"*, tylko że brak tła i koncepcja na pół sensacyjnej powieści prowadzi do zniekształconego, jednostronnego obrazu. Pietkiewicz pokazuje bandę NSZ na wsi, nie brak książce dramatyczności, bohater pokazany jest z pewną plastyką, ale jest to bohater negatywny od początku powieści morderca in spe. Opisowi jego walki wewnętrznej, wahań i upadku — poświęcona jest cała powieść. Książka niepokojąca i raczej szkodliwa, tym bardziej że ujmująca sprawy w systemie moralistycznym, a nie społecznym.

I tu — gdy mowa o schematyzmie, zjawia się sprawa znajomości lub nieznajomości współczesnego życia. Nie jest to sprawa prosta. Istnieją jakby dwa stopnie poznania literackiego. Pierwszy — to autentyzm, drugi — artystycznie opracowana fikcja powieściowa. Do pierwszego zaliczają się pamiętniki, wspomnienia. W dalszej kolejności — książki o przewadze pierwiastka autobiograficznego, wreszcie — na pograniczu drugiego stopnia — reportaże literackie. Oczywiście nie może tu być mowy o wyraźnym rozgraniczeniu gdyż wielkie dzieła realizmu posiadały zawsze sporą dozę autobiografizmu. Rodzaj pamiętników i książek powstałych z autentycznego przeżycia — to przedpole prawdziwego realizmu — powinno odgrywać i odgrywa dużą rolę na naszym etapie literatury. Słusznie Maria Dąbrowska nazwała przedwojenne Pamiętniki Chłopów najwspanialszą i najbardziej wstrząsającą książką danej epoki. Była to książka mówiąca wieloma ustami, chór opowiadający o nędzy wsi sanacyjnej, książka wyrosła z masy już prawie bezimiennej. Po wojnie wydano u nas kilka książek wydanych przez chłopów lub ludzi pochodzenia chłopskiego, już posiadających swoje autorskie oblicze. W ten sposób jednocześnie wprowadzone zostały do literatury nowe nazwiska, posiadające pisarzy posiadających niekiedy niemałe możliwości rozwoju. Przede wszystkim pisarzem w pełni dojrzałym okazał się dopiero po wojnie piszący już dawniej Lucjan Rudnicki. Z mniej zaawansowanych debiutował Julian Gałaj i to od razu powieścią. Wysunął się wierny kronikarz własnego biedniackiego życia i walki klasowej po reformie na swojej wsi Józef Pogan, opowiadania z przeżyć autentycznych wydała Marianna Kościńska, wspomnienia służącej Józefa Witowska, ostatnio otrzymaliśmy debiut *Stanisława Orła „Pod Łysicą"* — wspomnienia chłopskiego dzieciństwa w literacko poprawnej i wzruszającej często formie. Gałaj w „Mystkowicach" a także w słabszej powieści współczesnej „W rodzinie Lebiodów" posiada to, czym nieraz literatura dokumentarna góruje nad słabszą prozą — prawdziwe sytuacje, typy, dialogi, tę całą warstwę szczegółów, po jaką zazwyczaj autor-inteligent wypuszcza się w tzw. teren.

Książki reportażowe a w każdym razie z pogranicza powieści, a więc „Traktory" Zalewskiego, „Uwaga! człowiek" Kuśmierka i doskonały reportaż *Jarochowskiej „Chleb i sól"* posiadają tę dozę autentycznego doznania i tę szczyptę autobiografizmu, która sprawia że książki ich są bardziej ciepłe, ludzkie, humanistyczne. Oczywiście ani pamiętnik, ani reportaż nie zastąpią powieści, ale jeden i drugi są czymś o wiele szlachetniejszym i bliższym realizmowi socjalistycznemu od wykoncypowanej i wymuszonej fikcji literackiej.

Burżuazyjne pojęcie szarego człowieka i szarej codzienności towarzyszy naiwnemu realizmowi powieści mających ambicję epickiego ujęcia wszystkich problemów wiejskich. Szary człowiek to jest to samo co brak człowieka. I to jest główny i najważniejszy zarzut, jaki należy stawiać interesującemu nas tu odcinkowi literatury.

Bo znajomość rzeczywistości to nie tylko znajomość przebiegów społeczno - ekonomicznych i znajomość całej warstwy szczegółów obyczajowych, to przede wszystkim wiedza o człowieku. I to wiedza zarazem ogólna, humanistyczna, ta wiedza o człowieku, dzięki której w ogóle dzieła sztuki trwają i przeżywają swoje formacje kulturalne, i zarazem wiedza historyczna, a więc umiejąca uchwycić człowieka w jego zmienności i różnorodności.

Reportaż może dać jedynie ułamki tej wiedzy o człowieku. Można je odnaleźć w wymienionych reportażach literackich. Zwłaszcza Kuśmierek, którego opowiadania zresztą są tylko pozornie reportażowe, interesuje się człowiekiem poszczególnym, indywidualnym. Kuśmierek umie pokazać walkę klasową nie poprzez anegdotę ilustrującą marksistowskie prawo, ale jako siłę realnie kształtującą losy ludzi, wypaczającą charaktery, prowadzącą do wielkich, prawie szekspirowskich tragedii. „Uwaga! człowiek" — taki jest tytuł książki Kuśmierka. Sądzę, że z powodu jednostronności jego ujęcia nie należy mu czynić zarzutu naturalizmu. Oto wreszcie młody, odważny pisarz,

(Dokończenie na str. 10-ej)

TADEUSZ KUBIAK

TRZY WIERSZE DLA CIEBIE

I

Godziny bez ciebie są puste
i martwe jak tafle złych luster.

Stół, książka, krzesełko zostanie
na zawsze samotnym wygnaniem.

Dopóki żurawi powrotem
nie sfruniesz na moją tęsknotę.

Tak oto choć zima najsroższa,
choć jesień — codziennie jest wiosna.

II

Oczekiwania chwile gorzkie
i w najweselszą noc majową.
Wiem — że cierpliwość jest jak drzewo,
które wydaje słodki owoc.

Chwili powrotu oddam wszystko.
Oto wspomnienia z sobą niesiesz.
Wiem — że wśród wspomnień można błądzić,
niby w zaczarowanym lesie.

Więc wspominając czas niełatwy,
wojenne trwogi, łzy niemęskie,
wiem — że mojemu sercu ufasz,
boś sama je wydarła klęsce.

To była zwykła, ludzka miłość,
która z pogardy lat odradza,
w czasach, gdy każdy dzień mnie uczył
przemocy ognia i żelaza.

W niej piękno marzeń ocaliłaś,
że mogłem znowu w przyszłość spojrzeć.
To ona w martwym krajobrazie
świeciła się jak złoty modrzew.

Świeciła niby Wenus nocą.
I zapatrzona była ziemia.
Oczekiwania chwile gorzkie
ta myśl o tobie opromienia.

III

Ten wiersz oddaję twoim dłoniom,
jak różę.
Niedoskonałość słów niechaj rozwieje wiatr.
Lecz tylko to może umrzeć.

Bo chcę — byś w każdym moim słowie,
dojrzała moją radość i troskę.
Ja także chodziłem nad wody brzeg.
W milczące usta brałem kamyki ostre.

I wiele przemilczałem słów,
niemocą słów pokonany. Przebacz.

Oto wszystko,
co można spisać na wiosennym listku.
Więcej nie trzeba.

---

nie jest mniej schematyczny, niż w taki sam sposób naszkicowany funkcjonariusz dobry. Nie jest więc prawdą, że schematyzm można pokonać przez malowanie postaci negatywnych.

S ł a b o ś ć i c h o r o b a n a s z e j l i t e r a t u r y p o l e g a n a s ł a b o ś c i j e j z a w a r t o ś c i i d e o l o g i c z n e j. A więc nie ciężar treści ideologicznej przygniata twórczość literacką. Odwrotnie: ubóstwo i schematyczność treści ideologicznej nie pozwala na rozkwit prawdziwych zdolności pisarza.

Ale wróćmy do spraw obrazowania postaci. Jeśli pisarz chce przedstawić człowieka występującego w życiu publicznym, człowieka partyjnego, to w naszej rzeczywistości musi koniecznie wyjaśnić jego stosunek do marksizmu-leninizmu. Nie po to, by spełnić żądania krytyki, lecz po prostu, jeśli pisarz tego nie uwydatni, to charakteryzuje swoich bohaterów powierzchownie i schematycznie w nader ważnych zagadnieniach. Często zdarza się, że zdolni pisarze obrazują poboczne rysy swoich bohaterów. Jeżeli jednak w centralnych zagadnieniach nie potrafią poważnie uchwycić postaci, to mimo trafnego przedstawienia cech pobocznych obraz pozostanie schematyczny.

Zagadnienie ustosunkowania się poszczególnych postaci do marksizmu jest o wiele bardziej konkretne i bardziej skomplikowane, niż to zwykle się myśli. Wiedza ludzi ilościowo i jakościowo jest bardzo różna. Jest rzeczą nadzwyczajnie ważną, co kto przyswoi sobie z nowego światopoglądu. Dalsza rzecz, co i w jakim stopniu poszczególni ludzie wprowadzają z marksizmu do praktyki. Można by powiedzieć, że nie ma takiego problemu psychiki i działania człowieka, który by w jakikolwiek sposób nie odzwierciedlał węzłowych zagadnień naszego nowego życia. Wbrew schematyzmowi — każdy człowiek ustosunkowuje się do marksizmu na swój sposób, według swoich potrzeb i swojej indywidualności. Zadaniem pisarza jest przedstawić siłę ideologiczną poruszającą nasze życie w sposób zindywidualizowany. Dlatego pisarz musi się gruntownie zaznajomić z marksizmem-leninizmem, jeżeli bowiem mniej będzie wiedział od swoich postaci, to nigdy ich dobrze nie przedstawi. Bez znajomości marksizmu-leninizmu nie można przedstawić życia w jego rzeczywistym rozwoju. I dlatego pisarze w decydujących zagadnieniach popadają w schematyzm.

Dotychczas stawialiśmy zagadnienie tylko w sposób oderwany. Ale każdy wie, że całe nasze życie polityczne, gospodarcze i kulturalne reguluje w praktyce idea marksizmu-leninizmu i w ten sposób powstałe nowe stosunki życiowe głęboko oddziaływają na życie moralne i uczuciowe ludzi, na wszystkie przejawy życia. W istocie znaczy to, że w dziele pisarza treść ideowa i rozwój akcji artystycznej niezupełnie się jednoczą. Pisarze bardzo często w następujący sposób układają treści ideowe swoich dzieł: Zestawiają: a) świadomego komunistę, b) odchyleńca prawicowego, c) odchyleńca lewicowego, d) socjaldemokratę prawicowego, e) socjaldemokratę lewicowego itd. Potem następuje „kompozycja": a) jego żona, b) kuzyn itd. Zwalczanie tego szablonu i wprowadzenie takiego układu kompozycji, ażeby każda postać mogła w utworze żyć pełnym i rzeczywistym życiem, ażeby ono właśnie wyrażało sens ideowy utworu — jest wielkim problemem.

Lukacs wskazuje na jeszcze jedno zagadnienie kompozycyjne. Słabością literatury jest to, że pierwsze słowa utworu przedstawiają zaledwie zaczątki jakichś problemów, a przy ostatnim słowie zapada kurtyna i wszystko zostaje rozstrzygnięte. To nie odpowiada życiu, zwłaszcza zaś życiu socjalistycznemu. Problemy wyłaniające się na początku powieści mają przecież dłuższą lub krótszą przeszłość. Jeżeli więc nie widzimy, z jakiej rzeczywistej sytuacji wyrasta owo konkretne zagadnienie będące przedmiotem powieści, noweli czy dramatu, to sam problem wydaje się wzięty „z powietrza", a więc schematyczny. A już najgorzej, jeżeli na zakończenie powieści lub dramatu kurtyna opadnie i problem jest definitywnie rozwiązany. W ten sposób powstaje happy end'yzm, charakteryzujący niektóre utwory. Lukacs powołuje się na wielkie dzieła pisarzy radzieckich: Makarenki, Szołochowa, Fadiejewa, Kazakiewicza i Nikołajewej, w których widać prawdziwą dialektykę życia.

Akcja winna uzmysłowić momenty węzłowe rozwoju konkretnych postaci. Jeśli dzieło jest naprawdę realistyczne, czyli obrazuje typowych ludzi w typowych sytuacjach, to jego momenty węzłowe są węzłowymi punktami treści ideowej. Pisarz tylko wtedy może stworzyć prawdziwą akcję i prawdziwą kompozycję, jeśli wynika ona organicznie z życia konkretnego człowieka i jeśli w niej ukonkretni się treść ideowa.

Przyczyną dotychczasowych błędów jest fałszywe pojęcie, że treść ideowa i życie to dwie różne rzeczy. Lukacs apeluje do pisarzy, ażeby się dużo uczyli, ale uczyli nie w ten sposób, że ktoś usiądzie i przeczyta wszystkie tomy „Kapitału", a n a s t ę p n i e „zwróci się do życia", ażeby tę wiedzę stosować. Należy wiedzieć, że — szczególnie w życiu socjalistycznym — przeżycie, doświadczenie, obserwacja b e z w y j a ś n i e n i a t e o r e t y c z n e g o jest p u s t e, ś l e p e, wisi w próżni, nie znajduje swego miejsca w kompozycji artystycznej i nie może osiągnąć maksymalnego wyrazu. Z drugiej zaś strony sucha teoria, oderwane przyswajanie wiedzy ideologicznej i jej dogmatyczne stosowanie prowadzi nieuchronnie do schematyzmu. Zdaniem Lukacsa prawdziwego pisarza charakteryzuje w pierwszym rzędzie nie opanowanie formy literackiej, lecz n a m i ę t n o ś ć, z jaką chce poznać życie w jego głębi i bogactwie i z jaką usiłuje je przedstawić. Pisarza czyni pisarzem namiętność, która jednoczy w nim p o z n a n i e i u m i ł o w a n i e n o w y c h, p o s t ę p o w y c h i i s t o t n y c h c e c h ż y c i a z takim poszukiwaniem formy, które nie jest formalizmem, lecz odkrywaniem formy indywidualnej, swoistej, ciężko wywalczonej w procesie artystycznego opracowania przyswojonych treści ideowych życia. Tę namiętność znajdujemy u każdego klasyka. T y l k o z d o ś w i a d c z e ń b o g a t e g o ż y c i a m o ż e p o w s t a ć b o g a t a l i t e r a t u r a. Istotną przyczyną błędów schematyzmu jest to, że życie pisarza nie jest dostatecznie bogate i dlatego jego myśli, wyobrażenia i uczucia są ubogie, oderwane i schematyczne; treść ideowa jego dzieł jest wątła i dogmatyczna i d l a t e g o jego formy artystyczne są schematyczne. Życie wzbogacają miłość i nienawiść, namiętny stosunek do sprawy i one pogłębiają znajomość rzeczywistości, wzbudzają potrzebę naukowego poznania i zbliżenia się do życia ludu, uczą gorąco pojmować społeczny i ludzki sens pracy pisarskiej. Lukacs nie chce umniejszać znaczenia kształtu artystycznego. Nie ma nań recepty. Każdy młody czy stary pisarz powinien przeczytać studium Gorkiego „Rozprawy o moim zawodzie" i książeczkę Majakowskiego „Jak pisać wiersze". Jakkolwiek różne są indywidualności twórcze tych pisarzy, to przecież obaj wskazują na bogactwo życia jako warunek prawdziwej literatury. Majakowski mówi wyraźnie: „Dobre dzieło poetyckie można stworzyć tylko wtedy, jeśli się ma w zapasie dostateczną ilość półfabrykatów". Tylko z bogatego materiału można wybrać najwartościowszy pod względem artystycznym. „Naturalista" za szybko uogólnia, mówi Gorki, i uwaga ta dotyczy także schematyzmu. Dla uzupełnienia doświadczenia potrzebna jest naturalna literacka fantazja, lecz ta fantazja jest równie oderwana, schematyczna i uboga, jeśli jej brak zaplecza bogatego doświadczenia życiowego.

Lukacs kończy swój referat w sposób następujący: „Lenin pewnego razu powiedział podczas wojny imperialistycznej, że kto sobie wyobraża, iż są na świecie dwa fronty i jeden z nich wysuwa hasło „niech żyje imperializm", a drugi „precz z imperializmem" — ten nie ma pojęcia, co to jest rewolucja" Marks, Engels, Lenin i Stalin mądrze pokazali w każdej poszczególnej, konkretnej sytuacji zawikłane społeczne zróżniczkowanie i równocześnie tę linię, która wskazuje kierunek przyszłości. A więc nie widzę kontrastu pomiędzy tym, że pisarz odpowiednio różniczkuje treści ideologiczne i społeczne, a równocześnie całym sercem kocha idących w przyszłość, a całym sercem nienawidzi tych, którzy chcą w marszu ku przyszłości przeszkodzić.

Przełożył i opracował
Tadeusz Fangrat

HIERONIM MICHALSKI

NAJMŁODSZE KADRY

W dniach od 18 do 25 maja odbywała się w Oborach pod Warszawą narada korespondentów Poradni Literackiej.

Tyle zarejestrowałaby notatka w kronice prasowej. Tryb warunkowy w tym zdaniu użyty został dlatego, że w pismach nie znalazło się nawet podobnej wzmianki. Ale fakt, chociaż minął niedostrzeżony, zasługuje na to, aby wrócić do niego dzisiaj z komentarzem uzupełniającym. Impreza ta bowiem, pierwsza tego rodzaju u nas, musi budzić zarówno zainteresowanie, jak i nasuwać okazję do wniosków ogólniejszej natury.

Narada korespondentów Poradni Literackiej?

Tło i kontekst stanowi zagadnienie napływu nowych kadr do literatury.

W zagadnieniu tym uderza przede wszystkim żywiołowość jako rezultat wyzwolonej rewolucyjnymi przemianami siły twórczej szerokich mas ludowych. Przykładów dostarcza każdy dzień we wszystkich dziedzinach. Widać to także w literaturze. Oto w okresie po wyzwoleniu można zarejestrować 163 debiuty powieściowe, nowelistyczne lub reportażowe. O napięciu, które zawiera ta liczba, niech świadczy porównanie: w takim samym okresie od ogłoszenia „Kordiana i chama" Kruczkowskiego do wybuchu wojny pojawiło się jedynie 27 debiutantów-prozaików. Dodajmy jeszcze 113 debiutujących książkami w tym czasie poetów, a otrzymujemy ramy zjawiska istotnie zdumiewającego napływu nowych sił do literatury.

W zmieniającej się, stosownie do zadań, jakie rzeczywistość stawia przed literaturą, roli Związku Literatów Polskich musiała zatem wyłonić się sprawa opieki nad nowymi kadrami. Próby organizacyjne znalazły wyraz w powołaniu komisji młodzieżowej oraz utworzeniu przy poszczególnych oddziałach Związku (poza Krakowem, do którego należy palma pionierstwa w tej dziedzinie pracy) Kół Młodych, skupiających początkujących poetów, prozaików, dramaturgów i krytyków.

Praktyka jednak wykazała, że ta linia opieki ZLP nad młodymi adeptami literatury nie wyczerpuje bynajmniej całego zagadnienia napływu nowych kadr. Koła Młodych bowiem istnieją jedynie tam, gdzie działają oddziały Związku, a więc z reguły w większych ośrodkach kulturalnych. Dlatego poza zasięgiem ich działalności pozostaje olbrzymi teren. A teren przy postępującej aktywizacji kulturalnej t. zw. prowincji daje o sobie znać rękopisami przysyłanymi bądź do redakcji gazet i czasopism, bądź nawet do wydawnictw. Nieraz dochodziło w ten sposób do odkrycia nowych talentów. W ostatnich latach można było zanotować publikacje autorów, których właśnie wyłonił teren, zostający poza zasięgiem działalności ZLP. Dodać nadto trzeba o wiele liczniejsze debiuty na łamach czasopism.

Często przecież materiał napływający z terenu do redakcji pism i wydawnictw, aczkolwiek zawiera zalążki uzdolnień, nie może być wykorzystany. Bardzo często również okazanie pomocy autorowi w postaci konkretnych rad i wskazówek wykracza poza możliwości redakcyjne. Na porządku dziennym zatem musiała stanąć sprawa podobnych autorów, którzy otrzymywali odpowiedzi, iż prawdopodobnie warto, aby pracowali w dalszym ciągu nad sobą, ale którzy, pozbawieni jakiegokolwiek kontaktu z ośrodkami literackimi, pozostawali bezradni. Tak właśnie zrodziła się potrzeba zaktywizowania przez ZLP istniejącej przedtem przy dawnym oddziale wiejskim i działającej w dość ograniczonym zakresie Poradni Literackiej.

Czy istnienie Poradni stanowi rozwiązanie problemu opieki nad napływem nowych kadr do literatury w tym zakresie i w tych ośrodkach, które nie mogą być objęte normalnym oddziaływaniem organizacyjnym? — Na to pytanie powinno się odpowiedzieć raczej w ten sposób, że Poradnia ma dane, aby wypełnić takie zadanie. Doświadczenia dotychczasowej jej pracy wyłaniają coraz to nowe, choć na pewno ciągle jeszcze nie wystarczające rozwiązania organizacyjne. Sprawa ta przecież nie jest bynajmniej ani prosta, ani łatwa. Niemniej jednak już obecnie można zanotować pewne bezsprzeczne osiągnięcia.

Zorganizowanie wspomnianej narady korespondentów Poradni potraktowane być musi jako jeszcze jedno ogniwo doświadczeń, które pozwolą ZLP wyciągnąć bardziej sprecyzowane wnioski i ustalić wytyczne dalszej pracy nad rozszerzeniem napływu nowych kadr.

Spośród ponad 400 korespondentów, którzy zwracali się do Poradni w ciągu ostatniego roku, wybrano 30, których prace niezależnie od takich czy innych braków ujawniały pewne ślady uzdolnienia pióra. Udział jednak w naradzie mogło wziąć ze względu na rozmaite przeszkody tylko 20 zaproszonych. Liczby w tym wypadku mają wymowę tylko kontrolną, wskutek bowiem ograniczonego jeszcze mimo wszystko dotychczasowego zasięgu Poradni nie mogą rościć sobie pretensji do pełnego odzwierciedlenia zainteresowań literackich, które istnieją i nie mogą znaleźć ujścia w ośrodkach małomiasteczkowych czy wiejskich.

Niemniej jednak materiał narady pozwala zorientować się, jak przedstawia się baza, w której można poszukiwać nowych sił naszej literatury.

Wśród uczestników narady, pochodzących prawie wyłącznie z środowisk robotniczych i chłopskich bądź często nadal reprezentujących te środowiska, wyodrębniają się cztery zasadnicze grupy.

W pierwszej wymienić trzeba ludzi już zaawansowanych w latach, gdzieś między trzydziestką a czterdziestką, nierzadko i ponad tę granicę. Ich droga życiowa nie była na ogół łatwa, ale wyznacza ją nieraz znamienny skok, który umożliwiły zmiany społeczne po wyzwoleniu — od robotnika cegielnianego np. — do magistra filozofii. Przemiany naszego życia są też podłożem zaktywizowania się zainteresowań kulturalnych, co właśnie wyraża się w bardziej ambitnym podjęciu(w tej grupie nie spotyka się zaczynających dopiero pisać) marzeń o pisaniu, które kiedyś w ukradkowy sposób zamykały zarzucone zeszyty młodzieńcze. Zanotować także trzeba próby wyjścia poza marzenie: jest to udział w konkursach, współpraca z pismami (i w jednym, i drugim wypadku nieraz z sukcesem), ale przeważnie próby kończą się niepowodzeniem, zwłaszcza jeżeli chodzi o utwory dramatyczne.

Druga grupa może być niewątpliwie uznana za bardziej charakterystyczną dla naszych dni. Tworzy ją pokolenie tych, którzy w chwili wyzwolenia mieli ok. 15 lat życia. W życiorysach widać, jak przekształcają się warunki pracy dawnego parobka kułackiego czy nieletniego robotnika i jak jednocześnie z nową pracą zawodową akcentuje się linia forsownego zdobywania wiedzy i wykształcenia, często nawet wyższego. Większość to nauczyciele szkół podstawowych, przeważnie na wsi. Jest to młodzież, która zdobywała hart i doświadczenie w aktywnej pracy organizacyjnej w terenie. Warunki pracy wymagały, aby aktywista stawał się korespondentem. Jako uzupełnienie aktywności społecznej narzucał się wiersz czy nowela. Taka właśnie jest droga do literatury tego pokolenia, wzbogaconego doświadczeniami warunków pracy rodziców-najemników lub biedniaków i doświadczeniami własnych trudności, posiadającego wiele zasadniczych braków wykształcenia, ale ogółem pełnego zdobywczej energii i wartościowego. Zanotować trzeba wypadki, gdy ich próby literackie, uzupełniające pracę aktywisty wiejskiego, wywołują w odwecie napady kułackie.

Do trzeciej grupy zaliczyć wypada niektórych ich rówieśników. W zasadzie wyrastają w takich samych warunkach jako dzieci chłopów biedniaków lub najemników. Jest jednak coś, co ich wyróżnia. Nie ma w nich właśnie tej zdobywczej energii życiowej, jaką u ich rówieśników wyzwolił wpływ ideologiczny, kształtowany aktywnością organizacyjną. Stoją na uboczu, często zresztą tylko dlatego, że w ich wsi nie ma koła ZMP. Nie potrafili przejawić nawet dostatecznych starań, aby wykorzystać możliwości zdobycia wykształcenia lub wyuczenia się fachu. Wszystko to odciska swoje piętno na ich próbach literackich, które w tematyce albo są nazbyt peryferyjne, albo też uciekają do specyficznych motywów stylizacji. Dalsza ich droga nie będzie łatwa i nie stanowią bynajmniej prostego problemu opieki ze strony Poradni.

Wreszcie najmłodsi, ci z roczników 1935 i 1936. Ich życiorys jest już nieco odmienny, nawet wtedy kiedy warunki życia i pracy rodziców są trudne, szczególnie jeżeli chodzi o biedniaków wiejskich. Te roczniki jednak nie mają już wyrw i braków w nauce, jakie mieli poprzednicy. Przechodzą przez szkoły ogólnokształcące na uniwersytety, przez szkoły zawodowe do warsztatów lub biur fabrycznych. Oczywiście, ze względu na wiek brak im jeszcze dostatecznego doświadczenia, które mogłoby nasycić ich pierwsze próby literackie, ale jest w nich świadomość pokolenia, któremu już przy starcie życiowym dane jest bezpośrednio korzystać z owoców rewolucyjnych przemian.

Nasunąć się musi bez wątpienia pytanie: czy nie było nieporozumieniem skupienie na jednej naradzie tak różnych pod względem doświadczenia i poziomu grup? — Odpowiedzieć jednak można, że wbrew pozorom nie było w tym nieporozumienia ani błędu.

Narada bowiem była dla ich uczestników w głównej mierze wymianą doświadczeń. To, co miało istotne znaczenie dla organizatorów imprezy, którzy dotychczasową formę konsultacji korespondencyjnej chcieli przenieść na płaszczyznę konsultacji przeprowadzanej w bezpośrednich rozmowach, nabrało podobnego znaczenia i dla uczestników narady. W przeważającej bowiem większości wypadków nawet ci, którzy posyłali swoje utwory do pism i widzieli je w druku, nie rozmawiali dotąd z nikim o swoich próbach pisarskich i często traktowali je w swoim środowisku jako sprawę w pewnej mierze wstydliwą. Teraz zaś czytali swoje utwory, poddawali je pod ogólną dyskusję i sami dyskutowali nad utworami kolegów. Stworzyło to specyficzną atmosferę, której wyrazem stawały się już po zakończeniu programowych zajęć przeciągające się niejednokrotnie do brzasku namiętne roztrząsania w mniejszych lub większych gromadkach, dobierających się stosownie do temperamentu i upodobań. Była to właśnie atmosfera środowiska o zainteresowaniach literackich, którego brak odczuwali w swoich wioskach i miasteczkach, rozrzuconych w różnych stronach kraju.

Wrażenie wymiany doświadczeń, oczywiście w innej już skali, pogłębiły w uczestnikach narady zetknięcia z pisarzami, czy to na posiedzeniu sekcji, na którym przy omawianiu utworów poetyckich członków warszawskiego Koła Młodych słuchali wypowiedzi Jastruna, Putramenta, Pasternaka, Dobrowolskiego i Śpiewaka, czy to na specjalnie zorganizowanym w Domu Literatury spotkaniu, w którym brali udział Nałkowska, L. Rudnicki, Newerly, Melcer, H. Rudnicka, Żukrowski, Czeszko, Gruszczyński, Zb. Bieńkowski, Bartelski, Gisges i Bocheński, czy na spotkaniu z Broniewskim w Oborach, czy wreszcie w czasie zajęć programowych, kiedy słuchali referatów i pogadanek Putramenta, Newerlego, Matuszewskiego, Pomianowskiego i Bocheńskiego oraz wypowiedzi dyskusyjnych Międzyrzeckiego, Lasoty i A. Wasilewskiego.

Zajęcia programowe, które obejmowały referaty o zadaniach literatury i roli pisarza, o walce o realizm socjalistyczny w literaturze polskiej, o znaczeniu i przykładzie literatury radzieckiej, o pracy samokształceniowej oraz seminaria przeprowadzone pod kątem zagadnień prawdy i zmyślenia w prozie oraz jedności formy i treści w poezji, jak i konsultacje indywidualne — pozwoliły skrystalizować się wrażeniom uczestników narady w pewną określoną sumę doświadczeń, która bez żadnej przesady może być uznana za wyjątkowo pozytywny wynik przedsięwzięcia i istotną pomoc w specyficznych trudnościach początków drogi pisarskiej.

Zorganizowanie narady stanowiło, jak już wspomniano, jeszcze jedno ogniwo doświadczeń ZLP w pracy nad rozszerzeniem napływu nowych kadr do literatury. Było to naprawdę cenne doświadczenie, z którego da się wyciągnąć szereg wniosków organizacyjnych dla dalszej pracy w opiece nad adeptami literatury, znajdującymi się dotąd poza zasięgiem oddziaływania ośrodków literackich.

Hieronim Michalski

STANISŁAW WIECHNO

Wiechno Stanisław, ur. 1936 — wieś Wierznowice (Łowickie), syn małorolnego chłopa, obecnie zdaje maturę. Jest członkiem ZMP. Napisał powieść z życia wsi, kilka krótkich opowiadań i wierszy — jest korespondentem terenowym „Gromady".

ŚCIEŻKA

Ścieżka biegła na przełaj przez pole
i tonęła w błocie, jak co dnia.

Powiedzieli w zetempowskim Kole:
będzie z wąskiej ścieżyny chodnik!

Będzie ścieżka sucha i prosta,
będą po niej szły lata następne.

Pójdą lata radosne i piękne —
tylko trzema zadaniom swym sprostać!

Ale — twarde zetempowskie dłonie —
dla tych — czynem są planów znaki.

Dwa tysiące płyt? Będzie więcej!
Dłuższe jutro wytyczymy szlaki.

Grał piosenkę na ostrzach łopat
wiatr, uśmiechem na twarzach młodniał...

Zanim śpiew przycichnął i opadł,
schły już pierwsze płyty na chodnik.

JÓZEF JERZY KWAPIS

Józef Jerzy Kwapis — ur. 1931 r. we wsi Karolówka (pow. Wieluń) syn biedniaka, zdobywa małą maturę i zostaje nauczycielem wiejskiej szkoły podstawowej. Jest aktywistą społecznym, korespondentem „Rolnika Polskiego", „Zielonego Sztandaru" i „Chłopskiej Drogi".

RĘCE MATKI

Wieczór oknem do izby się wlewa,
ręce matki po pracy schylone nad stołem.
Wezmę organki, będę im wygrywał
najczulsze melodie i piosenki wesołe.

Ręce, ręce — dwa listki klonowe
poorane w bruzdy głębokie i zmarszczki.
Na tych rękach ostrym kolcem cierniowym
złoiły lata twardy życiorys mej matki.

Łańcuch trosk był długi i nigdy się nie kończył,
świt zawsze — pamiętam — pracę do zmierzchu wróżył.
Konstytucjo, dzisiaj pokoju i słońca
i cichych wieczorów tym rękom użycz.

Wieczór do izby wlewa się przez okno,
ręce matki światło zapalają pomału.
Pochyl, pochyl czoło, młody poeto
i te ręce niby bochen chleba ucałuj.

STANISŁAW LUBICZ

Stanisław Lubicz — ur. 1928 r. we wsi Mszczonów, woj. warszawskie, syn robotnika, uczy się i pracuje zawodowo, jest równocześnie terenowym aktywistą młodzieżowym. Pisać zaczął w r. 1951 próbując ująć swoje terenowe doświadczenia.

Gałązka bzu

Siadła ciężko, aż zatrzeszczało wysłużone krzesło, i z trudem chwytając powietrze mówiła:

— Więc jesteś... jesteś... A tak się bałam o twój urlop. Znaczy się, rozpoczynasz?

Burknąłem niezrozumiale kilka słów stanowiących powitanie i odpowiedź zarazem. Matka spojrzała na mnie z lekkim wyrzutem, ale nie oburzenie, tkliwość raczej zabłysła w jej oczach osadzonych głęboko wśród niezliczonych bruzd i bruzdeczek. Wiedziała: „Takiego, jeśli coś urzeknie, lepiej zostawić w spokoju."

Wyszła, nie rzekłszy więcej ni słowa.

Wtedy dopiero ogarnęła mnie złość: też nie miała kiedy przyjść na pogawędkę?

Uleciała w zaświaty fabryka, skończył się strajk, w którym przed sekundami zaledwie brałem udział, umilkła wrzawa demonstracji robotników. Twarz towarzysza Wardaka, ta twarz wśród bezsennych nocy z trudem odtworzona w mej wyobraźni, rozwiewała się jak mgła, tylko oczy — wielkie i żółte — świeciły w zmierzchu zapadającego wieczoru. Ksiądz Zakrzewski, wyciągnięty przeze mnie z grobu dla powtórzenia nauki rekolekcyjnej o „diabelskich związkach i bezbożnych bluźniercach", wrócił do spróchniałej pewno już trumny; jego następca po piętnastu latach nie krzyczał na ambonie w czasie ofensywy styczniowej 1945 roku o „czerwonej zarazie, co zniszczy kulturę zachodu", nie groził memu ojcu — zrezygnowanemu parobkowi — wysłaniem na roboty do Niemiec, nie chwalił się więcej osobistą znajomością z Hitlerem: ksiądz doktor Zygmunt Wądołowski przybrał ponownie czarną suknię cichego proboszcza parafii Świętej Trójcy na Solcu w Warszawie. Mała Grażyna, ta sama, której ojciec nauczyciel, towarzysz Wierzba, wybrał córce imię w przeświadczeniu, że jak tamta, Mickiewiczowska, zastąpi go na posterunku, nie płakała nad martwym ciałem rodziciela, ale — jak zawsze czyni o tej porze — słuchała wykładu na uczelni.

Wszyscy nagle odeszli, zostałem sam.

Pióro z trzaskiem rzucone na stół trysnęło fontanną kleksów — drobnych, niby rozsypany na obrusie mak.

— Znowu będzie nauka.

Różna jest miłość między matką i dzieckiem, bardzo różna. Czasem przesadnie czuła, czasem nadmiernie surowa. Są wycackani synkowie — urwipołcie, i mamunie wychwalające swe „ideały", są wielkie gadania o tym, że „mój kożuszka w kawie nie lubi, muchy nie skrzywdzi", i że „niewinnie wcale, bo tak nie było". Są także kłótnie wieczne o zdarte buty. Są. Można je liczyć, nazywać. Ale naszej miłości określić nie potrafię. Ot, bywało, wracam do domu po roku lub dwu i myślę po drodze:

— Jakże się pewnie zmieniła, dopiero będzie spotkanie!

I rzeczywiście, było spotkanie, lecz całkiem odmienne. Matka ręce powalane miała przy pracy — obeszło się bez uścisków, a zamiast czułych słów — dzień dobry. Żadnych pieszczot. Raz tylko, dawno, dawno, po nieudałej próbie dostania się do szkoły, jakem siedział jak gradowa chmura, pocałowała mnie matka. Zawstydziliśmy się wtedy oboje.

I dzisiaj było podobnie.

Przed tygodniem wysłałem list, krótki: „Przyjeżdżam, będę pisał, towarzysze pomogą." Resztę zrozumiała sama. Ta fabryka, o której chciałem pisać, to jej fabryka. Jej, choć nad bramą wisiała wtedy tablica „Spółka Zapałczana Czerska-Nowakowski". Wiedziała o niej więcej niż tytularni uzurpatorzy, znała zgrzyt każdej maszyny, kąt każdy, wszystko, wszystko. I wszystko przekazała mi wraz z życiem: i przynależność — ciało z ciała, i miłość — wyssaną z jej piersi, i historię — własne dzieje.

A oto zżymałem się na nią, że zabrała mi Wardaka, że nie dała mu dokończyć przemówienia do strajkujących, że precz wyrzuciła proboszcza Wądołowskiego, że nie pozwoliła mu po raz wtóry pozbawić mieszkania i na śmierć zagłodzić chorego bojownika Gwardii Ludowej, księdza Sagadyna.

Precz go wyrzuciła? Nie! Mówiła tylko:

— To człowiek, jak każdy, wady ma. Ale Boga zastępuje na ziemi. Bóg tylko zesłać nam może ratunek.

Czekałem więc...

Mało było proboszczowi ojcowskiej harówki, mało wciąż, nawet wtedy, gdy umarł. Z plebanii ogrodzonej murem, strzeżonej przez automaty SS-manów, wyszedł w towarzystwie żandarma na moje spotkanie:

— Chłopak! — zawołał — do młockarni! Ja, ja, mein lieber Kommendant. Wieża jest wysoka, stamtąd zobaczy pan każdego partyzanta...

Od świtu do nocy, w kurzu i pocie otrzymywałem pierwszą pomoc.

A potem:

— Chłopak! — piasek wozić!

— Chłopak! — na wieś po konie! (Mróz ponad dwadzieścia stopni i dziesięć kilometrów drogi).

Aż przyszła pomoc ostateczna: choroba.

— Pan doktor? Nie ma, operuje żołnierza niemieckiego, nie przyjdzie!

Pan doktor Nurczyk nie mógł przecież odebrać mi zapomogi otrzymanej od ks. dr Wądołowskiego.

Ale w dwa tygodnie później ranny czerwonoarmista w ambulansie polowym, krzywiąc się z bólu, spieczonymi wargami powiedział z wysiłkiem:

— Niet, niet! Nie nada, tawariszcz lejtinant... Siejczas jewo, ja magu podożdać!...

Nie doczekał się jednak, ja żyję zamiast niego; po nim została mi tylko gwiazdka z furażki i mogiła na cmentarzu z napisem — Czołgista Lubow.

Jak ci podziękować, Życie Ty moje, towarzyszu czołgisto Lubow?!

Nie wyrzuciła precz księdza Wądołowskiego.

Co roku, jak nakazywał, modliła się do mego patrona, św. Stanisława Biskupa, co roku przed jego obrazem stawiała świeżo zakwitłe bzy.

— Żeby księdzem został, biskupem może...

Ale święty ze Skałki patrzył na mnie zimno spod infuły, nic go mój los nie obchodził.

A matka tak go prosiła, tak mię przecież kochała.

Pewno bardzo kochała, bo kiedy zacząłem studia, napisała mi koślawym pismem list: „Jeśli ci trudno, przerwij pracę zawodową, mam teraz zajęcie stałe, w fabryce".

— W jakiej fabryce, przecież tamtą Szwedzi jeszcze, wydzierżawiwszy, zamknęli. Zostałaś wtedy bez pracy?

A odpowiedź nadeszła taka:

— „My tę fabrykę odbudowaliśmy na nowo. Rząd dał pieniądze. Dlatego mam pracę. Nauczyli mię krawiectwa. Tylko ułamków nie umiem, musisz mię nauczyć. A wiesz, mamy przewodniczącego Rady Miejskiej, Piotrowski, znasz. To ten, którego żona gęsią opłacić musiała przyjęcie do zapałczarni. Niewielu dawnych wróciło. Wardak został w Oświęcimiu. A jak on to mówił na wiecu: niejeden raz krew się jeszcze poleje, niejeden z nas zginie, ale ona musi być nasza..."

Fabrykę witałem inaczej niż matka. Sam nie wiem, dlaczego. Czy może dlatego, że było tam wiele matek? Wierzcie mi, naprawdę nie wiem. Jechałem autobusem po ośnieżonej szosie. Ta sama szosa, która Czerskiemu i ks. Zakrzewskiemu oraz pepesowskim sługusom posłużyła na rozbicie strajku w zapałczarni. Przy pomocy pana burmistrza zwabili strajkujących do płatnych szarwarków, a potem, rzecz jasna — „w dwu instytucjach jednocześnie pracować nie można". Stojąc w otwartych drzwiach niecierpliwie wyglądałem końca lasu...

Dym! Z komina fabrycznego po dwudziestu prawie latach przerwy walił na nowo czarnymi kłębami dym!

Opiszcie to uczucie, bo ja jeszcze nie potrafię...

Nauczyłem matkę ułamków, a jakże. A tak prowadziłem lekcje:

— Ułamek — to część całości. Ty, mamo, na przykład, jesteś częścią całości waszej fabryki. Ile was pracuje? Sto, pięćset? No, przypuśćmy, że pięćset. Jesteś więc jedną pięćsetną całości. Sama niewiele znaczysz, ale całość!...

Wzamian za to dowiedziałem się w krótkim czasie nowiny:

— Wiesz, synu, każda ze szwaczek robiła do tej pory sama. A wiesz, jak zaproponowałam? Żebyśmy zrobiły brygady. Całości, rozumiesz. Część niewiele znaczy, ale całość...

Ale dzisiaj nie powiedziała mi niczego.

I czemu my tak niedobrze się kochamy, czemu byłem dla niej opryskliwy? Dlaczego gniewałem się, że zabrała mi towarzysza Wardaka? Na pewno dowiedziałbym się wielu rzeczy, powiedziałaby może o tym, dlaczego duża obecnie Grażyna tak długo czekała, zanim podjęła wezwanie ojca komunisty?

— Ha, dowiem się innym razem.

Wyszedłem przed domek, aby posłuchać nocy majowej. Trochę to śmieszne: posłuchać nocy majowej, niczym sztubak. I sztubakiem będąc niejedną noc przedumałem majową. Bo i cóż. Słyszysz: wyje syrena fabryczna. Fabryka, bracie, żyje, tętni. Patrzysz w niebo, w gwiazdy też można, a tu mrugają latarnie. Mnie latarnia nie nowość, ale widzieć ją na niezabrukowanej uliczce podmiejskiej (naprzeciw własnego, oświetlonego żarówką domu), która — jak pamięcią sięgnąć — tonęła do 1952 roku w ciemnościach — to raduje serce. Jest nad czym podumać, jest czego posłuchać. Do tej pory tylko słowik w pobliskim cmentarzu, może nad mogiłą Lubowa, śpiewał i śpiewał. Dziś radio... Ach, jakby się chciało w taką noc przytulić mocno dziewczynę swoją i szeptać jej do ucha:

— Kochana, a jednak będę pisał, na pewno!...

Cóż! Jak marzyć, to marzyć. Szkoda, że jej ze mną nie ma, ale i tak wiem, jaka byłaby odpowiedź towarzysząca pocałunkowi:

— Miły ty mój, zdałam egzamin na piątkę...

— Lubow! Towarzyszu nieodłączny! Jak Ci podziękować za to marzenie — rzeczywistość?

...Czemu matka nie zgasiła światła? — zauważyłem smugę z okna jej pokoju. — Nic a nic nie oszczędza. Jak nowe światło, żarówka, to choćby palić do rana. Z lampą inaczej było, czytać nie dawała mi nigdy dłużej jak do północy.

— Trzeba gasić, trzeba gasić — robiłem matce wyrzuty sięgając do kontaktu. Ale...

— Mamo! Mamo kochana!

Na piersiach śpiącej leżała książka, książka przełożona dwiema gałązkami bzu.

Książka i bzy.

Nikt, prócz nas dwojga, nie zna tajemnicy związanej z kwiatem bzu. Matka i ja. Bez — skromne, wczesne i nachnące kwiaty.

— Mamo, czytałaś. Nie gniewaj się na mnie za awantury, że „ktoś mi grzebał w książkach". Te książki kupowałem zamiast chleba. Droższe są od innych, dlatego tak je oszczędzam. Ale nie będę już więcej, czytaj sobie, przewracaj na nółkach...

„Chłopiec z salskich stepów" — Igor Newerly.

— Towarzyszu Newerly! Nie znacie tajemnicy skromnego bzu w naszej rodzinie. Trochę Wam powiem, albo wszystko właściwie: bez — to symbol największego uczucia, jakie możemy tylko odczuć i darować. Ja już rozumiem, zrozumcie resztę i Wy.

Ten pierwszy kwiat przeznaczyła matka dla Wowki — żołnierza, dla Wowki — ruskiego doktora, dla Wowki — lekarza lejtnanta; dla tysięcy tysięcy żołnierzy, lekarzy — za przywrócenie jej fabryki, pracy, wolnego życia, syna. To dla Wowki — Lubowa.

Ten drugi — to dla Was. Dziwicie się, skądże? To dla Was, za wskrzeszenie zgasłych nadziei, za nową miłość do nowego życia. To dla wszystkich, wszystkich pisarzy. Ja wiem, dlaczego Wasza książka miała takie zabrudzone kartki. To od łez mojej matki, łez szczęścia. Matka chce mieć także własnego „chłopca z salskich stepów".

Stanisław Lubicz

BOGUSŁAW KOGUT

Ilustrował HENRYK GRUNWALD

SPRAWA FLORIANA DĘBICY

W roku 1951 pierwsze dni marca były dżdżyste i zimne. Deszcz na przemian ze śniegiem padał co dnia, drogi rozmiękły w grzęzawiska i kałuże, pola rzerniały ponuro. Kudłate chmury wisiały nisko, jakby porozwieszane na czubkach wysokich topól; słońce nie wyzierało zza nich całymi dniami. Wieczory zapadały szybko, posępne i ciemne jak noc w kościele.

W taki wieczór, w otulonej szczelnie ciemnościami chałupie sołtysa Łobodzkiego czterech ludzi siedziało do późna. W słomianych okapach pojękiwał i furczał wiatr chlastając w okno kroplami dżdżu. Nawet światło wiszącej u tragarza żarówki zdawało się dygotać od tego wiatru. W izbie było ciepło i wonno od papierosowego dymu, który długimi smugami układał się pod sufitem. Czterej mężczyźni rozmawiali niezbyt głośno, nie chcąc pobudzić sołtysowych dzieciaków, które spały z matką w drugiej izbie.

— Coś długo naszego Wiktora nie widać — westchnął Łobodzki. — Chyba mu się nie przytrafiło co złego. — Po jego czerniawej twarzy przebiegł cień niepokoju. Wsparł się łokciami o stół i przygniótł brodą wierzch dłoni. — Która to już godzina, Kazik?

Młody, okrągły jak bochenek chleba Zieliński wyciągnął z kieszeni niklowy zegarek.

— Dochodzi dziesiąta. Późno, psiakrew...

— Znowu nam się nie szykuje — odezwał się drobny, nieogolony i wiecznie zafrasowany Dukat. — Wykiwają nas całkiem te cholery.

— Nie wykiwają, co mają wykiwać? — palił się Kazik Zieliński.— Nie możemy się dać wykiwać. Zresztą nie o nas idzie. Z nas każdy oddał zboże tak czy tak — ale idzie o wszystkich, o ludzi.

Kwiecień, wielki, rozrosły chłop o wiechowatych, ryżych wąsach powoli wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę „górników". Długo tarł zapałką o zawilgłą zadraskę, nim zapalił.

— Prawda, Kazik — odezwał się wypuszczając kłąb siwego dymu.— Idzie o wszystkich, o gromadę. Bo tak, chodzimy do innych, do biedaków i tych średniorolnych, mówimy — odwoź zboże. Ludzie mówią — odwiozę, ale najpierw bogaczy przypilnujcie, Dębiców i innych. A my: — odwieź, bracie, odwieź, i bogaczów nie bój się — przypilimy. Ludzie, dużo takich, poodwozili, a teraz na nas: oszukaliście. Dębica, Kopeć, Łukasik nie odwieźli i guzik im kto robi. Znaleźliście — powiadają — głupich. Dziś ten — Czerkiesik z Bud mówi mi: to wszystko bajdy, co wy wygadujecie. Biednemu zawsze wiatr w oczy — powiada — i dawniej, i teraz. Ja z sześciu hektarów oddałem dwa razy więcej niż Kopeć z dwudziestu siedmiu. I on się śmieje, żem głupi. — Urwał Kwiecień, zaciągnął się „górnikiem".

— To co zrobisz? — zagadnął Łobodzki. — Ja wiem, że ludzie burzą się trochę, i mają o co. Ale co zrobisz takiemu Dębicy?

— Prawda, że nie wszyscy biedniacy i średni tak myślą jak Czerkiesik — ciągnął swoje Kwiecień.— Nie wszyscy, kiedy mówią o swoim obowiązku, patrzą na drugiego. Ale ludzie słusznie się domagają, by Dębica oddawał zboże. Ludzi nie można kiwać.

— Dawno już mówię — wtrącił się Zieliński — że młócić trzeba u opornych. Innej rady nie ma. To mówią prawie wszyscy ludzie na wsi. Znaczy — wszyscy ci, co już oddali. Co to Dębica lepszy? Nie, nie lepszy. Niech oddaje. Przecież nie za darmo, za pieniądze — jak wszyscy. A nie chce? To — mówię — trzeba młócić Dębicowe stogi. Ludzie się burzą, do młocki przyjdą.

— Nie tak to łatwo z młocką w tym czasie — odezwał się Dukat.— Młócić w taką pogodę, to trzeba tak, żeby za dzień zmłócić cały stóg. A Dębicowego stogu za dzień nie dasz rady. Na noc rozgrzebane zostawić — zaleje, zniszczeje zboże, ani państwu, ani komu na korzyść.

— Na noc można grubo słomą przykryć — przerwał mu Zieliński. — Przez jedną noc, pod słomą, nie zamoknie.

— Albo z ludźmi — ciągnął Dukat. — Ludzie jak ogień, dziś rozochoceni przyjdą do młocki, a jutro nie przyjdą — i co zrobisz dalej?

— Z Dębicą to by się trzeba chyba bić — uciął Łobodzki. — Młocka przymusowa, zwłaszcza u takiego Dębicy, to już ostateczność. Nie mówię, że tego się nie zrobi — ale naprzód trza wszystko zważyć dokładnie, wyczerpać — jak się to mówi — wszystkie możliwości.

— Zważyć — to owszem, ważcie. Ważcie — ino nie za długo — roześmiał się szeroko Kwiecień. — Ja mówię: ludzie się burzą, i mają o co. Kazik mówi, że domagają się młocki — mają rację.

— Wszystko jedno, trzeba czekać na Wiktora — rzekł Łobodzki. — Nie wiadomo, czy jakich nowości w tych sprawach nie przywiezie.

— On chyba gdzie ugrzązł — odezwał się Zieliński spoglądając na zegarek. — Już po dziesiątej.

W tym czasie Wiktor brnął po kostki w rzadkim błocie, wlokąc za sobą ciężki, oblepiony błotem rower. W ciemności ledwie mógł odróżnić kontury rozmokłej, grząskiej drogi. Lepka wilgoć pomieszanego ze śniegiem deszczu kleiła się do twarzy, uszu i szyi pchała się natrętnie za kołnierz, wywołując niemiłe dreszcze.

— Co za psi czas — klął w duchu Wiktor mocując się z wiatrem i rowerem. — Żebym ich tylko zastał jeszcze.

Wieś spała już prawie. W niektórych domach paliło się jeszcze światło, ale większość zagród pogrążona była w ciemności i bezruchu nocy.

Słupowice, bogata wieś w gminie Ługi Wielkie, wykonała zaledwie 60 procent planu skupu zboża. Jak to zwykle: małorolni i większość średniaków odstawili co swoje w pierwszym terminie i popłacili już zaliczki na podatek gruntowy. Ale kułacy? Ci odwieźli po parę cetnarów, albo i wcale nic, tłumacząc się, że jeszcze nie młócili. To była właśnie ta sprawa, dla której Wiktor Kominek, sekretarz Gminnego Komitetu P. Z. P. R. w Ługach Wielkich borykał się od blisko dwóch godzin z wichurą i ze wszystkimi „zaletami" słupowickich dróg.

— Obudzimy cię chyba, spryciarzu — pomyślał, mijając pogrążoną w ciemnościach zagrodę 40-hektarowego kułaka Floriana Dębicy.

Gdy dobrnął do domu sołtysa, był już porządnie zmęczony. Twarz miał mokrą od deszczu i potu, koszula przylgnęła do spotniałych pleców. W domu sołtysa paliło się jeszcze światło.

— Chyba czekają — pomyślał Wiktor i minąwszy ogrodzenie zapukał do drzwi chałupy. Po chwili był już w jasno oświetlonej izbie. Ostre, elektryczne światło raziło przywykłe do ciemności oczy.

— Aleś się, bracie, upaćkał — przywitał go Łobodzki.

— Diabelny czas — odrzekł Wiktor wycierając chustką spotniałą skroń. — Obawiałem się, że się już rozejdziecie, ale nie mogłem wcześniej. Wracam dopiero z powiatu — mówił witając się z członkami trójki gromadzkiej.

— To może wypijesz co gorącego — zaproponował Łobodzki. — Matka już śpi, ale trochę mleka sam ci zagrzeję.

— Szkoda mitręgi — odparł Wiktor, siadając ciężko na krześle. — Odetchnę trochę i pójdziemy pogadać z tymi najbiedniejszymi.

— Dębica to już chyba śpi i nie wpuści nas w nocy — rzekł Kwiecień.

— Trudna będzie dziś sprawa — dodał Kazik Zieliński.—Późno jest. Będą się szarpać, że to po nocy ich się napastuje. Ja to bym mówił, żeby więcej do nich nie chodzić, tylko zorganizować młockę, że ani się spostrzegą.

Nastała chwila ciszy. Cztery nachmurzone troską i powagą spojrzenia skierowały się na Wiktora. On musi doradzić, zadecydować.

— Nie, moi drodzy — zaczął po chwili Wiktor. — Trzeba jeszcze próbować. Pójdziemy dziś przynajmniej do Floriana Dębicy. Poprosimy o kwity, zobaczymy, ile odstawił. Spróbujemy go jeszcze nakłonić.

— Akurat go namówisz — wtrącił Dukat z powątpiewaniem.

— To nic, ale pójść trzeba i postawić sprawę stanowczo. Gdy mu powiemy, że natychmiast przystępujemy do omłotu, to się trochę zastanowi. Na przymusowej młocce przecież nie zyska.

— Słusznie — przytaknął Łobodzki — trzeba wyczerpać wszystkie możliwości. Będzie mniej powodów do wykrętów.

Po kilkunastu minutach pięciu ludzi wchodziło w obszerne opłotowania Floriana Dębicy. Pod chlewami ujadał zawzięcie pies, który czując obcych wszczął alarm. Sołtys Łobodzki zapukał do drzwi wejściowych. Po długiej chwili odezwał się z sieni ospały głos Dębicy:

— Kto tam jest?

— To ja, sąsiedzie. Otwórzcie.

— A co was to tak po nocy nosi? Nie możecie spać?

— Nie, ale mam dla was ważną nowinę — rzekł dyplomatycznie sołtys. Chłopi z trójki i Wiktor stali cicho za plecami Łobodzkiego. Dębica odryglował drzwi.

— A co to za delegacja? — zdziwił się. Był pewien, że sołtys przychodzi sam. W ciemności nie mógł rozeznać przybyłych.

W kuchni, do której zawiódł przybyłych Dębica, było ciemno. Zagroda Dębicy nie była zelektryfikowana. Kiedy w 1948 roku elektryfikowano wieś, skąpiec Dębica odmówił wpłaty swego udziału.

— Wiecie co — zaczął dość oficjalnie sołtys, kiedy Dębica zapalił wreszcie naftową lampę. — Pokażcie no wasze kwity z odstawy.

— Kwity? — Dębica schylił nieco swoją kanciastą, suchą głowę i spojrzał wrogo na Wiktora. Był bardzo wysoki i patrzał na wszystkich z góry. Jego koścista twarz przybrała nagle wyraz zawziętego skupienia.

— Kwity? Gdzie ja wam będę po nocy kwitów szukał?

— Macie na pewno gdzieś pod ręką — uprzedził sołtysa Wiktor. Był wzburzony. Ten nieprzystępny, uparty starzec zawsze działał mu na nerwy.

— Nie mam pod ręką — wycedził chłodno swoim chropowatym głosem Dębica, patrząc złośliwie na Wiktora. Brunatne, długie wąsy opadły mu wzdłuż brody. — I teraz jest noc — dodał po chwili.

— Wyśpicie się jeszcze — rzekł sołtys Łobodzki.

Nastała krótka chwila kłopotliwego milczenia. Stojący za plecami Łobodzkiego i Wiktora chłopi z trójki spoglądali na siebie. Zmęczony i wyczerpany całodziennym trudem Wiktor walczył ze wzburzeniem, jakie go ogarniało. Nie chciał wybuchnąć, spowodować sprzeczki. Zmarszczył wypukłe czoło i przygryzł wargi. Krótkie, niesforne, czarne włosy zdawały się poruszać na jego głowie. Rzucił przenikliwe spojrzenie Dębicy.

— Noc jest, mówicie, dobrodzieju? — zaczął. — Noc? Ale było już tyle dni. A wy co? W dzień nic i w nocy nic. Ile zboża odstawiliście?

— Idźcie mi z tą odstawą — zaskrzypiał Dębica. — Ile odstawię, to moja rzecz. Nikt za mnie nie będzie odpowiadał. Czy wy nie widzicie, że stogi mam nie młócone?

— To czemu nie młócicie? — nie wytrzymał Zieliński.

— W taką pogodę młócić? Zwariowaliście? Rozgrzebię stóg, zamoknie i zgnije.

— Było dość czasu — rzekł Wiktor energicznie. — Koniec końców, nie chcecie sami młócić — to wam pomożemy. Uprzedzam was, Dębica, że postanowiliśmy przeprowadzić u was przymusowy omłot.

Dębica szarpnął się, jakby chciał skoczyć na Wiktora. Wydął wargi, poruszył zmarszczonym czołem, przełknął ślinę.

— Nie będziecie młócić! Mój stóg czy nie?

— Nie będziemy was prosić o zboże.

Bogacz postąpił krok naprzód. Rozchełstana koszula ukazała kościste, owłosione piersi. Olbrzymie ręce ścisnęły krańce koszuli.

— Wara — powiedział zduszonym głosem. — Postąpił jeszcze krok.

— Tylko spokojnie, Dębica — uprzedził Zieliński. Był tęgi i barczysty. — Tylko spokojnie, mówię wam. Skończyło się wasze.

— Nie ma co się sprzeczać — przeciął Wiktor. — Idziemy.

— A co do młocki — dodał już w drzwiach Łobodzki — to zboże pewnie że wasze, i nikt wam tego nie zapiera. Ale młócić będziemy swoją drogą.

— Diabła zjecie, nie moje zboże — pożegnał ich Dębica.

Na drodze Wiktor wydał krótkie dyspozycje. Jutro trzeba przygotować w SOM-ie lokomobilę i młocarnię, i podstawić pod stogi Dębicy. Ludzie do młocki się zejdą; inni kułacy, gdy zobaczą, że to nie przelewki, sami może zabiorą się do młocki i odstawy.

Było już dobrze po północy, kiedy Wiktor dobrnął wreszcie do domu. Nie miał już sił zagrzać sobie coś do wypicia. Rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął.

*

Słyszała Helka pukanie do drzwi na ganku i ujadanie Burka, ale zaspana była i nie chciało jej się nawet myśleć, kto to tak późno wieczorem idzie. Kiedy ojciec z drugiej izby wyszedł otworzyć przybyszom, naciągnęła pierzynę na uszy łowiąc resztki spłoszonego snu. Ale podniesione głosy dobiegały z kuchni i uparcie, na złość wierciły w uszach, nie dawały zasnąć. Potem poznała głos Kazika Zielińskiego i to ją już zgniewało. Znów o to zboże — i akurat Zieliński musi najwięcej szarpać się na ojca. Pomyślała o Stefanie i przyszło jej do głowy, że ta jego obojętność, z jaką ostatnio ją traktuje, to chyba też przez to zboże. Poczuła, że wszystkie te udry między bogatymi a tamtymi dziadami, że to wszystko akurat jej na złość, na złość jej sprawie ze Stefanem. Bo co ona winna, że ojciec jest bogacz, a Zielińscy — jak to mówią — biedniaki? Co ją to wszystko obchodzi? Jej podoba się Stefan, wie, że ona jemu też się podoba — a tu to zboże, nienawiści — wszystko przeciw jej szczęściu.

Z gniewu zacisnęła palce na poduszce, chciało jej się płakać. — Czemu ten ojciec nie odda wreszcie tego zboża — myślała ze szczerym oburzeniem — czemu chce być mądrzejszy niż inni. Przecież we wojnę oddawał za pół darmo i nic nie mówił, a teraz za pieniądze i dla swoich nie chce sprzedać. Zostałoby mu jeszcze dla siebie — i na śrutę, i do siewu — ale ojciec, jak żadnego roku, czeka z młocką do wiosny i odstawić zboża nie myśli.

Wiedziała Helka, że szkoda nawet nakłaniać go do tego, wiedziała, że szwagier Szymek zaraz będzie szydził i docinał, a ojciec — gdyby za dużo gadała — pasem będzie prał. Znała jego upór — i z żalem gniewnym myślała o ojcu, że przecież jest niedobry.

Potem usłyszała podniesione głosy Kazika Zielińskiego i Wiktora Kominka z Ługów — i szarpnął nią jakiś ból. Bo niby czemu zaraz się porywają na ojca? Czy to im ukradł swoje bogactwo, swoje morgi? I na Stefana gniewała się nierozumnie. Czego chce od niej, czemu się boczy. Napletli mu pewnie, że zetempowiec z kułacką córką... Może mu dokuczają — myślała i Kazik też pewnie bratu docina. Nawet się nie spostrzegła, kiedy poduszka zrobiła się ciepła od łez. Co ona temu wszystkiemu winna? Potem myślała jeszcze o nich, o zetempowcach i świetlicy. Ciekawa była bardzo, jak oni ze sobą żyją wszyscy, co mówią — ale jak tu iść do świetlicy, żeby Szymek i ojciec nie wiedzieli? A zresztą oni sami tam — kto wie, jak by ją przyjęli.

Słyszała jak tamci wyszli, lecz ojciec nie wracał z powrotem na swoje łóżko. Wiatr podzwaniał kroplami pluchy o okno, gdzieś na facjacie kołatała monotonnie jakaś oderwana deska. W świetlicy może się bawią — a co robi Stefan? Dawniej, często i w takie brzydkie, jak ten, wieczory byli razem. A dziś...

Wiatr podzwania o szybę coraz senniej. Kiedy ten ojciec będzie spał?

*

Ale Florian Dębica nie poszedł już spać tej nocy. Będą młócić — myślał. — Jutro od rana zabiorą się do maszyny. Do rana jest jeszcze dużo godzin. Tak, do rana trzeba to załatwić. Późną nocą, w taką pogodę, ani pies nie wyjrzy z budy. Dobry czas.

W ciemności i plusze nie było widać ani słychać, jak wysoka postać szła powoli i ostrożnie ku remizie SOM-u. Pod nogami chlupotało błoto, wiatr zatykał uszy, chlapał po twarzy deszczem. Dębica dotarł do drzwi remizy. Były zamknięte na kłódkę. Haki i skobel tkwiły w oślizłych deskach. Po omacku wsadził dłuto między drzwi i skobel, spróbował nacisnąć. Skobel nie wytrzyma, ale... Będzie ślad po włamaniu, spostrzegą zaraz rano. Nie będą nigdy wiedzieć, kto tu był, ale lepiej byłoby wejść nie zostawiając widocznych śladów. Maszynę rano wywiozą i dopiero w polu zobaczą. Zmitrężą przynajmniej czasu, namęczą się nadaremnie — myślał z mściwością. Wyjął z kieszeni ogromny pęk kluczy i zaczął przebierać. Może któryś się nada—myślał naiwnie. Chwilę pobrzękiwał kluczami, dobierał, przymierzał po ciemku, ale żaden nie pasował. Dębica zastanowił się przez chwilę, po czym wsadził dłuto pod listwę, poniżej skobla, pomiędzy oba skrzydła drzwi. Stare drzwi z sosnowych desek nie były ani szczelne, ani mocne. Gwoździe wokół blach zawiasowych chwiały się trochę, deski odstawały od zawiasów. Drzwi można po prostu zdjąć z zawiasów nie rozrywając kłódki, ani nie wyłamując skobla. Podważył dłutem dolny zawias — żelazo zgrzytając ustępowało powoli ku górze. Po ciemku nie widział, jakie długie są sworznie w słupie, podtrzymujące zawiasy, i jak wysoko trzeba będzie windować drzwi. Jeśli sworznie będą miały ze cztery cale, to cała robota na nic, drzwi zahaczą o górną belkę. Spostrzegł się, że powinien był przynajmniej obmacać te sworznie, ale teraz szkoda mu było opuszczać drzwi z powrotem, podważał więc zawias na wyczucie, coraz wyżej. Wreszcie żelaza zgrzytnęły krótko i ostro, drzwi zachwiały się skrzypiąc — i zaraz potem twarda deska upadła mu na koniec buta. Dębica w zapamiętaniu nie poczuł nawet dotkliwego bólu. Odchylił lekko drzwi i jak kot prześliznął się obok słupa. Potem drzwi wsparł o słup poza sobą. Był już w remizie.

— Diabła zjecie, nie moje zboże.

Po omacku, potykając się o pługi, kultywatory i jakieś graty, odnalazł lokomobilę. Była to maszyna, którą on, Dębica, często dawniej wypożyczał od niemieckiego obszarnika Kuntzego. Po wojnie, po ucieczce Kuntzego, Dębica twierdził, że jest współwłaścicielem lokomobili i młocarni, ale nie miał na to żadnych dowodów. Maszyna, jako mienie poniemieckie, przeszła na własność SOM-u. Dębica znał ją dobrze.

Wdrapał się na kocioł i mozolnie jął rozpiłowywać regulatory. Potem zabrał się do spojeń na kotle. Nie chciał nitów podcinać dłutem, żeby zbytnio nie hałasować, musiał więc piłować. Żmudnie, z zawziętością obłąkanego, piłował twarde głowy nitów. Skulony w niewygodnej pozycji, po ciemku macał nity i tarł z pasją pilnikiem. Pot zalewał mu oczy. Męczył się, cierpł, ale nie ustępował.

Wreszcie, podpiłowawszy kilka nitów, zszedł z kotła. Przedostał się do wyjścia i zabrał się do wsadzania drzwi na swoje miejsce. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że założyć je z powrotem będzie niezmiernie trudno. Jak tu trafić po ciemku wygięciem górnego zawiasu na

sworzeń? Dolny może odnaleźć omackiem, ale tam mimo swego drągowatego wzrostu nie sięgnie ręka. Czuł tępy ból w dużym palcu u nogi. Wszystko to razem rozgniewało go. — Ech, zostawię te drzwi, i tak ni diabeł nie będzie wiedział, kto tu był. — Już zrobił krok ku drodze, ale zatrzymał się. Odezwała się dębicowska zawziętość. Zostawić tak drzwi — to po diabła mordował się, żeby je zdjąć. Mógł bez mordęgi wyrwać skobel. Nie. Musi je założyć. Niech ci oberwańcy wloką zepsutą maszynę na pole i z powrotem. Wrócił. Uniósł drzwi do góry trzymając w rękach cały ich ciężar i próbował trafić zawiasami na sworznie. Męczył się bardzo, co chwila upuszczał drzwi, potem podnosił je znowu i jak ślepiec kołatał zawiasami o sworznie. Kilka razy drzwi przygniotły mu palce ręki do słupa. Klął w duchu na wszystkich szatanów, ale wciąż od nowa podnosił coraz cięższe drzwi i kołatał, kołatał. We wsi odezwał się już pierwszy kur, a on jeszcze mordował się z tymi zawiasami. Wreszcie udało mu się założyć drzwi. Odetchnął.

— Diabła zjecie, nie moje zboże.

*

Nazajutrz pogoda trochę się udobruchała. Było pochmurno i wilgotnie, ale nie chlapało. Przed SOM-em od rana panował ruch. Lokomobila po ostatniej młocce u chłopów stała tu dopiero kilkanaście dni. Młocarnia stała nawet jeszcze u Szukackiego, u którego ostatnio młócono. Nikomu nie przyszło na myśl, by drobiazgowo oglądać maszynę, sprawdzać regulatory albo nity. Przecież co dopiero maszyna była na chodzie.

Kiedy Wiktor przybył do Słupowic, lokomobila stała już pod stogami Dębicy. Pojechano do Szukackiego po młocarnię. Marek Czerna, mechanik SOM-u i maszynista, zabrał się do przygotowywania maszyny. Dopiero po nalaniu wody i rozpaleniu ognia spostrzegł uszkodzenia. Właśnie od wsi szedł Wiktor z sołtysem i Kazikiem Zielińskim, a za nimi gromadkami ciągnęli ludzie.

— Towarzyszu! — krzyczał z daleka Marek poznając Wiktora. — Towarzyszu, sabotaż! Maszyna popsuta! Patrzcie — regulatory!

Wiktor stanął osłupiały.

— Sabotaż? Jak to! Przecież maszyna była w remizie. Wy macie klucze.

Marek utkwił weń zdziwione spojrzenie. Nie rozumiał.

— Klucze, mówicie? Klucze? Chyba nie myślicie...

Tymczasem zbiegli się ludzie. Na wieść o zepsuciu maszyny zawrzało. Wszystkie oczy zwróciły się na Marka.

— Co? Jak? Nic on nie wie? A kto ma wiedzieć?

Nadszedł niespodziewanie Florian Dębica z zięciem i paru kumotrami. Podchodził chyłkiem od drogi jak głodny wilk.

— Złazić mi z pola! — krzyczał z daleka. — Czego tu chcecie?

— Hola, hola, dobrodzieju — powstrzymał go Zieliński.

— Wara od mego zboża! Precz — głodomory!

Nagle stojący dotąd niezdecydowanie Marek skoczył na Dębicę jak ryś. Ledwie Wiktor zdołał go powstrzymać.

— Ty stary łotrze! — krzyczał szamocąc się Marek. — Co udajesz głupiego! Co się drzesz! Jakbyś nie wiedział, że maszyna zepsuta, to byś tu był od rana z całą swoją sitwą.

— Prawda! Prawda! — wykrzyknął ktoś gorączkowo.

— Zepsuł maszynę!

Na czoło zbiegowiska wysunęła się chuderlawa i krzykliwa Czerkiesikowa z Bud. Kiedy i jak przyszła do wsi z odległych o parę kilometrów Bud — nie wiadomo. Może miała jaki interes we wsi, a może wiedziała już o młocce.

— Prawda! A może nie prawda!— piszczała Czerkiesikowa — ale Dębica wykiwał się i tyle, wymigałeś się, stary chytrusie, od młocki. A my głupie poodwozili zboże, żeby odrzykoń się śmiał. A wy co się chowacie, sekretarzyku — zobaczyła Wiktora — agitujcie Dębicę, nuże!

— Nie krzycz, kobito — zgromił ją ktoś.

— Prawda, bogacze zawsze się wykręcą — padały głosy.

Dębica ze swoją kompanią wycofał się z gromady. Triumfował. — Diabła zjecie, nie moje zboże.

Wiktorowi i sołtysowi z trudem udało się jako tako uspokoić ludzi. Tymczasem nadbiegł Bartyla. Okazało się, że Bartyla spostrzegł, iż w remizie, wokół miejsca, gdzie stała lokomobila, leżały opiłki od żelaza i mosiądzu. Jasnym się stało, że ktoś włamał się w jakiś sposób do remizy i popsuł maszynę. Kto to zrobił? Niewątpliwie była to kułacka robota za sprawą Dębicy, ale nikt go przecież na gorącym uczynku nie złapał.

— Nie puściłbym skurczybyka stąd — krzyczał jeszcze Marek wskazując ręką oddalającego się Dębicę. — Nie puściłbym. Niechby się przyznał, drań. To jego sprawka!

Wiktor nie wiedział, co począć. Sabotaż oczywisty. Prędzej czy później sprawca się znajdzie — ale co z młocką? Dać się wykpić Dębicy? Naradzili się krótko z sołtysem i Zielińskim. Ludzie już zaczęli rozchodzić się pomału. Zwołali ich. Co robić z tą nieszczęsną maszyną, jak wymłócić Dębicowy stóg? Nic nie pomoże, trzeba sprowadzić lokomobilę z Ługów — mówi Wiktor. Maszyna stoi w Ługach wolna. Tylko jak ją tu przyciągnąć. Tyli szmat drogi i takie błota.

Wszyscy prawie byli za tym, żeby koniecznie młócić. Ale sprowadzić z Ługów lokomobilę w tym czasie — niepodobieństwo. 14 kilometrów rozmokłej, złej drogi, to niemożliwość. Ani w sto koni maszyny nie przyciągnie. A traktorem? Traktor w błocie z ciężarem takim nie ruszy. Koła będą ślizgać się w miejscu.

— No to co będzie ze skupem? — zagrzewał chłopów Wiktor. — Damy się tak wymigać Dębicy? Musimy, musimy młócić! Ty, Kazik — zwrócił się do Zielińskiego — zorganizuj chłopaków. Końmi trzeba jechać. Słyszysz? Końmi jechać i przywieźć maszynę. Kilkanaście koni, czy ja wiem ile, na zmianę zaprzęgać po czwórce — i pójdzie. — Spojrzał na zegarek. — Ja muszę do Skrzęczyny jechać. Weźcie się, weź się, Kazik, za to.

*

Zieliński namawiał po drodze Łobodzkiego, żeby wyznaczył, ile trzeba koni z gromady do przewiezienia lokomobili z Ługów.

— Zaliczyć im na szarwark i pojadą — mówił. — Maszynę, słuchajcie, trzeba przywieźć koniecznie. Inaczej nie tylko Florian Dębica będzie się z nas śmiał, ale i inni bogacze nie odstawią zboża.

Ale Łobodzki nie bardzo wierzył, by teraz, w czasie roztopów, można było dostawić z Ługów lokomobilę.

— Choćby nawet w dwadzieścia koni — rzekł do Zielińskiego — to i tak nie dasz rady. Jeśli nawet całą drogę by się przejechało, to tu na grobli maszyna zarznie i nie wyjedziesz. Zresztą chłopy na rozkaz nie pojadą. Dwadzieścia koni na szarwark? Nie, Kazik, nie pojadę. Co ich obchodzi Dębiców stóg?

Szli obaj polem ku wsi, za nimi ciągnęli małymi grupkami, głośno rozprawiający o sabotażu, poruszeni i rozpaleni ciekawością ludzie. Zieliński wsadził ręce aż do łokci w głębokie kieszenie drelichowych spodni. Szedł nachmurzony, prawie zły.

— A ja wam mówię, Łobodzki, że się mylicie. Mówicie — co chłopów obchodzi Dębiców stóg? Właśnie, że obchodzi. Nie widzicie, jak ludzie się burzą, jak ich to pojątrzyło? Obchodzi ich, mówię wam, obchodzi. Chłopi nie będą siedzieć jak trusie, kiedy taki Dębica się wymiguje.

— Burzyć się burzą — wątpił Łobodzki. — Ale to wszystko gadanie.

Do wyzwisk każdy skory, ale do roboty...

— Nieprawda — zaperzył się Kazik. — Miarka się przebrała. Teraz to tylko trzeba tym wszystkim pokierować.

— To pokieruj, Kazik — odezwał się Łobodzki — pokieruj — Kazikowi zdawało się, że tamten chyba drwi z niego.

— Kpicie? A ja wam mówię, że maszynę się przywiezie. — Przystanął, klepnął sołtysa w ramię, jakby szło o jakiś zakład. — No, co wy na to?

Sołtys spojrzał nań trochę gniewnie, trochę po ojcowsku. W twarzy Kazika było trochę jakiejś chłopięcej przekory, ale więcej chyba zdecydowania i zawziętości.

— Ej, chłopcze, głupstwa gadasz— wzruszył ramionami Łobodzki. — Na plecach przywieziesz maszynę, czy co?

Kazik odgarnął z czoła strzechę żółtawych włosów, które uciekały mu ciągle spod za dużego nieco, starego kapelusza.

— Na plecach nie na plecach, zobaczymy, jak to pójdzie. Ale wy swojego konia dacie.

Pożegnali się przed chałupą Zielińskiej. Kazik wszedł na ciasny podwórzec swojej zagrody. Gospodarował tu z matką i młodszym bratem Stefanem na trzech hektarach. Ojca nie pamiętał. Umarł młodo, podobno na grypę. Długie lata Zielińska biedowała z dwójką dzieciaków sama. Potem chłopcy podrośli. Teraz Kazik zastępował już gospodarza i gospodarował — trzeba to przyznać — nieźle. Był młody, nie odsłużył jeszcze wojska ale na wsi ludzie go jakoś lubili i poważali. Teraz był nawet w trójce gromadzkiej. Chłopakowi imponowało to trochę, że taki młokos a przecież wszyscy traktują go prawie na równi z poważnymi gospodarzami.

Kiedy Kazik wchodził na podwórze, Stefan przy wejściu do szopy rąbał drzewo. Zobaczywszy brata cisnął siekierę.

— I co, Dębica popsuł maszynę?— spytał.

— To już wiesz?

— Wiem — odparł Stefan. — Staszka Bartylów biegła tu po wsi i rozpowiadała. A to skurczybyk cwany — nie? — Zaśmiał się, ale widać było, że więcej go to gniewa niż śmieszy — I co teraz? — pytał dalej spoglądając na brata nieco z góry. Był wyższy od Kazika, mniej przysadzisty, smukły. Miał taką samą okrągłą, tylko delikatniejszą twarz, przybraną u czoła bujną, kędzierzawą, jasną czupryną. Uchodził za najładniejszego chłopaka we wsi i dziewczęta — jak to się mówi — traciły głowy. Chodził z Helką Dębiczanką, najmłodszą córką Floriana Dębicy. Nie żeby na hektary leciał i z kułakami się bratał, ale Helka była ładna i miła. Podobali się sobie.

— Co teraz? — powtórzył pytanie zafrasowany Kazik. — Nie wiem. Może jakoś teścia przekonasz, żeby młócił i oddawał zboże — dodał złośliwie.

— Co dokuczasz? — oburzył się Stefan. — Czy ja mogę za Dębicę odpowiadać? Albo Helka?

Ale Kazik ironizował dalej.

— No, teraz to jeszcze nie możesz za teścia odpowiadać, ale jak się wżenisz w Dębicowy folwark, to będziesz sabotował razem z nim?

— Co cię znów wzięło, Kazik? — rozgniewał się Stefan. — Co się czepiasz? Gdzie mi tam do żeniaczki. Jesienią pójdę na kurs szoferski S.P., dobrze to wiesz. Nie pachnie mi wcale kułacki chleb. Więc co się, powiadam, czepiasz? — Ze złością chwycił siekierę i wbił ją w sękaty, sosnowy pniak. — A jeślibym się nawet potem żenił — sapał zagniewany — to Helkę wezmę do miasta. I co to ma wspólnego z omłotem, Kazik?

— No, nie rzucaj się tak — spuścił z tonu Kazik. — Nie znasz żartów?

— Żarty żartami — mruczał udobruchany już Stefan — a co będzie ze stogami Dębicy?

— A no, musimy przewieźć lokomobilę z Ługów.

Stefan zdębiał:

— Maszynę z Ługów, teraz, po takich grzęzawiskach? Jak to chcesz zrobić?

— Zwyczajnie, końmi.

— Ee, bo to uciągną?

— Muszą. Można zaprzęgać po trzy, cztery pary na zmianę. Pociągną. A groblę wymościć kamieniami i drzewem — i można będzie przejechać.

— No to niech sołtys wyznaczy konie i jazda — zapalił się Stefan.

— Nie tak prędko, bracie — zgasił go Kazik. — Łobodzki nie chce wyznaczać, mówi, że chłopy tak na rozkaz nie pojadą. I widzi mi się, że ma trochę racji. Zresztą nie wiadomo, co by na to powiedzieli w gminie. Choćby tylko dwadzieścia koni, to więcej niż całoroczny szarwark na gromadę.

— No to jak myślisz robić — pytał Stefan. — Płacić za konie dniówkę? Kto zapłaci, Dębica?

— Nie — odparł Kazik poważnie. — My musimy sami przywieźć lokomobilę.

— Jak to, my obaj? Z dębuś spadł?

— Ee, nie my obaj. Jak mówię my — to my, młodzież, ZMP.

Stefan zamyślił się. Jakoś mu się to widziało nie bardzo możliwe.

— Przecież młodzi nie mają swoich koni — rzekł po chwili.

Ale Kazik już obliczał: — Nasz koń i Łobodzkiego — to para, Dukat też przecież pojedzie — to cztery, Kwiecień — pięć. Ludzie są — bracie — oburzeni na Dębicę, wielu, bardzo wielu da konie. Niech choć co drugi zetempowiec, z tych, których ojcowie mają konie, nakłoni rodziców, żeby jechać — to będą konie, czy nie? Dobrze myślę?

— No to trza lecieć na wieś do chłopaków — zerwał się Stefan. — Szkoda czasu.

Wyszli za pokrzywiony, omszały płot, na rozmokłą drogę. Zaspany, wilgotny ranek wisiał nad przykucniętą jak w drzemce wsią. Ciężkie, rozlazłe chmury zdawały się wcale nie poruszać, tkwiły — kudłate i nieruchome nad ledwie w mokrej dali widocznym, fioletowym pasem skrzęczyńskiego lasu. Takie niebo nie wróży pogody.

Słupowiccy zetempowcy skrzyknęli się prędko. Wieść o zamierzonej przez Zielińskich wyprawie do Ługów biegła jak sztafeta od chałupy do chałupy. Po upływie godziny przed sklepem Samopomocy Chłopskiej zebrała się spora gromada młodzieży. Ze trzydziestu chłopców i nawet kilka dziewcząt. Osobliwy ten wiec nie trwał długo. Do propozycji starszego Zielińskiego młodzi się zapalili. To dopiero będzie, jak przywiozą maszynę i udaremnią wszystkie nadzieje Floriana Dębicy i jego kumotrów! Pojadą, pewnie że pojadą. Roboty teraz wiele nie ma. Mają konie stać, to niech się trochę przewietrzą. A Dębica niech się za wcześnie nie cieszy.

Wkrótce rozbiegli się do domów. Przed południem jeszcze zbiorą się z końmi tu, przed sklepem, i pojadą gromadnie do Ługów. Marek Czerna ruszył zaraz do Ługów rowerem zawiadomić SOM i Komitet Gminny, że Słupowice przyjadą jeszcze dziś po maszynę.

Kazik Zieliński wstąpił do Łobodzkiego, Stefan śpieszył do domu przygotować szory i napaść kobyłę — a także uprzedzić matkę, wcześniej zrobiła coś na obiad: kiedy mijał zagrodę Floriana Dębicy, wybiegła na drogę Helka.

— Co to, Stefku, nie poznajesz mnie? — pytała uśmiechając się filuternie ciemnymi, jak ziarnka palonej kawy, oczyma. Była smukła i zgrabna; ciemne, gęste włosy spadały jej obficie na ramiona.

— E, co bym cię nie poznał — zatrzymał się Stefan. — Ino mi się spieszy.

Spostrzegła zaraz, że jest zły, nadąsany jakiś.

— Złościsz się na mnie? O co? — Spuściła oczy przykrywając je długimi rzęsami.

— Nie, nie złoszczę się, ale nie mam czasu — próbował ją wyminąć na ścieżce, choć najchętniej pogadałby z nią chwilę, pośmiał się, pocałował.

— Nie, Stefku — zastąpiła mu drogę. — Jesteś teraz taki... coraz gorszy. Powiedz mi: nie lubisz mnie już? Nie chcesz? No powiedz. O co ci chodzi? I dokąd się tak śpieszysz?

— Dokąd? — zmarszczył słomiaste brwi Stefan. — Chcesz koniecznie wiedzieć, to ci powiem. Organizujemy konie. Pojedziemy do Ługów po lokomobilę. — Utkwił w nią przenikliwe spojrzenie. Helka patrzała nań, jakby nie bardzo wiedziała, o co chodzi. To go trochę zgniewało.

— Twój ojciec zepsuł somowską lokomobilę, ale i tak się od młocki i odstawy nie wykręci. Przywieziemy maszynę z Ługów.

— Co ty gadasz, Stefan? — wykrzyknęła Helka zapłoniwszy się nagle; nie wiadomo — ze wstydu czy oburzenia. — Ojciec zepsuł maszynę? Kto to widział? Jak ty tak możesz od razu posądzać?

— Ej, nie udawaj — przerwał jej zniecierpliwiony. — Kto zepsuł maszynę? Ja? Albo Łobodzki? Ten zepsuł, komu zależało, żeby nie młócić. Sama zresztą dobrze wiesz.

— Nic nie wiem, Stefan — zaklinała się. Skąd mam co wiedzieć? Ty wiesz; oni, ojciec, Szymek, wszyscy — oni ze mną tak jak z małym dzieckiem. Gdy się o co pytam albo co mówię, to mnie wyganiają do kościoła na nieszpory. I wymawiają mi, że z tobą, że z dziadami i zetempowcami... A ojciec zaraz pasem...

Z trudem powstrzymała łzy, które trzęsły się jej w kącikach oczu. Stefan widział to. Coś go ukłuło w serce, żal jakiś, współczucie czy co. Ale prędko odpędził od siebie te rzewności.

— E, bo ty z nimi nie umiesz — mówił tonem prawie obojętnym. — Tak tańcujesz, jak ci grają. Ja cię wcale nie buntuję, ale... Oni ci mówią, że trzymasz z nami? To wcale nieprawda. Ty tylko patrzysz za mną — powiedział to dumnie i jakby złośliwie — a z nami, to znaczy — jak to mówisz — dziadami zetempowcami to wcale nie trzymasz. Czyś ty była kiedy w świetlicy? Na zebraniu jakim?

Stała ze spuszczoną głową, zgnębiona, nieszczęśliwa. Chciała wreszcie coś mówić, wytłumaczyć mu. On, Stefan, nie wie, jak jej ciężko i trudno. Łatwo to z nimi trzymać, do świetlicy się wybrać! A potem klątwy i szyderstwa Szymka i pas ojcowy. Wzbierała w niej złość i żałość, uraza do ojca i Szymka, do sióstr i do Stefana wreszcie, że jej nie chce zrozumieć. Chciała mu to powiedzieć, ale on odezwał się znowu.

— No, ja idę, Helka. Musimy zbierać konie. Trza co najmniej dwadzieścia koni. Trudno będzie chyba zebrać tyle.

Nie żegnał się. Poszedł człapiąc głośno dużymi, gumowymi butami po błocie. I znów coś go korciło, żal jakiś ciążył. Żeby zawrócić, żeby nie zostawiać jej tak — kochanej przecież dziewczyny. Ale szedł coraz prędzej, z głową opuszczoną, schylony nieco do przodu, jakby się komuś lub czemuś wyrywał.

Bogusław Koguť

(dokończenie w najbliższym n-rze)

JOANNA GUZE

Książka o Leonardzie

Życie i dzieło Leonarda da Vinci wciąż jest niewyczerpanym i ulubionym tematem biografów, beletrystów i krytyków; uczeni zgromadzili wokół znakomitego florentyńczyka olbrzymią ilość pozycji biblicograficznych, uporządkowali dokumenty, kontrakty, korespondencję, wydali wreszcie puściznę literacką Leonarda liczącą ponad 5000 stron. Postać Leonarda, którego jedni nazywali Faustem Renesansu, gdy inni przypisywali mu cechy boskie czy demoniczne, zawsze frapowała wyobraźnię pisarzy; sprzyjała temu aura tajemniczości, którą Leonardo jeszcze za życia był otoczony, otwierająca szerokie pole dla domysłów, przypuszczeń i hipotez. Tym łatwiej zatem mogła się zatrzeć granica między prawdą a fikcją literacką, a uprawiany gatunek — beletryzowana biografia (vie romancée) gwarantowała całkowitą bezkarność i bezpieczeństwo autorowi, którego fantazja częstokroć nie mogła sprostać prawdzie o życiu Leonarda.

Beletryzowana biografia, bardzo modna w naszym stuleciu, w pewnej mierze zastąpić miała czytelnikowi, nieprzygotowanemu lub nie rozporządzającemu dostateczną ilością swobodnego czasu, dzieła historyków, popularyzując postaci i zagadnienia, malując epokę, zbliżając bohaterów poprzez ich życie codzienne i osobiste. Nie każdego historyka uznać można za wybornego stylistę i rzadko się zdarza, żeby wielcy historycy byli jednocześnie mistrzami prozy jak Taine czy Michelet; suchą narrację, którą spiętrzała jeszcze naukowa terminologia, usiłowano zatem zastąpić fabułą powieściową w sposób mniej lub więcej udatny. Kwestia prawdy i fikcji literackiej wysuwa się tu na pierwsze miejsce; wydaje się jednak, że sprawdzianem może być jedynie autentyczność atmosfery zawartej w książce, to znaczy współzależność między wrażeniem wyniesionym z lektury i dziełem opisywanej postaci historycznej, artysty, myśliciela czy pisarza. (W wypadku polityka lub wodza — liczne powieści o Cezarach, Napoleonach, Talleyrandach etc. — sprawa wygląda nieco inaczej, ponieważ autor z większą łatwością może naginać postaci do swoich poglądów politycznych, sympatii i upodobań, oraz wielorakich interpretacji historycznych, podczas gdy o twórcy w sposób jednoznaczny mówi jego dzieło). Jeśli więc w beletryzowanej biografii autentyczność atmosfery poparta jest prawidłowym oświetleniem epoki w jej przekroju politycznym, społecznym i kulturalnym, książka może spełnić pożyteczne zadanie popularyzując wybitną jednostkę. I wówczas kwestia fikcyjnego dialogu na przykład (który zresztą rzetelny autor stara się wysnuć z korespondencji, dokumentów i relacji współczesnych) staje się zagadnieniem drugorzędnym; umiejętność znalezienia właściwego rozstrzygnięcia zależy już wyłącznie od talentu i umiaru autora.

Pisząc książkę o Leonardzie da Vinci Antonina Vallentin*) stanęła w obliczu trudnego zadania. Musiała pokazać człowieka, który nie tylko jest najbardziej wszechstronnym przedstawicielem swojej epoki, ale w znacznej mierze ją przerasta i wyprzedza; którego współcześni uwielbiali, ale nie pojmowali; który budził w nich lęk obok podziwu; którego pragnienie poznania przerzucało od jednych prac do drugich, żadnych nie pozwalając mu dokończyć. „Jedynym skończonym arcydziełem tego geniusza było jego własne życie" — pisał krytyk francuski Jean Babelon. Z tych wszystkich trudności autorka wychodzi obronną ręką. W swej pracy korzysta z pism Leonarda oraz z materiałów pozostawionych przez współczesnych, w pierwszym rzędzie z pism Vasariego, biografa artystów Renesansu włoskiego. W sensie logicznym książka zbudowana jest tak, że spostrzeżenia dotyczące charakteru, postępowania i trybu życia są raczej wnioskami z tekstów autentycznych, niż swobodną fantazją autorki, która na interpretację dowolna i najmniej zresztą szczęśliwą pozwala sobie jedynie przy opisie malarskich i rzeźbiarskich dzieł Leonarda.

Ambicją Antoniny Vallentin jest pokazanie Leonarda — człowieka uniwersalnego. Tego Leonarda, który ofiarowując swe służby Ludwikowi Sforzy wylicza w liście do niego zakres swych umiejętności: malarstwo, rzeźba, architektura, muzyka, poezja, filozofia, matematyka, fizyka, chemia, geologia, botanika, mechanika, strategia. Człowieka uniwersalnego, ale przede wszystkim *człowieka:* od jego narodzin w małym miasteczku włoskim w pobliżu Florencji, aż do śmierci na ziemi francuskiej, w Cloux, gdzie Franciszek I ofiarował mu schronienie na starość. Życie Leonarda, zawsze samotne, przebiega w ośrodkach kultury włoskiej owych czasów, we Florencji, Mediolanie, Rzymie. Wciąż w poszukiwaniu możnych protektorów, których opieka zapewniłaby mu spokój w pracy, zależny od ich humorów i kaprysów, dziś przedmiot najgorętszych hołdów, jutro obojętności i zniecierpliwienia, kroczy z niepojętą wytrwałością po wytyczonej drodze, gdzie projekty, szkice, fragmenty muszą mu zastąpić dzieło kompletne i skończone. Jest niezrozumiany, ale nie dla swoich cech demonicznych, jak podkreślają niejednokrotnie biografowie

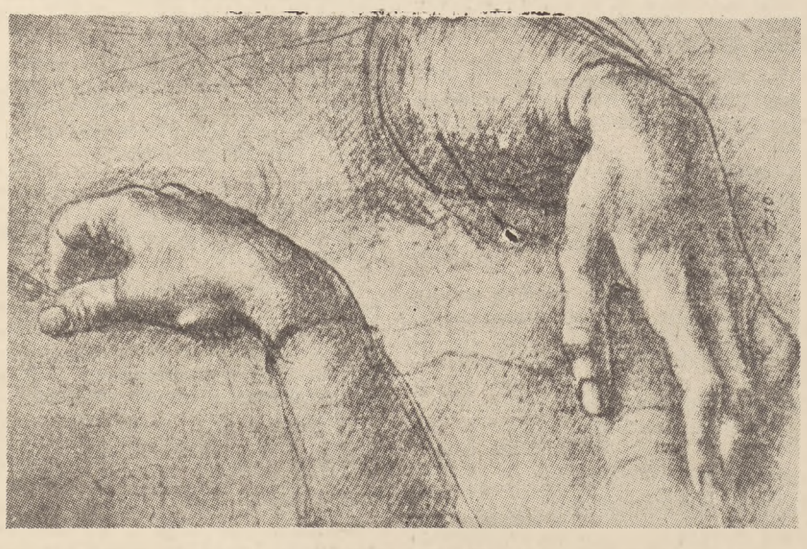

Leonardo da Vinci — Studium rąk.

ułatwiający sobie zadanie (Mereżkowski), ale dlatego, że poszukiwanie, które stanowi cechę naczelną tego umysłu, nie pozwala mu zatrzymać się nad żadną pracą od momentu, kiedy wyczerpał już zakres interesujących go zagadnień. Porzuca dzieło nie troszcząc się o to, że go nie ukończył i przechodzi do następnego z tą samą pasją poznawczą, która towarzyszy mu wiernie i niezmiennie przez całe życie. Rzecz inna, że niejednokrotnie okoliczności zewnętrzne stawały mu na przeszkodzie: posąg konny Franciszka Sforzy nie został odlany w brązie na skutek olbrzymich kosztów; sala Signorii we Florencji nie ujrzała nigdy fresku bitwy pod Anghiari, której karton zaginął w XVII wieku — wyobrazić go sobie możemy jedynie na podstawie szkicu Rubensa; projekt osuszenia błot Pontyjskich przedłożony papieżowi nie doczekał się realizacji, tak samo jak wiele urbanistycznych, hydraulicznych i technicznych pomysłów niestrudzonego florentyńczyka.

Dzieło literackie Leonarda to „Traktatem o malarstwie", który jest wykładnią estetyki Odrodzenia, niezliczonymi notatkami, fragmentami prac obejmującymi bez mała wszystkie dziedziny wiedzy czy utworami poetyckimi, zawiera modne w tej epoce bajki, zagadki i przepowiednie, które Leonardo — znakomity narrator — bądź opowiadał współczesnym, bądź notował tylko, jeśli treść ich zbyt godziła w utarte konwencje. Antonina Vallentin wplata je w tekst swojej książki, budując z nich filozofię Leonarda. Ukazuje się genialny samouk, myśliciel, który — obcy wskrzeszonym przez włoskich humanistów koncepcjom platońskim — patrzy na świat okiem materialisty. Zwalcza przesądy, czarną magię, astrologię, wiarę w duchy, występuje nie tyle przeciw klerowi (co było bardzo popularne w czasach Odrodzenia), ile godzi w zasady kościoła, formułując pewne zagadnienia wyraźnie już w duchu reformacji. Wreszcie zdaniem: *il sol non si muove* (słońce nie obraca się) przecina ostatnie związki z poglądami scholastycznymi. „Metafizyczny system średniowiecza oparty na człowieku i jego stosunku do Stwórcy rozsypał się w gruzy" pisze Antonina Vallentin.

Wydobycie filozofii i światopoglądu Leonarda i przeciwstawienie im zakresu myśli jego współczesnych jest jednym z najcelniejszych osiągnięć Antoniny Vallentin. Bardzo skrupulatne studium epoki pozwala jej na ukazanie tła społecznego i politycznego w sposób wyczerpujący. Być może autorka nie włada talentem prozatorskim w tym stopniu, aby z jej książki powstało dzieło literackie, które należałoby rozpatrywać w kategoriach literatury pięknej, jak w przypadku biograficznych powieści Zweiga, Maurois, Winogradowa, czy Grosmana, nade wszystko zaś Romain Rollanda, którego książka o Beethovenie uważana jest z największą słusznością za jedno z najwspanialszych dzieł wielkiego pisarza. Potrafiła jednak zgromadzić materiał i opracować go rzetelnie; umiała się wystrzec wątpliwych interpretacji odwołując się prawie zawsze do tekstów autentycznych, na skutek czego powstała książka ciekawa i wszechstronnie informująca, którą czyta się bez trudu i z zainteresowaniem.

Joanna Guze

Leonardo da Vinci — Studia do pomnika Trivulzia

*) Antonina Vallentin: Leonardo da Vinci. Przekład St. Sielskiego, „Książka i Wiedza", 1951.

ROZMOWA Z MŁODYM INŻYNIEREM

(Dokończenie ze str. 1-ej)

żadnej działalności. Zostałem wezwany na egzekutywę Komitetu Fabrycznego, skrytykowano moją pracę, mówiliśmy o tym, jak ją pchnąć na właściwe tory. Przy rozbudowie fabryki mogło być przecież wiele pomysłów racjonalizatorskich — i były, lecz mijały bez echa, przez nikogo nie rejestrowane. Niejako przymuszony, zacząłem sprawę ruszać z miejsca. Wyłowiliśmy te pomysły, które były uprzednio zastosowane, uaktywniliśmy Komisję Usprawnień, na zebraniach Klubu podsuwaliśmy tematy, warte opracowania. Ta praca daje mi obecnie bardzo dużo zadowolenia i dzięki niej znacznie zbliżyłem się do załogi. Właśnie między członkami Klubu znalazłem moich pierwszych przyjaciół — robotników.

Tu zaczęliśmy mówić ogólnie o stosunkach, jakie układają się między młodymi technikami a ich towarzyszami pracy. Wiele tu jest jeszcze niedociągnięć. Zarówno kierownictwo fabryk, jak i załogi nie doceniają często umiejętności młodej inteligencji technicznej. Z drugiej zaś strony młody inżynier, będący niejednokrotnie jedynym człowiekiem o wyższym wykształceniu w danej fabryce, odnosi się nieufnie do współpracowników, starych praktyków, zbytnio wierząc w swoje świeże wiadomości teoretyczne. Trudno mu czasem pogodzić się z faktem, że jest podwładnym człowieka o mniejszym wykształceniu. Niesłuszność tych obu stanowisk jest zbyt oczywista, aby szerzej o niej mówić — lecz pozostanie prawdą, że konflikty na tym tle bywają częste.

— Łączy się z tym jeszcze jedna sprawa — dorzucił inżynier Dacewicz. — Wielu z nas, młodych techników, zdążyło poznać szereg nowoczesnych metod produkcji — często metod radzieckich. Nie trzeba dodawać, że jest to znajomość przeważnie teoretyczna. Przyszedłszy do fabryki, ci ludzie w najlepszej wierze, z wielkim zapałem chcą te metody natychmiast zacząć stosować. Jeśli znajdą poparcie w personelu technicznym i brygadzistach, wówczas mogą wprowadzić istotnie pożyteczne zmiany. Jeśli jednak personel jest raczej konserwatywny, dochodzi do poważniejszych zatargów. Trzeba dużego taktu ze strony młodego absolwenta, dużej znajomości rzeczy, żeby mógł przekonać swych współpracowników o wyższości proponowanych przez siebie metod. W razie, gdy zaczną je stosować ludzie przekonani, rezultat będzie pomyślny, a zarazem niepomiernie wzrośnie autorytet inżyniera. Jeśli jednak wprowadzi on te metody drogą administracyjnego nakazu — na pewno nie wytrzymają próby życia i skompromitują ich propagatora. Skompromituje się na pewno ktoś, kto w fabryce, gdzie może zaledwie zaczął się ruch współzawodnictwa, zechce wprowadzić naraz — pewny siebie, wbrew woli i chęci załogi — oszczędzanie kompleksowe, system Kowalowa, szybkościowe skrawanie i brygady racjonalizatorskie. Wygra natomiast jeśli przedtem urobi sobie aktywniejszych robotników, przygotuje warunki, oprze się na zespole, na Partii i ZMP, spowoduje oddolną inicjatywę. Tak: my, młodzi, musimy być pionierami postępu technicznego, ale zawsze licząc się z miejscowymi warunkami i poziomem uświadomienia załogi. Czy znaczy to, że mamy być bojaźliwi, iść na kompromis? Nie, tak postępować nam nie wolno. Trzeba, abyśmy byli odważni i bojowi, ale odważni rozsądkiem.

Z czasem młody inżynier czy technik nabiera przekonania, że jego wiadomości, nabyte na uczelni, są pożyteczne dla zakładu pracy, że jednak i on może nauczyć się wielu rzeczy od załogi. Nie przejdzie obojętnie obok uwagi najprostszego robotnika, nie mówiąc o poważnych majstrach i brygadzistach. Załogi robotnicze są na to czułe i w lot oceniają jego stanowisko. Jednocześnie przez pracę z aktywem fabrycznym pokierować może produkcję na nowe, racjonalniejsze tory. Więź między załogą a młodym absolwentem umacnia się, z czasem może stać się nierozerwalna.

Inżynier Dacewicz, opowiadając o sobie i swych kolegach, mówił, że przechodząc ze środowiska wyższej uczelni do pracy na prowincji, muszą oni przestawić się psychicznie, muszą zrezygnować z wielu upodobań, przyjemności, możliwości, a dostosować się do nowego otoczenia. Mówił także o tym, że proces taki przebiega czasem burzliwie, napotykając na rozliczne opory, ale ma wszelkie szanse przebiec pomyślnie. Zapytałem, czy takiego dostosowania się nie traktuje czasami młodzież jako rezygnacji z dotychczasowej aspiracji, jako obniżenia swego młodzieńczego lotu.

— Bez wątpienia takie uczucia mogą się u nas budzić. Ja także po kilku miesiącach pracy popadłem w taki zastój wewnętrzny. Zacząłem bez przekonania, mechanicznie wypełniać moje obowiązki, zacząłem — jakby to powiedzieć? — godzić się z życiem. Z tego stanu wyrwał mnie mój zwierzchnik jednym małym pytaniem. Pamiętam, staliśmy koło jego biurka, na którym leżały, obok rysunków montażowych, zeszyty różnych czasopism technicznych. Mechanik, wskazując na jakiś artykuł, zapytał: — „Czytaliście to? Ciekawe, prawda?" Artykuł był z zakresu budownictwa żelbetowego, nie czytałem go, nie przeglądałem w ogóle tego numeru. Poczułem się głęboko zawstydzony. Mój zwierzchnik, który doszedł do swej wiedzy drogą praktyki i samokształcenia, znajduje czas na czytanie artykułu spoza swej specjalności, a ja — inżynier — od miesięcy nie miałem w ręku fachowej książki. Tak, to pytanie było pierwszym wyłomem w skorupie, jaka zaczęła na mnie narastać. Potem przyszła egzekutywa na temat racjonalizacji, o czym już mówiłem — no, co? rozruszali mnie jakoś. Ci z nas, którzy w pełni wżyli się w swoją rolę, nigdy nie powiedzą, że zrezygnowali ze swych aspiracji. Świadoma, twórcza praca w kolektywie fabrycznym daje nam całkowite zadowolenie. Przemysł cierpi na brak fachowców, brak inteligencji technicznej. W naszych oczach rodzi się nowa inteligencja, jeśli tedy nie wykorzystamy jej, jeśli dopuścimy do jej załamywania się, popełnimy błąd zasadniczy. Sądzę, że zakłady pracy, które zgłaszają zapotrzebowania na absolwentów różnych stopni i specjalności, powinny traktować te sprawy w sposób bardziej przemyślany, a przede wszystkim bardziej bezpośredni, powiedziałbym — serdeczny. Przyjście absolwenta do zakładu to nie tyle sprawa etatu, stanowiska, ile sprawa człowieka. Niech zakłady pracy zrezygnują czasem z najwyższych możliwych — ale doraźnych — korzyści, jakie im może absolwent przynieść, niech raczej dążą do jego stopniowego wciągnięcia, wychowania. Jeśli będziemy wiedzieli o takim nastawieniu, wtedy u nas zniknie owa niechęć do wyjazdu, od której zaczęliśmy rozmowę.

Było już późno, na biurku inżyniera Dacewicza widziałem rozłożone papiery. Zanim zacząłem się żegnać, zapytałem, nad czym pracuje.

— Za dwa dni na egzekutywie składam znowu sprawozdanie z działalności Klubu Racjonalizacji.

— O ile dobrze was, inżynierze, zozumiałem — sprawozdanie będzie tym razem obszerne i ciekawe.

— Naturalnie — ożywił się. — Tym razem będzie już można czymś się pochwalić. I cieszę się, że sprawozdanie to złożę właśnie na egzekutywie, że kierownicy partyjni będą mnie wypytywać o szczegóły naszego ruchu racjonalizatorskiego — tu zganią, tam poradzą czy naprowadzą na właściwe tory. Wiecie, ten kontakt z Partią, ta świadomość, że Partia czuwa nad wszystkim, dodaje mi dużo pewności siebie. Wydaje mi się, że w wielu wypadkach tych zgrzytów, towarzyszących wchodzeniu młodych w nowe środowisko, można by uniknąć przez podniesienie uświadomienia ideologicznego obu stron. Poziom polityczny jest wszędzie poważnym czynnikiem.

Żegnając się z inżynierem Dacewiczem, zadałem mu jeszcze jedno pytanie:

— Czy w tym roku przychodzi do was jakiś absolwent?

— Tak, technik-mechanik. Nie bójcie się, nie zrobimy z niego laboranta ani zaopatrzeniowca. Będzie pomocnikiem głównego mechanika z tym, żeby w niedalekiej przyszłości mógł zostać kierownikiem warsztatu. I zaopiekujemy się nim na pewno, to już będzie moją osobistą ambicją

Mirosław Kowalewski

LUDWIK FLASZEN

NIEWYZYSKANA SZANSA

Jeszcze jedna powieść o tematyce „produkcyjnej"*). Ten cudzysłów nie jest tutaj graficznym ozdobnikiem: nie ma literatury produkcyjnej, bo — powtórzmy ten komunał — nie ma literatury bez człowieka. „Załoga Elżbiety" nie traktuje o tym, jak trzeba a jak nie należy fedrować, strzelać, wiertać, stemplować... nie technologia górnictwa stanowi jej temat właściwy, choć się tu fedruje, strzela, wierta, stempluje, i w ogóle wykonuje wszelkie fachowe czynności. I choć wysiłki ludzi działających skierowane są na wzmożenie wydobycia węgla.

Jest w „Załodze Elżbiety" dyrektor kopalni. Pożera go ambicja przodowania. Swoją sportową pasję umie narzucić całemu górniczemu kolektywowi. Zaczyna się szalone tempo prac. Kopalnia „Elżbieta" grubo przekracza plan — staje się kopalnią przodującą. Rezultat? Gwałtowny spadek produkcji w ciągu dwu lat następnych, jako skutek gospodarki rabunkowej. Dopiero po dwu latach nowe, rozumne kierownictwo w oparciu o na nowo spojony kolektyw zdołało opanować katastrofalną sytuację. Tak postawiony został w książce problem produkcji: nie proces technologiczny stoi w centrum autorskiej uwagi, lecz najszerzej pojęta organizacja pracy. Organizacja — to coś co zależy od człowieka, a nie tylko od funkcjonowania maszyn. Namiętność, ślepa na głos rozsądku, kierowała dyrektorem Kazimierczakiem, i mimo entuzjazmu i tempa pracy, stanowiącego pozory współzawodnictwa, kopalnia doprowadzona została do ruiny. Dyrektor Małecki obok namiętności wniósł przede wszystkim czujną, przewidującą myśl — i wyprowadził kopalnię z upadku, stwarzając poderwaną przez poprzednika bazę stałych, a nie przelotnych, efemerycznych sukcesów. Oto humanistyczna szansa tematu „produkcyjnego".

Ale typ psychologiczny człowieka — to przede wszystkim stopień i charakter jego świadomości politycznej. I tu otwiera się druga szansa tematu „produkcyjnego": polityka. Punkt wyjścia, obrany przez Kowalewskiego, potęguje potencjalną siłę tej szansy. Bo pomyślmy: po wieloletniej tułaczce po kopalniach Europy Zachodniej wracają górnicy do kraju. Powrót ten jest czymś więcej niż zwykłym powrotem na ziemię ojczystą: jest skokiem w inną formację historyczną. W przeciągu kilku dni odbyli górnicy podróż z kapitalizmu w socjalizm. Ci, którzy się na nią zdecydowali, jadą ze świadomością, że są gospodarzami odzyskanej ojczyzny. I tutaj zaczyna się problem: jaki sens posiada słowo „gospodarz"?

„Górnik ma mieć lepsze życie. Spokojniejsze życie. Nikt nie ma prawa go gnać. Swoje niech robi i koniec. Bez gorączki. Robotnicze państwo. Robotnicze, to znaczy takie, żeby robotnik mógł lżej żyć. Żeby go nikt nie poganiał, nie krzyczał mu nad karkiem: prędzej! więcej." (str. 83). „Tam (we Francji — przyp. mój, L. F.) walczyli z kapitalistą czy hitlerowcem. A tu ciągle im mówicie, że są gospodarzami. To jak prawdziwi gospodarze idą w niedzielę na słówko pogwarzyć i wylegiwać się (nie reagując na apel kierownictwa, które ze względu na zagrożenie planu wzywa do dobrowolnej pracy w niedzielę — przyp. mój, L. F.)" (str. 55) — oto, jak niektórzy pojmują swą rolę gospodarza w proletariackim państwie. Spokojnie, lekko żyć. Nie rozumieją, że aby spokojnie, lekko żyć, trzeba stworzyć własną pracą podwaliny dostatniego bytu. Że państwo ludowe nie może im dać wcześniej, zanim oni sami nie zbudują jego potęgi. Że rewolucji nie można przerwać w pół drogi, gdyż zatrzymanie się w miejscu byłoby równoznaczne z samounicestwieniem. Rozumują tak: jeśli jestem gospodarzem, znaczy to, że mogę brać ze spichrza, ile mi się podoba. Nie pojmują, że być gospodarzem — to także spełniać *obowiązki gospodarza*. Do rewolucji mają stosunek czysto *konsumcyjny*.

„Rewolucji nikt za nas nie zrobi. Że jest chwilowo ciężko, to nic, będzie lepiej. Wszystkiego od razu zrobić nie można..." (str. 83). „Ja i inni nie na zarobek przyjechaliśmy. Myślisz, że tu spokój, że wszystko gotowe? Inni zrobili za nas... Sam widzisz, jak jest. Pracujesz, nie tylko dla siebie, ale i dla swoich dzieci, żeby miały gdzie mieszkać, gdzie się uczyć..." (84). Oto, jak pojmują rolę gospodarza inni — uświadomieni komuniści. Rozumieją, że być gospodarzem znaczy to nie tylko zbierać, ale najpierw — siać. Że w trudnych czasach przełomu trzeba się umieć zdobyć na rozumne wyrzeczenie. Kiedy trzeba — nie tylko żądać, ale i dawać z siebie. Do rewolucji mają stosunek *heroiczny*.

„Konsumcjonizm" czy heroizm — w tej alternatywie zawiera się najistotniejszy problem naszego etapu walki o socjalistyczną przebudowę kraju. Wkroczyliśmy w okres trudności, związanych z jej przyśpieszeniem. Życie codzienne stało się bardziej wytężone, trudniejsze. Trzeba niejeden wysiłek poświęcić dla przyszłości. Zrzec się niejednokrotnie zdobyczy aktualnych na rzecz tych, które — wspaniałe i piękne — istnieją dopiero w perspektywie czasów, które nadejdą. Trzeba zaapelować do heroizmu ludzi. I dlatego szczególnie na czasie jest książka ucząca zrozumienia trudności wzrostu, argumentująca za postawą heroicznego wyrzeczenia.

„Załoga Elżbiety" usiłuje wykazać, że postawa „konsumcyjna" nie tylko sama w sobie nie sprzyja budowie socjalizmu, ale staje się tym punktem, którego kurczowo czepia się wróg, aby przeciągnąć ludzi na swoją stronę.

Andrzejczak był we Francji dobrym górnikiem, wiernym towarzyszem walk z kapitalizmem i faszystowskim okupantem. Po powrocie do kraju dostał się w złe towarzystwo. Uległ pokusie łatwego zarobku i łatwego życia. Został członkiem bandy szabrowników. Później zrozumiał swój błąd, odezwała się w nim przywalona balastem psychologii lumpenburżuazyjnej duma klasowa proletariusza. Powrócił do pracy w górnictwie, został przodownikiem. I kiedy jego dawni „kumple", którzy tymczasem zmienili fach z szabrowników na sabotażystów, usiłują go skłonić do sabotażu — zanim zastosują szantaż, będą go mamić złudą lekkiego zarobku i jakąś lumpenburżuazyjną odmianą filozofii hedonistycznej.

Ale nie udaje im się skaptować Andrzejczaka po raz drugi. W Andrzejczaku silna jest już solidarność ze sprawą i towarzyszami wspólnej walki. Solidarności tej nie zachwieje jego marzenie o jak najszybszym dorobieniu się własnego domku z ogródkiem. Nie tylko zrzeknie się mirażu szybkiego bogactwa, ale nawet narazi się na ciągłe niebezpieczeństwo śmierci zza węgła. Zwyciężyła w nim postawa heroiczna, klasowa postawa proletariusza.

Partie poświęcone perypetiom Andrzejczaka należą do najlepszych w powieści. Bo zresztą nowa książka Kowalewskiego jest kopalnią niewyzyskanych szans. Szanse — to i tak wiele. Nie wszystkie utwory z podobnego gatunku potrafiły się na nie zdobyć. „Załoga Elżbiety" posiada niewątpliwie konflikty — i to są jej szanse. Ale w całości jest jakby brulionem powieści, skreślonym ręką pośpieszną i niecierpliwą. I dlatego jej szanse pozostają niestety niewyzyskane. „Załoga Elżbiety" nosi na sobie niejeden grzech, zbliżony do grzechów jej literackich poprzedniczek.

Powiedzieliśmy: „produkcja" jest w powieści ustawiona tak, że otwiera perspektywę na psychologię bohaterów. Cóż z tego, kiedy orientacja pisarska i tu zwrócona jest nie tyle na ludzi, ile na problemy. Tok myślenia twórczego zdaje się — zamiast obustronnie — przebiegać tylko jednokierunkowo: od problemów do ludzi. Aha, mam problem awansu społecznego: muszę doń wykoncypować postać. Aha, mam sprawę roli organizacji zetempowskiej: muszę doń wykoncypować postać. Aha, mam zagadnienie odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego: muszę doń wykoncypować postać. Toteż bohaterowie mnożą się w powieści jak grzyby po deszczu. W niewielkiej, 188 stron liczącej książce jest ich bez mała trzydziestu. I o każdym trzeba powiedzieć jak wygląda, skąd się wziął, co robi, podać jego życiorys. Charakterystyki zewnętrzne wyglądają więc z reguły, jak następuje: „jasny blondyn o wąskich, błękitnych oczach, zaciętych ustach i szczupłej pociągłej twarzy" (str. 7), „młody, ryży blondyn o niegolonym od paru dni zaroście i przekrwionych oczach" (str. 29), wysoki, piegowaty człowiek o rudawej czuprynie" (str. 71). A wiadomości o bohaterze? Wiadomości o bohaterze wkłada się w jego własne usta lub w usta jego partnerów powieściowych, i w ten sposób uzyskuje się walor koniecznej zwięzłości oraz... unika ryzyka artystycznego. „Poczekajcie, koledzy, ja wam się w ogóle nie przedstawiłem. Moje nazwisko Małecki. Górnik. Pracowałem tak jak wy jako ładowacz, a później rębacz w Dąbrowie, na „Minerwie". Za okupacji byłem dalej na kopalni. Mieliśmy organizację. Rozbili ją. Poszedłem do obozu. Po wojnie Partia wysłała mnie na kursy. Zostałem technikiem. Uczyłem się dalej. Teraz Partia wyznaczyła mi tu zadanie. Wielkie zadanie. Towarzysze, musicie mi pomóc. Mamy uzdrowić kopalnię" (str. 116—117). Zamknijmy oczy na nieprawdopodobieństwo psychologiczne: któż się w ten sposób prezentuje? Prezentacja skierowana jest nie do współbohaterów, lecz do czytelników. I tak ciągle: postaci Kowalewskiego składają się niemal wyłącznie z życiorysów streszczonych jak ten zacytowany. Zbędne wydaje się dodawanie truizmu, że powoduje to papierowość postaci. Z wyjątkiem niektórych, jak Andrzejczak, jak inne w pewnych konkretnych sytuacjach i starciach psychologicznych, nadających im na mgnienie barwę zbliżoną do tzw. rumieńców życia.

Dalej — deklaratywność. W powieści za wiele się *mówi*, a zbyt mało ukazuje *rzeczywistych przebiegów*. Najpierw mówi się o tym, co zrobić należy, później o tym, co już dokonano. Sam fakt zostaje jak gdyby wyczerpany w zapowiedzi i podsumowaniu rezultatów. Samo jego *stawanie* się albo zajmuje w „Załodze Elżbiety" niewiele miejsca, albo też jest nieobecne. Tu i ówdzie — jak w owym szczęśliwym, choć nie bezbłędnym przypadku Andrzejczaka, działanie skrapla się na oczach czytelnika w zwięzłej scenie psychologicznej.

Rozgadanie to dotyczy nie tylko przedstawienia faktów i postaci powieściowych. Na kartach „Załogi" pada wiele truizmów o socjalizmie, lepszym jutrze, wrogu klasowym, czujności, klasie robotniczej... Truizm tym się charakteryzuje, że jest prawdą tak powszechnie znaną i obiegową, iż wypowiadanie jej staje się mniej lub bardziej irytującym nudziarstwem. Irytującym w dwójnasób, kiedy towarzyszy mu wzniosły, patetyczny ton.

„...Jak już zrozumiałem, że nie dam rady, że samemu pewnie nie uda mi się naprawić własnych błędów, wtedy, rozumiesz, wróciłem do tej książki (Historia WKP(b) — przyp. mój L. F.). Musiałem ją czytać. Tu wszystko jasne. Tyle było potknięć, tyle ludzi błądziło, a nasza Partia szła zawsze naprzód, zawsze zwycięsko! — Oczy błysnęły mu ze wzruszenia. Po chwili dorzucił: — Mądra książka. Wiesz, André... uczy człowieka nadziei. Błądziłem... ale Partia, Partia zawsze idzie naprzód". Słowa te wypowiada stary komunista Przybysz, który popełnił błędy. Winniśmy wierzyć jego samokrytyce, jego wzruszeniu. Ale czy prawdziwe wzruszenie wypowiada się w tak obfitych, ozdobnych i patetycznych słowach?

I cóż jeszcze? Słowa, słowa, słowa... W „Załodze Elżbiety" za wiele się mówi. Cała rzeczywistość przedstawia się jak gdyby w szkicu, który dopiero miał się stać pełnym obrazem. Szkic charakteryzuje się także tym, że jest ascetyczny. Powieść Kowalewskiego cechuje coś w rodzaju ascezy wyobraźni. Nie ma w niej barw, kształtów, tylko same zarysy przedstawianych zjawisk. Toteż jest to proza bez mocnego, epickiego miąższu. Przypuszczamy, dlaczego. Znamy Kowalewskiego także z toku opowiadań „Odzyskany świat", które świadczą o dość czułej, wrażliwej wyobraźni pisarskiej. Asceza zdaje się wynikać z nieskończonej jeszcze fazy przetrawiania i uczenia się nowych realiów, które z trudem stają się dopiero własnością wyobraźni pisarza. Także więc i dlatego „Załoga Elżbiety" jest książką, w której ambitny zamysł nie przeistoczył się w pełny sukces artystyczny.

Ludwik Flaszen

*) St. Kowalewski: Załoga Elżbiety. „Książka i Wiedza", 1951, str. 189.

KRYSTYNA BRZEZIŃSKA

HURRA OPTYMIZM, CZYLI WIEŚ W OCZACH PRZEJEZDNEGO

Bolesław Karpiński: Droga do światła. KiW 1952, str. 132 + 4 nlb. **Joanna Żwirska „Światło"**, Czytelnik, 1951, red. St. Wilczkowa.

W niewielkim odstępie czasu pojawiły się w księgarniach dwie książki o podobnej szacie zewnętrznej, podobnych tytułach, podobnej treści. Mam tu na myśli Joanny Żwirskiej — „Światło" i Bolesława Karpińskiego — „Droga do światła".

Autorzy tych książek pokusili się o odtworzenie życia wsi, wybierając do tego odmienne środki: Żwirska — formę opowiadań, Karpiński — opowieści o charakterze młodzieżowym. Obydwie książki zostały napisane w związku z akcją walki z analfabetyzmem, ale o ile Karpiński osnuł całą akcję wokół kursu początkowego nauczania, o tyle dla Żwirskiej sprawa ta staje się tematem pierwszego opowiadania, rozpoczynającego cykl innych. Jak wywiązali się ze swych zadań?

To, co przede wszystkim uderza czytelnika po skończeniu lektury to fakt, że autorzy prawdopodobnie w krótkim bardzo czasie mieli możność obserwacji życia wiejskiego. Powierzchowny stosunek do opisywanych zagadnień jest bowiem głównym niedociągnięciem obu utworów. Kiedy przy bliższej analizie ujawniają się inne braki — są one wynikiem tego najważniejszego.

Weźmy najpierw opowieść Karpińskiego, książkę bardziej zwartą i z tych dwu bezsprzecznie lepszą.

Autor zapragnął ukazać życie wiejskie od strony młodzieży i jej walki o lepszą przyszłość przeciętnej, zacofanej wsi. Pomysł sam nie był zły i nie oznaczał wcale ograniczenia obrazu (robili tak przecież z powodzeniem Katajew czy Gajdar). Karpiński jednak zbyt uprościł sobie zadanie.

Jedyną siłą działającą w Parzeniu (nazwa opisywanej wsi) okazuje się organizacja ZMP-owska. Organizacja, która początkowo nie umiała poradzić sobie z najprostszymi akcjami, jak np. urządzenie zabawy, a która następnie pod jedynym i wyłącznym wpływem kilkudniowej agitacji przez człowieka właściwie nie związanego ze wsią i przebywającego tam tylko chwilowo, staje się nagle i niespodziewanie motorem wszelkich odbywających się przemian. Młodzi zdobywają świetlicę, organizują kurs dla analfabetów, rozwiewają wszelkie wątpliwości starszych chłopów powstałe pod wpływem jakiejś dziwnie naiwnej propagandy kułackiej i księżowskiej, pomagają małorolnym w żniwach, czym jakoś zbyt łatwo i prędko podcinają wpływy kułaków, wychowują biurokratycznego sołtysa. Trudności autor nie ukazał. Są wprawdzie kułackie zagony „napierające na stłoczone wokół nich ubożuchne działki" chłopskie, wprawdzie jest ksiądz, straszący „hufcami anielskimi", tj. trzecią wojną, ale z książki nie wynika, aby to było groźne. Dlatego też prawdopodobnie ukazanie działalności Partii wydało się Karpińskiemu zbyteczne.

Wieś opisywana przez Żwirską — osobna recenzja o jej „świetle" była już publikowana w „Nowej Kulturze" — jest zupełnie nadzwyczajną wsią. Czego tam nie ma: i spółdzielnia produkcyjna, i niezmiernie aktywne koło ZMP, drużyna harcerska, Koło Gospodyń Wiejskich, szkoła rolnicza, szkoła podstawowa, przedszkole, kobiety mają jechać z wycieczką do Związku Radzieckiego; zostaje przeprowadzona elektryfikacja, chłopskie dzieci pracujące w mieście są wszystkie przodownikami pracy, sołtysem jest kobieta, za kontraktację trzody chlewnej wieś dostaje radioodbiornik, cechą wszystkich jest niezwykły zapał i ofiarność w pracy, jednym słowem Żwirska przedstawia, jako obecnie istniejącą, wieś na etapie komunizmu, z tym zastrzeżeniem, że działalności Partii, jak i w poprzedniej książce, nie ma.

Wszystko to w konsekwencji doprowadziło do lukrowania rzeczywistości w omawianych utworach, do pominięcia prawdziwych konfliktów wsi.

Ponadto obydwie książki cechuje niedowład artystyczny. Postaciom brak zindywidualizowania — są uproszczone, schematyczne, blade, nie mają prawie wcale życia wewnętrznego, a bardzo słabe osobiste. Uderza również (zwłaszcza u Żwirskiej) nieprawdopodobieństwo wielu sytuacji, „rozgadanie", brak znajomości realiów (Karpiński rozpoczyna naukę analfabetów systemem zarzuconym 50 lat temu — mianowicie od uczenia alfabetu, a nie prostych wyrazów, nieporadność obrazowania.

Na konto zalet opowieści Karpińskiego można natomiast zapisać żywy styl (przyjemny jest np. rodzaj „konferansierki", jaką autor prowadzi wobec czytelnika), zajmujące opisy (zwłaszcza w pierwszych partiach książki), widoczne przejęcie się tematem. Tak, że po pewnych koniecznych przeróbkach mogłaby się ona stać potrzebną i przyjemną lekturą dla młodzieży.

Krystyna Brzezińska

DYSKUSJA O NAJMŁODSZEJ POEZJI

Dopływ nowych kadr do literatury stanowi jedno z kluczowych zadań Związku Literatów, którego wykonaniu służyć ma szeroko rozbudowany i otoczony troskliwą opieką system Kół Młodych Pisarzy. Toteż szczególną wagę miało ostatnie posiedzenie Sekcji Poezji warszawskiego oddziału ZLP (odbyte w dniu 21 maja b. r.), poświęcone twórczości poetyckiej członków stołecznego Koła Młodych. O dużym zainteresowaniu dla rozwoju i postępów poetyckich młodych twórców i o docenianiu wagi tego zebrania świadczyła szczelnie przez pisarzy warszawskich — od najmłodszych do najstarszych — wypełniona sala konferencyjna.

Na wstępie wieczoru kilku młodych poetów odczytało swoje utwory. Zaprezentowali je kolejno: *Jan Bester* („Chwalę radosne prawo", „Sztywniak", „Epidemia"), *Witold Dąbrowski* (wiersz bez tytułu „Rocznik 50", „Reflektory"), *Mieczysław Dziaczek* („Wiśle", „Poranek w PGR", „Mona Lisa"), *Jan Grzybowski* („Z okna autobusu", „Burza", „Myślę o wiośnie"), *Andrzej Jasiński* (wiersz bez tytułu, „Sosna", „Pierwszy Budowniczy Warszawy") i *Jerzy Skokowski* („O mojej poezji", „Idąc Nowym Światem" i fragment poematu „Canzona Ver Libertad").

Dyskusję nad najmłodszą poezją warszawską zagaił *Jan Śpiewak*. Mówca podkreślił doskonałe warunki startu, jakie młodym twórcom zapewnił system Kół Młodych, następnie zaś przeszedł do scharakteryzowania startującej generacji poetyckiej, młodszej od pokolenia Różewicza, Brauna czy Bratnego, które — dość już dojrzałe w okresie okupacji — musiało jednak przezwyciężyć balast ideologii burżuazyjnej. Nad tymi najmłodszymi pisarzami, którzy zadebiutowali już po zasadniczych dyskusjach w sprawie dróg nowej poezji ,troskliwą opiekę roztacza Związek Literatów, opiekunem ich jest znakomity pisarz Igor Newerly. Ta opieka nad młodymi twórcami zapewniła zwiększony dopływ młodych debiutantów również spoza inteligenckiego kręgu społecznego; moment ten podkreślił prelegent z dużym naciskiem.

Przystępując do charakterystyki samej twórczości poetyckiej członków warszawskiego Koła Młodych prelegent stwierdził, że przebija z niej pozytywny stosunek młodych poetów do rzeczywistości, ich optymistyczna wobec niej postawa, która ustrzegła ich od wielu błędów, od ulegania kosmopolitycznemu nowinkarstwu. Mówca podkreślił nawiązanie do tradycji narodowych w poezji młodych oraz dążenie do jasności i klarowności wypowiedzi, do doskonalenia przez nich małych form lirycznych o charakterze społecznym.

Zasygnalizował również braki najmłodszej poezji i główne trudności, jakie musi ona przezwyciężyć. Przestrzegł on przed niebezpieczeństwem zwężonego kręgu tematyki (tematy „literackie": echa lektury, studiów— i wiersze opisowe, krajobrazowe przeważały wśród utworów odczytanych na wstępie dyskusji), wytknął również młodym poetom unikanie ostrzejszych konfliktów, niepokojącą dążność do okrągłego zdania, półgłosu, unikanie wszelkiej ostrości i niedowład obserwacji. „Przecież właśnie młodsi — stwierdził — powinni bardziej ostro patrzeć, widzieć, że nie żyjemy w środowisku bezklasowym". Niepokoi u młodych za mało aktywny stosunek do rzeczywistości, za mała ilość wierszy atakujących, oraz niezrozumiałe — zważywszy na robotniczo-chłopskie pochodzenie wielu młodych pisarzy — uciekanie się do stylizacji lub nawet zatrącanie o konwencje mieszczańskie przy podejmowaniu tematyki wiejskiej lub robotniczej.

Przestrzegając młodszych kolegów przed zarzutem stylizatorstwa i analizując sprawę nawiązywania do tradycji narodowych, wokół której gromadzi się wiele nieporozumień, mówca zakończył: „Nawiązywać do tradycji można tylko i wyłącznie z pozycji dnia dzisiejszego, to znaczy w oparciu o swój światopogląd, o doświadczenia dnia dzisiejszego, o słownictwo, o realia. Jeżeli natomiast, jak to niekiedy bywa — poeta stawia się w pozycji pisarza zeszłej epoki — wtedy powstają zaledwie stylizacje".

W dyskusji pierwszy zabrał głos *Henryk Gaworski*, deklarując na wstępie krytyczny — i samokrytyczny — charakter swej wypowiedzi jako wypowiedzi poety wyrosłego właśnie z Koła Młodych i zachowującego z nim żywy kontakt.

Gaworski ostrzegł młodych poetów przede wszystkim przed ubóstwem tematycznym i ubóstwem języka, widocznym w ich twórczości, zwłaszcza w częstej ostatnio tematyce miłosnej i w poezji na tematy wiążące się z zagadnieniami walki o Plan 6-letni. W poezji młodych razi mówcę traktowanie tego tematu po linii najmniejszego oporu, przy pomocy sloganów, w najuboższy sposób. Od tradycji radził uczyć się nie tylko rzemiosła, ale także śmiałości patrzenia na zagadnienia, odważnego poruszania problemów, które są obok nas, a które nie znalazły oświetlenia, nie zostały zamknięte w formę poetycką.

Za największą bolączkę młodej poezji mówca uważa zbyt małe zróżnicowanie w sposobie wysławiania się poszczególnych poetów, ich zbieżność nie tylko tematyczną, ale także i formalną. Przyczynę tego braku wyraźnie zarysowanych indywidualności poetyckich widzi mówca w niedostatecznej wciąż pracy nad wierszem, niedostatecznej selekcji utworów.

Wielką troską o rozwój młodych poetów nacechowane były trzy następne wypowiedzi dyskusyjne: Jerzego Putramenta, Mieczysława Jastruna i Leona Pasternaka.

Jerzy Putrament podniósł na wstępie swej wypowiedzi ważkość wieczoru poświęconego twórczości młodych poetów na tle prowadzonej przez ZLP akcji planowego dopływu kadr literackich, której rezultatem jest włączenie do czynnego życia literackiego Polski Ludowej grupy młodych, aktywnych i zdolnych krytyków krakowskich, trzech młodych poetów z Warszawy (Gaworski, Mandalian, Litwiniuk), wreszcie ciekawego poety z poznańskiego Koła Młodych, Bogusława Koguta. Koła Młodych, które pracują przy terenowych oddziałach ZLP, przyśpieszyły rozwój tych twórców.

Mówca mocno przestrzegł jednak przed wiążącym się z tą łatwością startu literackiego niebezpieczeństwem, które uwidacznia się najjaskrawiej przez zestawienie go ze startem literackim w warunkach kapitalistycznego rynku literackiego — tamten start był w pewnym sensie zjawiskiem dramatycznym, wymagał torowania sobie przebojem drogi na gęsto obsadzony „Parnas". Wymagało to wypchnięcia i poturbowania innego twórcy i było moralnie bardzo niebezpieczne lub wręcz szkodliwe — miało jednak także i pewne zalety: wymagało wchodzenia do literatury zaprzeczając w pewnej mierze wartościom w niej zastanym. Czyniły to zarówno poszczególne wybitne indywidualności poetyckie, jak też i mocniejsze grupki literackie, usiłując wnieść do literatury coś nowego, własnego i wspólnym wysiłkiem dokonać „włamania na Parnas."

Tego cennego elementu nie widzi Putrament w poezji członków Kół Młodych: „Na podstawie dzisiejszego wieczoru odniosłem wrażenie, że młodzi poeci wchodzą do literatury jakąś konformistyczną drogą. Nie ma u nich ambicji powiedzenia czegoś, czego nikt dotąd nie powiedział. Musi być jakieś kryterium startu — ciągnął mówca przypominając, że nawiązywanie do tradycji nie może mieć nigdy charakteru naśladownictwa, że obowiązuje przy tym twórczy, aktywny do niej stosunek. — Mało jest przeczytać dorobek literatury polskiej i światowej, mało jest nauczyć się wzorów, mało jest nawiązywać do tradycji i wyciągać z niej wszystkie słuszne wnioski — trzeba o d s i e b i e coś dać!"

Owo „ziarno własnego" dostrzegł mówca w wierszu Witolda Dąbrowskiego „Rocznik 50", ogłoszonym w ub. r. w „Nowej Kulturze", nie dostrzegł jednak wśród poetów z Koła Młodych ogólnej p o s t a w y twórczej, która mówiłaby o świadomości obowiązku wniesienia do literatury wkładu nowego i własnego. O dalszej drodze rozwojowej młodych poetów zadecydować powinna przede wszystkim walka z bezkształtnością, z epigońską poprawnością. „Niech te wiersze będą bardziej kanciaste nawet, ale własne" — radził Putrament.

Mówca przestrzegł też młodych poetów przed „zwodniczą gazetową chwałą". Kryteria stosowane przy kwalifikowaniu wierszy do druku bywają niekiedy obniżone (np. ze względu na ich aktualność) i bardzo niebezpiecznie jest traktować sam fakt druku jako cenzurkę poetyckich wartości. W ogóle postawa samozadowolenia poety świadczy zazwyczaj o zahamowaniu jego poetyckiego rozwoju.

Mieczysław Jastrun w pięknej wypowiedzi, która obok przemówienia Putramenta była głównym akcentem wieczoru, mówił o trudzie pracy poety. „Bez wielkiej pasji w poezji nic nie można zrobić" — brzmiała teza znakomitego pisarza. Nie musi to wcale objawiać się w wykrzyknikach lub innych przejawach tzw. żywiołowości; „chodzi po prostu o to — ciągnął Jastrun— że poecie musi na czymś bardzo zależeć, musi on coś bardzo kochać albo coś bardzo nienawidzić. Bez tego nie można być poetą".

Mówca apelował również do młodych poetów o aktywne nawiązanie do tradycji narodowych, które pozwoli im uniknąć stylizacji i epigonizmu, jeśli potrafią także bogate tradycje zróżnicować i wybrać z nich to, co tkwiło w nich najwartościowszego, najbardziej postępowego, a tym samym najbardziej przydatnego chwili dzisiejszej. Mówiąc wreszcie o problemie liryki osobistej poeta zaprotestował przeciwko przeciwstawianiu jej liryce społecznej. Nawet najbardziej „prywatne" wiersze wyrażają pogląd poety na życie, jego stosunek do życia. „Przecież na przykład liryka miłosna jest także społeczna, bo sprawa miłości jest zawsze sprawą między dwojgiem ludzi. Ale musi ona być tak opisana, aby miała głęboki sens, aby nie była sprawą tylko między Jankiem a Kasią, ale była sprawą między milionami Janków i Kaś".

Jastrun zakończył swe piękne przemówienie gorącym apelem o pasję i przeżycie w poezji, których konieczność potwierdzał swymi własnymi doświadczeniami i trudnościami twórczymi. „Wady naszych utworów, błędy, które popełniamy, płyną może nie tyle z niesprawności technicznej ile z wad naszego charakteru, stąd że nie umiemy wzbudzić w sobie żaru, że nie mamy dostatecznej pasji w tym co piszemy..."

Wysunięty w dyskusji mocny postulat uintensywnienia przeżyć poetyckich młodych twórców spotkał się z ważkim uzupełnieniem ze strony *Leona Pasternaka;* mówca dopominał się o nowe treści tematyczne i ideologiczne w ich twórczości, o ukazanie w poezji drogi młodego robotnika czy chłopa, który miał 12 lat w chwili narodzin Polski Ludowej i szlaku polskiej rewolucji kulturalnej, która dziś uczyniła go młodym pisarzem. „Gdzie w waszych wierszach zagadnienia waszego dzieciństwa, zagadnienie domu, ojca, walki, pierwszej przeżytej demonstracji 1-majowej, jakiegoś waszego widzenia świata?" — zapytywał, apelując o aktywny wyraz przeżyć światopoglądowych.

Po wypowiedziach starszych kolegów głos przejęli pisarze z Koła Młodych. Młody krytyk *Andrzej Drawicz* opowiedział o pracy krytyków z Koła z kolegami-poetami, za których błędy są oni w pewnym sensie współodpowiedzialni, oraz poddał analizie twórczość młodych poetów, głównie Witolda Dąbrowskiego dążącego szybko ku własnej postawie poetyckiej. Jan Bester podziękował w imieniu młodych pisarzy starszym kolegom za opiekę i troskę, której takim mocnym wyrazem była Sekcja poświęcona twórczości młodych. Troskliwość ta zobowiązuje młodych pisarzy do wzmożenia wysiłku twórczego. „Pragnę, aby wiersze, które napiszemy, coraz głębiej wyrażały poznanie życia, aby radość i gniew i wszystkie uczucia, które w nich wyrazimy, znajdowały swoje uwielokrotnione potwierdzenie w przeżyciach i wzruszeniach ludzi, dla których są one pisane. Chciałbym zapewnić Kolegów i Towarzyszy, że starania nas, najmłodszych, w rzemiośle literackim, będą szły po linii troskliwości o własne słowo, o własną twórczość!"

Mieczysław Dziaczek omówił swoje warsztatowe trudności, na które w podsumowaniu dyskusji odpowiedział St. R. Dobrowolski. Witold Dąbrowski uzasadnił, że wąski krąg tematyki jest w poezji młodych rezultatem braku wiedzy, do której zdobycia młodzi poeci winni przede wszystkim dążyć. Własny styl — stwierdził Dąbrowski — młodzi poeci zdolni są osiągnąć dopiero po opanowaniu poetyckiej puścizny przeszłości.

Ostatnią część dyskusji podsumował Stanisław R. Dobrowolski, przestrzegając przed lekceważącym stosunkiem niektórych młodych poetów do własnej twórczości. Mówca zakończył apelem do młodych poetów o wielkie uczucie i pasję, która podyktuje ich poezji właściwe i celne słowo.

Wacław Sadkowski (Rola)

JÓZEF RURAWSKI

TRZY KARTY HISTORII

W wyniku klęski, jaką poniosła Bułgaria w I Wojnie Światowej, nastąpiło silne zubożenie kraju, a co za tym idzie — bezrobocie, kryzysy, głód. Wśród mas pracujących, pozostających pod silnym wpływem i wrażeniem Wielkiej Rewolucji Październikowej, wzrastały nastroje rewolucyjne. W marcu 1920 r. do władzy doszło Bułgarskie Stronnictwo Ludowe z premierem Stambolijskim na czele. Niezdecydowany i chwiejny rząd Stambolijskiego, obawiając się coraz bardziej wzrastającego wpływu Komunistycznej Partii Bułgarii, prowadził politykę przeciwstawiania chłopstwa proletariatowi i prześladowania K. P. B. Przerażona wzrostem sił demokratycznych i kierowniczą rolą Partii Komunistycznej burżuazja bułgarska zaczęła przy poparciu obcego kapitału zmierzać ku faszyzmowi. W czerwcu 1923 r. dokonano w Bułgarii przewrotu faszystowskiego. Rząd Stambolijskiego został obalony, a sam premier zabity. Rozpoczęła się krwawa dyktatura faszystowska rządu Cankowa, wiernie służącego Borysowi III. W momencie przewrotu oportunistyczna część kierownictwa K.P.B., uznająca zamach za rozgrywkę między miejską i wiejską burżuazją, ogłosiła neutralność. Pomoc Kominternu pozwoliła jednak szybko przezwyciężyć fałszywe poglądy i należycie ocenić przewrót.

We wrześniu tegoż roku monarcho-faszystowski rząd Cankowa rozpoczął jawną walkę przeciw klasie robotniczej i Partii Komunistycznej. Ten brutalny atak był wynikiem proklamowania przez blok demokratyczny hasła frontu narodowego. Na wzmożoną falę terroru masy ludowe pod przewodnictwem K. P. B. odpowiedziały powstaniem. 23 września 1923 r. rozpoczęła się walka, która objęła cały prawie kraj. Na czele wojenno - rewolucyjnego Komitetu stanęli G. Dymitrow i W. Kolarow. Mimo jednak bohaterstwa walczących przeciw monarcho - faszystowskiemu uciskowi, powstanie zostało złamane. Rozpoczął się krwawy terror faszystowski.

Mimo niepowodzenia powstanie wywarło wielki wpływ na ideowy rozwój mas pracujących Bułgarii. Przyspieszyło proces kształtowania się świadomości klasowej proletariatu i chłopstwa, wzmocniło K.P.B., wpłynęło na jej szybszą bolszewizację. Na procesie lipskim G. Dymitrow mówił o powstaniu wrześniowym: „Jestem dumny z tego bohaterskiego powstania. Żałuję tylko, że wówczas ani ja nie byłem prawdziwym bolszewikiem, ani prawdziwie bolszewicką nie była moja partia... Dlatego też nie potrafiliśmy skutecznie zorganizować i przeprowadzić tego historycznego powstania ludowego z proletariatem na czele".

*

Powstanie wrześniowe znalazło szeroki oddźwięk w literaturze bułgarskiej. Wielu postępowych pisarzy, takich jak Krum Welkow, Sz. Stojanow, S. Daskałow i inni odzwierciedliło wydarzenia wrześniowe w swych utworach, analizując przyczyny i skutki powstania.

W r. 1933 ukazała się powieść Kruma Welkowa „Wieś Borowo" *). jest to jedna z najlepszych książek, ukazująca zapadłą wioskę Borowo w okresie bohaterskiego zrywu mas ludowych.

W małych stosunkowo rozmiarach książki potrafił Welkow ukazać zagęszczony, syntetyczny niemal obraz charakterów i postaci działających po obu stronach barykady.

Dzieje wsi Borowo, dzieje kapitalistycznego wyzysku ze strony bogatego szubrawca Naka — to synteza losów wszystkich wsi bułgarskich w okresie rządów Stambolijskiego i Cankowa. Welkow z wielką siłą ukazuje metody, jakimi kułak borowski Nako dochodzi do władzy i bogactwa. Szantaż, wyzysk, przekupstwo, ciemne interesy — oto środki prowadzące Naka do upragnionego celu.

Beznadziejna, zdawałoby się, sytuacja wsi uciskanej przez Naka ulega zmianie, gdy do Borowa wraca Maryn, siostrzeniec Naka, który kilka lat pracował w mieście. Maryn, członek K.P.B., po krótkim okresie załamania rozpoczyna ożywioną działalność agitacyjną i uświadamiającą, tworząc bojowe grupy chłopskie. Poprzez działalność Maryna ukazał Welkow kierowniczą rolę Partii, wychowującej takich wspaniałych ludzi jak stary inwalida Ignat czy młody bojownik Jordan.

W postaci starego nauczyciela wiejskiego Wasylewa pokazuje autor inteligencję wiejską, postępową i w gruncie rzeczy myślącą słusznymi kategoriami ideowymi, lecz zastraszoną i niepewną. Wasylewowi, który jednak w momencie powstania odnajdzie słuszną drogę, przeciwstawiony jest młody prawnik Wanek, przybrany syn bogacza Naka. Wanek, wychowany w atmosferze krętactw, fałszerstw i podłości, jest tchórzem, który dla osobistego celu nie waha się wydać Nakowi swego krewnego Maryna i całą grupę komunistów.

Jak na taśmie filmowej rozwijają się przed nami wydarzenia i wypadki. Wybuch powstania, walka, krótki okres władzy powstańców, którzy darowują życie krwiopijcy Nakowi i wreszcie klęska powstania. Ostatnia walka, w której ginie Maryn, usiłujący agitować żołnierzy rządowych, w której stary inwalida Ignat poświęca się dla ratowania towarzyszy.

Mimo klęski powstańców książka nie kończy się pesymistycznie. Na miejsce zabitego Maryna przyjeżdża komunista Zelar, który w nowych warunkach podejmuje pracę agitatora.

Zamknięcie tak wielu problemów w niewielkiej objętościowo książce wymagało od autora wielkich umiejętności pisarskich. Welkow jednak szczęśliwie pokonał te trudności. Jego postaci to nie tylko uogólnienia — symbole całych grup społecznych, ale i ludzie zindywidualizowani, żyjący osobistym życiem wewnętrznym, cieszący się, smucący, kochający i nienawidzący. Skrótowość książki zaważyła jednak na kompozycji. Autor więcej stosunkowo miejsca poświęca stronie opisowej, statycznej niż działaniu, dramatyzacji. Ażeby osiągnąć swój cel Welkow posługuje się także takimi chwytami kompozycyjnymi, jak np. listy bohaterów, które stanowią pośrednie ogniwa między ich działaniem lub przeżyciami, jakie ukazane są w książce bezpośrednio.

*

Okres od września 1923 r. do września 1934 r. — to historia bohaterskich walk mas pracujących Bułgarii z mniej lub bardziej jawnym terrorem faszystowskim. Zdelegalizowana w lecie 1926 r. KPB zaskarbiała sobie uznanie i sympatię tysięcy robotników i biednych chłopów. Polityka faszyzacji kraju w oparciu o hitlerowskie Niemcy napotkała na stanowczy opór mas ludowych. W niezwykle ciężkiej atmosferze kształtowała się świadomość tysięcy robotników i chłopów.

I ten okres dziejów narodu bułgarskiego znalazł swoje artystyczne odzwierciedlenie w literaturze. W r. 1945 powstała powieść Stojana Daskałowa — „Droga" **), nagrodzona przez Związek Pisarzy Bułgarskich. Jest to jedna z najlepszych i najwartościowszych powieści współczesnej literatury bułgarskiej. Stojan Daskałow, syn biednego chłopa, nauczyciel wiejski, prześladowany za swoje przekonania, dobrze zna wieś bułgarską, jej problemy i życie.

Bohaterem powieści jest młody, energiczny pomocnik kowalski Garczo. Głównym zagadnieniem powieści Daskałowa jest problem kształtowania się rewolucyjnej świadomości. W duchu tej świadomości wychowuje Garcza kowal baj Kamen, stary działacz społeczny, uczestnik powstania wrześniowego. W dalszym ciągu pracę nad uświadomieniem i wychowaniem Garcza prowadzi ludowy nauczyciel, komunista Hajdutow. Hajdutow, to już nie Wasylew ze „Wsi Borowo". Hajdutow to człowiek działający świadomie, nie cofający się mimo represji, nie dający się załamać groźbą, ani przekupić pochlebstwem. Pod jego kierunkiem Garczo stawia pierwsze kroki w trudnej konspiracyjnej pracy K.P.B.

Przy pomocy Partii i kolektywu przyjaciół Garczo staje się świadomym bojownikiem o wyzwolenie społeczne, jakże niepodobnym do zahukanego, nieśmiałego chłopca, jakiego poznajemy na początku powieści.

Jest dużą zasługą Daskałowa, że podstawowe założenia swej książki potrafił uwypuklić w d z i a ł a n i u bohaterów. W jego powieści bohater rządzi tezą, nie odwrotnie, i dlatego książka Daskałowa tak bardzo przemawia do czytelnika. Prawdziwość i ostrość konfliktów, ciekawa i emocjonująca fabuła sprawiają, iż czytelnikowi trudno jest oderwać się od książki przed jej ukończeniem. W powieści Daskałowa występuje cała galeria typów i postaci. Są tam i karierowicze, tacy jak sołtys wsi Peszko, są wyraźni wrogowie wolności i postępu, są wspaniali, bohaterscy ludzie jak stolarz wiejski Tunko czy robotnik-komunista Żelazko. Wszyscy oni pokazani są niezwykle żywo. Tak np jeden z głównych bohaterów baj Kamen to stary działacz społeczny, który jednak nie chce się zgodzić na ślub swej córki Peny z Garczem. W baj Kamenie widać wyraźnie walkę między starą, gospodarską moralnością a społecznymi i politycznymi jego poglądami. Daskałow umiejętnie pokazuje także rolę młodzieży w walce przeciw faszyzacji kraju. Widzimy, jak praca Hajdutowa daje rezultaty, jak kształtują się młode serca i umysły. Powieść ukazująca ciężkie i trudne dni narodu bułgarskiego kończy się, podobnie jak i powieść Welkowa, optymistycznie, zapowiadając nastanie dnia „wesołego i jasnego", dnia, który wywalczą sobie masy pracujące.

*

Ów długo oczekiwany dzień nastał wreszcie we wrześniu 1944 r. Bułgaria została wyzwolona przez Armię Radziecką. Rozpoczęło się nowe życie, w nowej ludowej republice. Zarysowały się nowe perspektywy rozwojowe.

Literatura bułgarska sięgnęła do innych tematów. Pisarze zaczęli ukazywać patos rodzącego się życia, sięgnęli do nowych konfliktów i przeżyć ludzkich.

Tematem trzech nowel, zawartych w książce S. Daskałowa „Bez miedzy" ***) jest proces przeobrażania się drobnego chłopstwa z prywatnych właścicieli w świadomych swego celu spółdzielców. Daskałow w sposób mistrzowski (zwłaszcza w opowiadaniu „Własna ziemia") potrafił ukazać przeżycia chłopa wahającego się, pełnego sprzecznych uczuć. Z jednej strony miłość i przywiązanie do własnej ziemi, do własnego gospodarstwa, miłość tak silna, że każe bohaterowi opowiadania wycofać swój udział ze spółdzielni, że stawia go w konflikcie z najbliższą rodziną. Z drugiej zaś chęć polepszenia gospodarki i miłość do rodzinnej wsi, która idzie już nowymi ścieżkami.

Losy Miti — zwolennika spółdzielni, później jej wroga, a wreszcie przeobrażonego, świadomego spółdzielcy — ukazał Daskałow w sposób niezwykle żywy i frapujący. Widzimy wyraźnie proces przeobrażania się psychiki Mita. Widzimy, jakie męki i wahania przeżywa, jak jest osamotniony, jak dostaje się pod wrogie ludowej Bułgarii wpływy, jak wreszcie przy pomocy Partii i przyjaciół zmienia się, odnajduje zagubioną drogę. Z wielką siłą artyzmu ukazane są losy powojennej wsi bułgarskiej.

Omówione powyżej książki, trzy ilustracje trzech kart historii wsi bułgarskiej, świadczą o drodze rozwojowej bułgarskiej literatury. Krum Welkow — wprowadził nowego bohatera, komunistę walczącego o wyzwolenie społeczne. Stojan Daskałow w „Drodze" pokazał, w jaki sposób kształtował się ten bohater, jakie przechodził życiowe uniwersytety, jak walczył o swoje prawa, jak pracował nad wychowaniem innych. I wreszcie w ostatniej książce ujrzeliśmy wyniki walki i pracy, ujrzeliśmy nowe, swobodne, pełne życie bułgarskiej wsi.

Trzy książki pokazują trzy wielkie etapy walki. Od nieudanego, bohaterskiego powstania, przez pełen gwałtów i walk okres faszyzacji, do nowej epoki, do nowej rzeczywistości. Wszystkie trzy książki, różniące się i tematyką, i metodami artystycznymi posiadają pewne cechy wspólne: głęboki patriotyzm ludowy, internacjonalizm i optymizm, wynikające z postawy ideowej autorów. Słuszna postawa ideologiczna i talent pisarzy sprawiają, że problemy które ukazują, widzimy nie od strony tez, ale poprzez człowieka, jego działanie i myśli.

Twórczość Welkowa i Daskałowa wykazuje wiele podobieństw do twórczości W. Wasilewskiej i Wł. Kowalskiego. Ta sama problematyka: ukazywanie procesu kształtowania się nowej świadomości wśród chłopstwa, walka z narastającą faszyzacją w ich krajach.

W twórczości pisarzy bułgarskich zachowany został urok specyficznych cech narodowych i odrębności bułgarskiej kultury ludowej, ukazując czytelnikowi żywą i barwną wieś bułgarską. Porównując ostatnią książkę Daskałowa z naszymi powieściami opartymi na analogicznych założeniach tematycznych (Koprowski, Marzec), musimy stwierdzić artystyczną wyższość książki Daskałowa. (Ciekawa fabuła, ostre konflikty, umiejętne unikanie deklaratywności).

Józef Rurawski

*) Krum Welkow — „Wieś Borowo". „Książka i Wiedza". Warszawa, 1951, tłum. Br. Cirlić i H. Kalita.

**) Stojan Daskałow — „Droga". „Czytelnik", Warszawa, 1951, tłum. Z. Kempf.

***) Stojan Daskałow „Bez miedzy" — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1951 tłum. Z. Kempf.

STEFANIA BEYLIN

Film, który podoba się publiczności

Film „Nędznicy" *) podoba się publiczności.

Wpływa na to w dużej mierze pasjonująca akcja, sensacja, łatwe wzruszenie w scenach, które nabrały barw nieco melodramatycznych. Ale po wyjściu z kina pozostaje nie tylko ślad łez wylanych przez czułe kobiety, i wspomnienia sensacyjnego wątku. Do widza, nawet tego, który chwytał z filmu efekty łatwiejsze i tańsze, dotarło coś z wielkości Wiktora Hugo.

Film wyświetlany w wersji sprzed 18 lat, mimo że nie odtwarza w pełni walorów książki, zachował jednak słowo i myśl wielkiego poety i humanisty, i wstrząsa głęboko realistycznym obrazem krzywdy ludzkiej.

Jest to niewątpliwie jedna z dróg prowadzących do zwrócenia uwagi na dzieło Wiktora Hugo.

Wiktor Hugo nie jest pisarzem w równej mierze filmowym jak Dickens, czy Gorki, o którym Sergiusz Eisenstein powiedział, że jego utwory „nacechowane są prawdziwie filmową dynamiką". Słowo odgrywa w jego utworach rolę dominującą. Wynalazczość języka, uroczysty patos prawd wygłaszanych przez pisarza, który na kartach powieści występuje jako kaznodzieją, poeta, publicysta, społecznik, historyk, polityk, epik, liryk — wszystkie te właściwości stylu Hugo, który przeplata dialogi długimi opisami — przyczyniają trudności przeniesienia powieści na ekran. Niemożliwością przy ówczesnej technice filmowej było odtworzenie długich rozważań natury filozoficznej, społecznej, topograficznych uwag o poszczególnych dzielnicach Paryża, ulicach, gmachach. Niesposób przenieść na ekran przewijających się wśród kart książki rozpraw natury publicystyczno - społeczno - historycznej. Mimo tych piętrzących się trudności, widz patrzący na film znajdzie w nim nie tylko sensację i łatwe wzruszenie. Pomiędzy scenami o silnym napięciu dramatycznym, wzruszającymi epizodami, słowa Hugo, że „galery tworzą galerników", że „niesprawiedliwość rodzi nienawiść" przemawiają do widza mocno i prosto.

Silne oddziaływanie emocjonalne filmu, bliskość i zrozumienie stworzonych sytuacji i bohaterów wypływa z realizmu Hugo, który nade wszystko był głęboko ludzki. Hugo-realista stał się bliższy widzowi, niż Hugo-romantyk. Ludzki stosunek do człowieka wzrusza czytelnika powieści i przejmuje do głębi widza kinowego. Scena w domu biskupa, jego dobroć, granicząca z świętością, wyrzuty sumienia z powodu okradzenia małego Sabaudczyka, epizod z lalką Kozety, Fantyna czekająca w szpitalu na córeczkę, smutna miłość Eponiny do Mariusza — wszystkie te epizody ukazane są od strony cierpiącego człowieka, są zrozumiałe, bliskie i wzruszające.

Harry Baur w roli Jean Valjeana w filmie „Nędznicy"

Gavroche z filmu „Nędznicy"

Wielkość twórczości Wiktora Hugo i siła jego śmiałego obrazowania pociągały realizatorów jeszcze w czasach, kiedy kinematografia stawiała dopiero swoje pierwsze kroki. Niezrażeni trudnościami przeniesienia na niemy ekran bogato operujących słowem powieści Hugo, sięgali jednak do ich tematyki.

Już w roku 1908 sfilmowano we Francji kilka jego utworów: „Król się bawi", „Katedra Notre Dame", „Rok 1793" i „Pracownicy morza". Tę ostatnią powieść zrealizował słynny teatrolog francuski Antoine. Dwukrotnie zrealizowano w Ameryce film według powieści „Katedra Notre Dame" — raz w wersji niemej z Lon Chaneyem w roli Quasimoda i drugi raz w wersji dźwiękowej, którą oglądaliśmy przed paroma laty na naszych ekranach p.t. „Dzwonnik z Notre Dame" z Charlesem Laughtonem w roli dzwonnika. Obie te wersje odbiegały daleko od pierwowzoru, kładąc główny nacisk na sensacyjność fabuły. Cierpienia ułomnego Quasimoda, przedstawione zostały z sadyzmem, a niektóre sceny przypominały jakieś niesamowite wyczyny cyrkowe.

Ze wszystkich utworów Wiktora Hugo najwięcej pociągała realizatorów powieść „Nędznicy" jako najbardziej nadająca się do sfilmowania. W okresie filmu niemego zrealizowano trzy wersje francuskie „Nędzników", trzy amerykańskie i jedną włoską.

Z licznych filmów dźwiękowych, związanych tematycznie z powieścią „Nędznicy", wyświetlany był na naszych ekranach film radziecki (realizacji Tatiany Łukaszewicz) p.t. „Urwis Gawroche". Bohaterem filmu jest romantyczny urwis paryskiej ulicy, który ginie na barykadach z piosenką na ustach.

W roku 1925 zrealizował „Nędzników" reżyser francuski Henri Fescourt. Film ten, który odtworzył wiernie klimat powieści, wpłynął na późniejszych realizatorów wersji dźwiękowej.

Film „Nędznicy", który oglądamy obecnie zrealizował Raymond Bernard w roku 1934. Trudne to zadanie przenieść na ekran powieść rozgrywającą się w trzech epokach, zawierającą tak wiele problemów.

Realizator ujął całość dzieła w dwie oddzielne serie. Pierwsza z nich, rozgrywająca się w roku 1815, rozpoczyna się historią Jean Valjean od chwili jego uwolnienia z galer zachowując rysunek psychologiczny postaci i ich charakterystykę wewnętrzną, pozostaje bardziej wierna powieści. Seria druga obfituje w liczne sceny melodramatyczne i uczucia maluje zbyt jaskrawymi barwami.

Reżyser R. Bernard, opowiadając o trudach swojej pracy sprzed 18 lat, przyznaje, że niektóre sceny wersji niemej z roku 1925 wydawały mu się tak mocne i wyraziste, że zachował je w wersji dźwiękowej. Bez zmiany pozostaje np. scena, kiedy mała Kozeta niosąc ciężkie wiadro z wodą, idzie sama lasem. I oto nagle czuje, że wiadro przestaje jej ciążyć i że czyjaś ręka, która wydaje jej się olbrzymia, unosi lekko w górę wiadro. Spostrzega ciemną wielką postać obok niej w mrokach nocy. Ta wyrazista scena — jak przyznają obaj realizatorzy — to przede wszystkim zasługa samego Wiktora Hugo, który stworzył tak niezwykle sugestywny obraz. A oto inna scena, również zapożyczona z wersji niemej i powtórzona w filmie dźwiękowym: uwolniony z galer Jean Valjean idzie długą drogą wysadzaną drzewami, których nagie gałęzie unoszą się ku niebu.

Sceny rewolucyjne na ulicach Paryża wymagały olbrzymiej pracy zmontowania całych dzielnic, domów, uliczek, podwórek. Realizator filmu, mimo że z wielką pieczołowitością odtwarzał obraz walk ulicznych, nie podołał jednak trudnemu zadaniu oddania niezrównanego realizmu, z jakim opisana jest w powieści walka na barykadach:

„...Współpraca bruku, głazów, belek, sztaby żelaznej, gałgana, zbitej szyby, połamanego krzesła, głąbu kapusty, szmaty, łachmanu i przekleństwa... było to wielkie i było to małe... masa koło atomu, kawał muru wydarty i miska stłuczona; groźne braterstwo tych wszystkich odpadków, wóz wywrócony dyszlem do nieba, omnibus na samym szczycie stosu z wyprężonym dyszlem... gwoździe z dachu, kawałki mansard z ich tapetami, ramy okienne ze wszystkimi szybami... szafy, stoły, ławki... tysiące drobiazgów ubogich, którymi nawet żebrak pogardza, które jednocześnie mieszczą w sobie wściekłość i nicość".

W tym opisie walk rewolucyjnych wziętym z powieści mieści się patos rzeczy wielkich i realizm rzeczy małych — pasja rewolucji i powszedniość nędzy. Film pokazał te sceny więcej od strony patosu, realizm szczegółów nie został wydobyty w całej pełni.

Bohaterowie „Nędzników" potraktowani są w filmie bardziej powierzchownie niż w powieści.

Konwencjonalność postaci umniejsza jednak gra aktorów, którzy prawie wszyscy stworzyli typy żywe, mocne, sugestywne. Harry Baur nędzny, groźny i bohaterski jako Jean Valjean, był wzruszająco żałosny w roli ogrodnika Champmathieu. Również i inne kreacje aktorskie stoją na wysokim poziomie.

Dużą rolę w filmie odgrywa piosenka. Przewija się ona przez cały film stanowiąc dramatyczną pointę wielu ważnych epizodów. Melodia i słowa starej kołysanki, którą nuci Fantyna przed śmiercią. Piosenka Gavrocha, który ginie nie dokończywszy ostatniej zwrotki. — Pieśni rewolucyjne „Marsylianka" i „Carmagniola" śpiewane na barykadach.

Ważny element filmu — to muzyka Honneggera, w której odnajdujemy ludowe motywy francuskie, przetworzone na sposób romantyczny i rewolucyjny.

O postępowym charakterze filmu świadczy fakt, że w czasie okupacji rząd Vichy, na rozkaz Niemców wyrzucił z filmu wszystkie epizody i sceny, które miały jakąkolwiek tendencję rewolucyjną.

Dzisiaj wyświetlają film ten w Związku Radzieckim, w Polsce i innych krajach Demokracji Ludowej, w całym postępowym świecie, gdzie z pietyzmem obchodzone jest 150-lecie narodzin wielkiego pisarza, który w swych utworach walczył o sprawiedliwość społeczną i szczęście człowieka.

Stefania Beylin

*) „Nędznicy", reż. Raymond Bernard, zdjęcia J. Drucer, muzyka Honnegger, produkcja „Pathe Cinema" 1934.

PIERWSZY ALARM

(Dokończenie ze str. 5-ej)

który pisze szorstką, ostrą prozą, bo brzydzi się wylizanej gładzizny powieści, bo brzydzi się fikcji literackiej z gatunku tej niekoniecznej, całkowicie zmyślonej a więc zawierającej niemałą dozę blagi. Kuśmierek jest młodym pisarzem, wszystko jest jeszcze przed nim, wszystko jeszcze do zrobienia. Toteż raczej należy w nim pochwalić i hodować — jeśli to możliwe — tę jego pasję odnajdującą w społecznych zjawiskach przede wszystkich człowieka. Być może niezupełnie szczęśliwie wybrał Kuśmierek konwencję noweli detektywistycznej umieszczając się w roli mimowolnego bohatera-detektywa. Z pewnością popełnił szereg błędów nawet ideologicznych, ale jego okrzyk: „Uwaga! człowiek" — brzmieć powinien długo i niezagłuszony.

Bo też papierowość, niemrawość bohaterów omawianych tu innych pozycji jest niepokojąca. Mało tego, że jako modele ilustrujące pewne zasady marksistowskie noszą oni tabliczki z wypisanym rodowodem i pochodzeniem społecznym, to jeszcze zachowują się i rozmawiają jak artykuły z gazet codziennych. Chłopi zamiast zajmować się swoimi sprawami zastępują niekiedy profesorów instytutu marksistowskiego i prowadzą ożywione dyskusje na temat walki klas.

Niechże sobie dyskutują o walce klas, ale poza tym niech będą ludźmi.

Doraźna ilustracyjna tendencyjność wielu tych powieści upodabnia je do nurtu tzw. literatury „dla ludu", uprawianej w końcu XIX wieku, m. in. na przykład przez Anczyca. Do literatury niezliczone dziełka tego rodzaju nie weszły. Wynikały przecież z koncepcji ubogiego duchem, niższego chłopa, do którego trzeba mówić jak do dziecka. Czas już najwyższy zerwać z podobną ludomanią. A najwięcej grzechów tego rodzaju ma na sumieniu Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, troskliwie opiekująca się powieściową grafomanią.

Wprowadzając postacie pozytywne autorzy powieści nie wyposażają ich w dostatecznie silne racje postępowania. Toteż zdarza się, że wróg działa z większym psychologicznym prawdopodobieństwem. Nie lubię książek o wsi — bo ludzie w nich są zawsze głupi. — Oto jeden z zasłyszanych zarzutów. Myślę, że nie chodzi tu o jakiś pseudo-intelektualizm. Tylko nieznajomość środowiska chłopskiego może prowadzić do tak uproszczonych, nieskomplikowanych sylwetek ludzkich, jakie przedstawiają nasi pisarze. Bohaterowie-chłopi są tylko sumą pewnych cech „typowych" co nie oznacza jeszcze, że są typowi, że są pełnymi postaciami ludzkimi.

Z drugiej strony pisarze nasi upraszczają wroga. Odbierają mu wszelkie racje ideologiczne. Kułak jest zawsze nawet subiektywnie — szubrawcem, łotrem, podpalaczem i pijakiem. Toteż kryminał jest dla niego ostatecznie najwłaściwszym miejscem i w zakończeniu napięcie walki zostaje rozładowane. Kułacy siedzą w więzieniu, spółdzielcy zaczynają nowe, szczęśliwe życie. Takie stawianie sprawy jest jaskrawym błędem politycznym, osłabiającym czujność, odwracającym sens walki klasowej przez sprowadzanie jej tylko do występków kryminalnych. Stąd tak często powtarzanie się chwytów noweli sensacyjno-kryminalnej.

Krytyka nasza ma na sumieniu wielki rejestr grzechów. Jednym z nich jest niedostrzeganie wielu pozycji prozy dotyczącej wsi, nie dość czujne reagowanie na błędy, co przyczynia się do ich pomnożenia, wreszcie nie dość odważne odsiewanie ziarna od plew.

Minimum wymagań poprawności językowej, usuwanie przykrego nalotu młodopolszczyźnianego czy też zagłuszonego podejrzaną gwarą, oczyszczanie stylu dialogów i opisów od wulgarności i naturalizmu — to przede wszystkim zadania redakcji wydawniczych a wreszcie krytyki.

Chciałabym, aby głos mój w sprawie literatury dotyczącej wsi, stał się pierwszym alarmem

Anna Kamieńska

U PRZYJACIÓŁ

Nowa powieść Erenburga

Niedawno czasopismo „Znamia" zakończyło druk powieści Ilii Erenburga „Dziewiąta fala". Powieść ta jest dalszym ciągiem „Burzy". Akcja jej toczy się w okresie po drugiej wojnie światowej. W „Prawdzie" z dnia 3 czerwca ukazała się recenzja z „Dziewiątej fali" pióra W. Nikołajewa, której fragmenty zamieszczamy:

„Dziewiąta fala" to książka wielkiej prawdy, z ogromną siłą oskarżająca podpalaczy świata i pokazująca nowych ludzi, walczących o lepszą przyszłość narodów...

Własny, specyficzny sposób pisania, umiejętność posługiwania się językiem doprowadzona do mistrzostwa ,szybko rozwijający się wątek, umiejętność budowania dialogu, a w szczególności wewnętrznego monologu bohaterów, wszystkie te charakterystyczne cechu talentu Ilii Erenburga ujawniły się w nowej jego powieści w pełnym blasku...

Gniewna ironia pisarza, smagająca katów i zabójców brzmi tutaj równie namiętnie jak w każdym jego artykule publicystycznym...

...„Dziewiąta fala" zalicza się do najlepszych pozycji ostatniego czasu, ukazujących walkę o pokój, którą prowadzą narody całego świata".

Klasycy i Boy

Kiedyś, sporo lat temu, omawiając akcje przyswajania obcych literatur w przekładach, Anatol France narzekał na „brak jakiegokolwiek systemu, inercję i przypadek" w doborze tłumaczonych pozycji. Było to, w zestawianiu z ówczesną polityką wydawnictw, słuszne i cokolwiek smutne stwierdzenie.

Inaczej sprawa ta wygląda dziś. W związku z sesją naukową, która miała miejsce w Moskwie 23-go maja b. r. staraniem Uniwersytetu Moskiewskiego i Związku Pisarzy Radzieckich a poświęconą twórczości Elizy Orzeszkowej, Marii Konopnickiej i Bolesława Prusa, stały się znane cyfry nakładów naszych klasyków w tłumaczeniach na języki narodów ZSRR. Cyfry te dla dzieł Prusa wynoszą — 297 tys. egzemplarzy, dla Konopnickiej — 300 tys. egz., dla Orzeszkowej — 353 tysiące. Liczby te naprawdę nabierają zupełnie nie matematycznej treści! Trudno przypisywać takie nakłady czemukolwiek poza planowym, nie mającym nic wspólnego z przypadkowością i nawykami, zorganizowanym wysiłkiem kulturalnym. Kadry tłumaczy naszych pisarzy na języki narodów radzieckich rosną i sięgają po co raz nowe materiały tekstowe.

W jednym ze styczniowych numerów popularnego, masowego pisma satyrycznego Ukrainy Radzieckiej, „Perec" (n-r 2 br.) M. Pryhara daje doskonały przekład satyrycznego wiersza Boya — „Spowiedź poety". Nie ograniczając się jedynie do podania tekstu przekładu, tłumacz nawiązując do dziesięciolecia morderstwa, popełnionego przez hitlerowców na grupie profesorów lwowskich, wśród których znajdował się Boy, charakteryzuje jego działalność i znaczenie dla rozwoju polskiej literatury, jako tego, który „nadzwyczaj przekonywająco i ostro atakował wszystko stare, spróchniałe i reakcyjne".

(kl)

Najszerszy nurt tematyczny

Klasycy burżuazyjnej wiedzy o prasie byliby w wielkim kłopocie co do sklasyfikowania pewnych g a t u n k ó w we współczesnym pisarstwie radzieckim. W tym czasopiśmienniczym oczywiście.

Wielkie bitwy, prowadzone i kierowane przez dobrze zorganizowane sztaby, pozostawiają po sobie suche i rzeczowe dzienniki działań. Wielkie dzieje współczesne tworzenia nowej geografii wespół z nowymi źródłami energii powodują, że „dzienniki działań" nabierają epickiej wymowy i że nasycone są pasją, namiętnym rytmem walki, entuzjazmem. Powstaje nowy gatunek czasopiśmienniczy — z a p i s u l i t e r a c k i e g o — jeżeliby ktoś chciał koniecznie ustalać nazwy. W miesięczniku „Znamia" z numeru na numer w skromnie zatytułowanym dziale „Publicystyka" pisarz radziecki dokonuje odkryć tematycznych i opisowych; obok uczony — (choćby w n-rze 5-tym br. członek Akademii W. Żelichowski) — opowiada o skomplikowanych procesach produkcyjnych językiem tętniącego życiem reportażu; leningradzki miesięcznik „Zwiezda" prowadzi stały dział — „Wielkie budowle komunizmu" — w ostatnich trzech tylko numerach czasopisma wypowiadali się na łamach tego działu Szarapow, Iwin, Granin, Dubinin i wielu innych. Szczególnie zwraca uwagę opowieść-reportaż Granina o młodzieży robotniczej, która nie odrywając się od prac budowlanych studiuje w instytutach i szkołach technicznych („Studenci", „Zwiezda", nr 5 br.) „Nowyj Mir" rejestruje kształtowanie się teraźniejszości w dziale „Szkice z naszych dni". Bogaty katalog nazwisk współpracowników tego działu, znów w rubryce zawodu wykaże rozpiętość profesji od uczonego poprzez pisarza do szeregowego robotnika. A przecież — pasja tematyczna, dynamika obrazowania i bojowa postawa — łączy ich wszystkich.

To, że dzienniki czy tygodniki (zresztą nie wszystkie) prowadzą stałe działy łączności z czytelnikiem, nie jest już niczym nowym. Przykładem godnym naśladownictwa jest utrzymywanie dyskusyjnej trybuny w pismach typu naszej „Twórczości", w t. zw. „grubych czasopismach". Radzieckie czasopisma - miesięczniki wprowadziły trybuny dyskusyjne dla czytelnika, wciągając go w rzeczywisty nurt problematyki artystyczno - społecznej i uważnie rejestrując o p i n i e czytelnicze. Wypowiedzi dotyczące literatury, teatru, plastyki, filmu, są niezwykle ciekawe i pozwalają na stwierdzenie stopnia, w jakim odbiorca masowy artystycznej produkcji jest zainteresowany w tematycznych i formalnych osiągnięciach autorów. Charakterystycznym przykładem jest wypowiedź A. Czlenowa („Nowyj Mir", nr 5 br.) z okazji wystawy plastyki radzieckiej r. 1951. Zebrał on około tysiąca listów i wzmianek prostego widza. Z nich przytacza i — co ważniejsze — o m a w i a ponad czterdzieści. „Jest rzeczą niewątpliwą, że widz masowy posiada swój program wymagań... Malarze nie zawsze biorą to pod uwagę..." — kończy swoje wywody. Znaczenie wychowawcze takiej stałej ankiety nie wymaga komentarzy: wyjdzie na dobre malarzowi i widzowi.

(lk)

Z TYGODNIA

W KRAJU

OGÓLNOKRAJOWA NARADA BIBLIOTEKARZY

poświęcona zagadnieniom czytelnictwa, odbyła się w dn. 29 — 30 V. Sekretarz KC PZPR E. Ochab w przemówieniu swym wskazał na odpowiedzialne zadania, stojące przed bibliotekarzami i aktywistami czytelnictwa — żołnierzami rewolucji kulturalnej. „Szczególną wagę—powiedział m. in. — należy zwrocić na rozwój pracy bibliotekarskiej na wsi i wśród młodzieży". Podstawowy referat pt. „Zadania bibliotekarstwa polskiego" wygłosił wicemin. Sokorski. O upowszechnianiu czytelnictwa przez biblioteki mówił nacz. Kozioł. W dyskusji zabierali głos bibliotekarze, literaci, aktywiści czytelnictwa z całego kraju, oraz przedstawiciele wydawnictw. W liście do Prezydenta Bieruta zebrani zobowiązali się tak prowadzić i usprawniać swoją pracę, aby książka, dobra książka, niosąca prawdę i piękno, pogłębiająca wiedzę, porywająca do wielkich czynów — znalazła się w rękach milionów ludzi miast i wsi. Podczas obrad, 11 przodujących bibliotekarzy i działaczy na polu upowszechniania czytelnictwa zostało odznaczonych Krzyżami Zasługi.

ZORGANIZOWANIE PAŃSTWOWEGO OŚRODKA KSZTAŁCENIA BIBLIOTEKARZY

5 liceów bibliotekarskich, 2 katedry bibliologii, oraz specjalizacji bibliotekarskiej na 7 uniwersytetach— stworzyło podwaliny pod systematyczne szkolenie kadr dla naszego bibliotekarstwa.

DLA UCZCZENIA 80 ROCZNICY ŚMIERCI STANISŁAWA MONIUSZKI

Opera Wrocławska wystąpiła z premierą dwóch dzieł kompozytora — jednoaktowej opery „Flis" i mało znanego dotychczas baletu „Na kwaterunku". Partytura tego baletu została na podstawie manuskryptu Moniuszki zrekonstruowana przez dyrygenta opery W. Orlickiego, który przygotował utwór muzyczny. Opracowania choreograficznego dokonał Z. Patkowski.

„SZTUKĘ R. VAILLANDA „PUŁKOWNIK FOSTER PRZYZNAJE SIĘ DO WINY"

włączyliśmy do planu repertuarowego naszego teatru i dołożymy wszelkich starań, aby jak najszybciej i jak najlepiej zaprezentować ją naszym widzom w polskim języku, w sposób godny jej wielkiej wartości ideowej i artystycznej". — piszą w liście do zespołu Theatre l'Ambigu w Paryżu artyści i pracownicy techniczni Teatru Polskiego i Kameralnego w Warszawie. List ten został odczytany na specjalnym zebraniu zespołu obu teatrów. Zebrani dali wyraz swemu oburzeniu z powodu aresztowania J. Duclos i A. Stila oraz zaprotestowali przeciw szykanom, na jakie narażony jest postępowy teatr we Francji.

ZA TWÓRCZOŚĆ ARTYSTYCZNĄ DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

zostały przyznane w związku z Międzynarodowym Dniem Dziecka doroczne nagrody Prezesa Rady Ministrów. Nagrody przyznano: w dziale literatury — Lucynie Krzemienieckiej, w dziale plastyki — J. M. Szancerowi, w dziale muzyki — F. Rybickiemu. Ponadto jury postanowiło wyróżnić Zofię Marchlewską za książkę pt. „Z pięciu miast", która zapoznaje młodego czytelnika z postacią Juliana Marchlewskiego.

W DNI OŚWIATY KSIĄŻKI I PRASY

z inicjatywy Komisji Imprez Literackich przy ZG ZLP wzięło udział w akcji wyjazdów w teren na spotkania z czytelnikami 124 literatów, którzy uczestniczyli w 112 spotkaniach. Akcją wieczorów autorskich były objęte instytucje, szkoły, biblioteki i zakłady pracy tak na terenie Warszawy, jak i poza Warszawą.

ZNANY CHOPINOLOG

Bronisław Edward Sydow zmarł w Warszawie. Sydow był autorem wielu prac związanych z życiem i twórczością Chopina. Należał do najczynniejszych członków Zarządu Instytutu Fryderyka Chopina, obecnie — Towarzystwa Chopina.

299.391 OSÓB ZWIEDZIŁO WYSTAWĘ OŚWIECENIA

w Muzeum Narodowym w Warszawie. Wystawa została zamknięta 1 bm.

ZA GRANICĄ

WIELKI KONCERT KU CZCI MONIUSZKI

odbył się w moskiewskim Konserwatorium 4 b. m. — w 80 rocznicę zgonu kompozytora. Państw. Wyd. Muzyczne ZSRR wydało zbiór partytur Moniuszki oraz zbiór artykułów o jego twórczości. W czasopiśmie „Sowietskaja Muzyka" ukazał się artykuł znanego muzykologa Igora Bełzy pt. „Moniuszko w Rosji". Autor wskazuje na więzy przyjaźni łączące kompozytora polskiego z wybitnymi klasykami muzyki rosyjskiej.

POPIERSIE MONIUSZKI

wzniesiono na jednej z ulic Wilna dla uczczenia jego pobytu w tym mieście.

POLSKIE FILMY W 40 KINACH MOSKWY

— już w pierwszym dniu Festiwalu Filmów Polskich w ZSRR, obejrzało filmy polskie w samej tylko Moskwie 100 tys. osób. „Litieraturnaja Gazieta" zamieściła wywiad ze St. Albrechtem, kierownikiem delegacji filmowców polskich, która przebywa obecnie w ZSRR. Poza prezesem CUK, St. Albrechtem, w skład delegacji wchodzą: L. Wojtyga — wiceprezes CUK, reżyserzy A. Ford i J. Rybkowski, operator filmowy W. Forbert, red. nacz. Biura Scenariuszowego D. Gromb oraz aktorzy: A. Śląska, D. Szaflarska, Cz. Wołłejko i T. Łomnicki.

„FARAON" PRUSA

w przekładzie rosyjskim J. Tropowskiego ukazał się w nakładzie 30 tys. egz. w Związku Radzieckim.

VII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY

rozpoczął się 29 maja w Czechosłowacji. Udział w festiwalu bierze m. in. zespół „Mazowsze". Na pierwszym występie „Mazowsza" w miejscowości Liberec było obecnych 20 tys. widzów.

CZECHOSŁOWACKIE NAGRODY POKOJU ZA R. 1951

za wybitne osiągnięcia w dziedzinie literatury, plastyki i muzyki przyznano: kompozytorowi D. Kardoszowi za „Kantatę Pokoju", pisarzowi K. Konradowi za książkę pt. „Przejazdem przez nową Polskę", pisarzowi F. Kubce za książkę pt. „Krótkie opowiadania dla pana Trumana" oraz malarzowi F. Pelcowi za rysunki o tematyce związanej z walką o pokój.

„HALKĘ" MONIUSZKI

wystawił Teatr Opery w Cluj (Rumunia).

WYSTAWA GRAFIKI I RYSUNKÓW T. KULISIEWICZA

została otwarta 31. V. w brukselskim Pałacu Sztuki. Na otwarcie wystawy, przeniesionej do Brukseli z Paryża przyjechał z Polski T. Kulisiewicz.

WOJCIECH BYLINA

Remont starej trumny

Wiadomo powszechnie, że robienie i doszukiwanie się tak zwanych analogii historycznych jest zabawą interesującą, ale... tylko zabawą, bo „historia nigdy się nie powtarza" itd. itd.

A jednak... A jednak trudno opędzić się tak przecież niedawnym wspomnieniom okresu przedwrześniowego. Trudno nie robić porównań, nie doszukiwać się analogii. Zaiste, trudno satyr nie pisać...

O czym? O kim? O tak zwanych (pożal się boże) politykach obozu zachodniego.

Na czym polegał ich „wielki plan", który doprowadził do drugiej wojny światowej? Polegał na ustępowaniu wobec reakcyjnych, szowinistycznych, odwetowych Niemiec hitlerowskich, które karmiono ludzkim mięsem, wychodząc z założenia, że mięso to nie jest przecież ani francuskie, ani brytyjskie, ani tym bardziej amerykańskie. Karmiono po to, aby — wtuczone— ruszyły na wschód, na Związek Radziecki. Karmiono mięsem hiszpańskim, czechosłowackim, polskim wreszcie, licząc na to, że Hitler zostanie żandarmem Europy i rozprawi się z państwem robotniczo-chłopskim.

A jak się stało? Stało się tak, ze Hitler planował marsz na ZSRR, tylko nie w roli żandarma, lecz hegemona Europy. Dlatego przed czerwcem roku 1941 był najazd i na Francję, i na Belgię, i na Holandię, i na Danię, i na Norwegię, było bombardowanie Londynu, była ucieczka brytyjska z Dunkierki. Był gorzki zawód Chamberlaina, Daladier i spółki.

Na czym polega ich „wielki plan" dzisiaj? Polega na zbrojeniu Niemiec adenauerowskich. Na ustępowaniu reakcyjnym, szowinistycznym, odwetowym Niemcom zachodnim, które znów chcą się nakarmić ludzkim mięsem, wychodząc z założenia, że będzie to tylko mięso polskie, czechosłowackie, radzieckie. Z założenia, że nie będzie to mięso francuskie, brytyjskie ani tym bardziej amerykańskie. Z założenia, że Niemcy zachodnie, w roli żandarma amerykańskiego, ruszą na wschód, na Polskę, na Czechosłowację, na Związek Radziecki.

Analogia — jak dotąd — jest zupełna.

A jak się dzieje? Dzieje się tak, że przywódcy Niemiec zachodnich chcą wprawdzie pójść na wschód, ale — podobnie jak Hitler — nie w roli żandarma. Pierwsze jaskółki tego stanowiska już można dostrzec. Oto nazajutrz po podpisaniu sławetnego układu Acheson-Eden-Schumann-Adenauer komentator rozgłośni hamburskiej Walter Steigner powiedział wyraźnie i dosłownie:

„...Układ podpisany dopiero co jest w każdym razie lepszy niż jego poprzednik — statut okupacyjny. Zrozumiałe jest samo przez się, że my, Niemcy, wolimy mieć do czynienia z poszczególnymi rządami i ich ambasadorami, niż z jednolitym frontem trzech sojuszników zachodnich, w którym Francuzi mają większy wpływ, niż to odpowiadałoby ich pozycji jako mocarstwa"...

Mamy tu wyraźną zapowiedź: neohitlerowskie Niemcy zachodnie już ukazują swój „sojuszniczy" stosunek do współsygnatariusza bandyckiego układu, rządu Francji. O Wielkiej Brytanii na razie milczą, bo przecież Hitler też nie wszystko załatwiał od razu, tylko po kawałku.

Zaślepieni przez nienawiść do Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, przedwojenni politykierzy Europy zachodniej, wyciągnięci z grobów i zgalwanizowani przez władców Ameryki, prowadzą dzisiaj pod kierownictwem i dyktandem tych ostatnich politykę, która podobna jest kubek w kubek do polityki przedwojennej. Ci sami gracze, te same cele, nawet chwyty nie bardzo się zmieniły.

Ale zmieniła się w sposób zasadniczy sytuacja światowa, w której widma imperialistyczne usiłują straszyć. I tutaj mamy koniec analogii.

Władcy świata zachodniego niczego się nie nauczyli, wszystko zapomnieli. Ale wykreślenie faktów z pamięci nie przekreśla samych faktów.

Pragną oni stworzyć armię neohitlerowską. Ale pozostaje faktem, że prawdziwa, doskonale wyszkolona armia hitlerowska, już próbowała raz. Kośćmi żołnierzy tej zbójeckiej armii usłana jest cała droga od Stalingradu do Berlina. Oni — Amerykanie, Anglicy, Francuzi z górnych, rządzących sfer — mają może krótką pamięć i zapomnieli, ale naród niemiecki jeszcze długo pamiętać będzie, ile go kosztowała wyprawa na wschód. Nie zapomniały też narody Francji, Anglii, Włoch.

Marzą o tym, co się nie udało Hitlerowi w stosunku do osamotnionego Związku Radzieckiego, który rozbił Niemcy hitlerowskie w strasznym spotkaniu jeden na jednego. Marzą o zlikwidowaniu całego świata socjalizmu dzisiaj, kiedy obóz socjalizmu, zjednoczony w obronie pokoju wokół Związku Radzieckiego, liczy 800 milionów ludzi, połączonych wspólną ideą, a nie odgrodzonych od siebie żadnymi morzami.

Marzą o tym dzisiaj, kiedy imię Związku Radzieckiego jest tak popularne na świecie, jak nie było nigdy przedtem. Dzisiaj, kiedy imię Stanów Zjednoczonych — motoru zaborczej koalicji — jest tak znienawidzone, jak nigdy przedtem nie było.

Remontują starą, rozbitą trumnę, niepomni tego, że sami w niej leżą.

Wojciech Bylina

NIEZNANE LISTY MONIUSZKI

(Dokończenie ze str. 2-ej)

przesiadywać dla pilnowania nudnej sprawy, która od lat czterech odsądzając mnie od całego funduszu, każe mi się troszczyć o mój los niezdecydowany. W takim położeniu pojmujesz Pan jasno, że mi wcale nie było do muzyki, i silnej potrzeba było pobudki, ażeby mnie z letargu obudzić. To były słowa Pana, które mi się stają najdroższą nagrodą, do jakiej wzdycham, jaką jedynie osiągnąć pragnę, pozwolę sobie tylko ująć się za połajaną publiczność naszą, od której prawdziwie, że aż nad moje spodziewanie dobrze jestem przyjęty.

Długie zwlekanie się, wydania mojego dziełka dało mi czas do zebrania materiałów do drugiego tomu, który w tej chwili w Wilnie już jest pod prasą. Znowu więc go polecam... Jego uwadze, bo tej prawdziwie od początkującego swojego zawodu winien jestem największą zachętę. Skład jego mało się będzie od pierwszego różnił. Znajdzie się tam ze znaczniejszych rzeczy: „Magda Karczmarka", ballada E. Stürmen powierzona mi przez autora...

W czasie mojej bytności w Petersburgu, nowy „Dziad i baba", Dycalpa, zupełnie różny od niescenicznej powiastki Pańskiej, z drobnych rzeczy sformował się oddziałek Mazurków i Krakowiaków. W ogóle śpiewów będzie dwadzieścia kilka. — Daruj mi Pan proszę, że go utrudzam tymi zwierzeniami, ale prawdziwie sam Pan siebie naraziłeś na tę nieproszoną korespondencję, której cel miał być tylko wynurzenie wdzięczności i głębokiego uznania, z jakowym zostaję

najniższy sługa

S. MONIUSZKO

1844 r. m. Lipca 12 d. Mińsk.

Na tym liście przerywa się korespondencja S. Moniuszki z Kraszewskim. Zostanie ona nawiązana dopiero w latach pięćdziesiątych. Listy te mają duże znaczenie przede wszystkim ze względu na genezę kształtowania się postępowych poglądów artystycznych kompozytora. Odzwierciedlają one również pionierskie zasługi pisarza wobec wprowadzenia twórcy „Halki" na teren sztuki narodowej.

Stefan Świerzewski

OSTATNIE NOWOŚCI

WYDAWNICTW KOMUNIKACYJNYCH

WARSZAWA
ul. Kazimierzowska 52
tel. 400-60/4

TUSZYŃSKI B. inż. — Poradnik dla torowego i dróżnika w pytaniach i odpowiedziach. Str. 484, format A5 Nakład 3.100 egz. Cena zł 52.—

BARTIENIEW P. W. dr nauk. techn. — Stacje i węzły kolejowe. Tłumaczył z ros. inż. Gustaw Ejsmont. Str. 424, format B5. Nakład 3.000 egz. Cena zł 40.—

HUCKEL S. mgr inż. — Budowle Morskie. Tom I. Str. 351, format B5. Nakład 2.000 egz. Cena zł 70.—

KRAJEWSKI M. inż. — Obliczenia sieci wodociągowej i urządzeń pompowni na kolejach. Wyd. II. Str. 200, format A5. Nakład 4.000 egz. Cena zł 39.—

HORNIAK E. i WĄDOŁOWSKI K. — Drużyna konduktorska. Str. 384, format A5. Nakład 19.000 egz. Cena zł 18.—

JACYNA W. mgr inż. — Obliczenia objętości robót ziemnych. Str. 208, format B5. Nakład 7.000 egz. Cena zł 30.10

ORŁOW W. N. i CZUDOW A. S. — Obrachunek i analiza kosztów własnych przewozów kolejowych. Tłumaczył Jan Męciński. Str. 276, format A5. Nakład 3.050 egz. Cena zł 42.—

PODOSKI ROMAN — Trakcja Elektryczna. Tom I. Str. 536, format B5. Nakład 5.000 egz. Cena zł 55.—

PRACA ZBIOROWA pod redakcją mgr. inż. TADEUSZA TILLINGERA Tom II. Drogi wodne. Str. 462, format A5. Nakład 5.000 egz. Cena zł 39.80

TREPKA JERZY — Język rosyjski dla marynarzy. Str. 120, format A5. Nakład 4.000 egz. Cena zł 12.—

TREPKA JERZY — Język angielski dla marynarzy. Str. 120, format A5. Nakład 4.000 egz. Cena zł 16.—

WIENIAWSKI W. — Opisy techniczne samochodów. Tom I. Str. 492, format A5 Nakład 6.000 egz. Cena zł 51.20

NALESZKIEWICZ J. — Obliczenie drgań kadłubów okrętów Str. 148, format B5 Nakład 2.150 egz. Cena zł 65.—

W/w książki można nabyć w księgarniach techniczno - gospodarczych C. O. K. „Dom Książki".

Instytut Wydawniczy „NASZA KSIĘGARNIA"

		str.	zł
KSIĄŻKI DLA DZIECI			
M. KONOPNICKA	— Co słonko widziało	151	26.45
J. PORAZIŃSKA	— Kopciuszek	55	21.20
J. PORAZIŃSKA	— Bajdurki	108	14.—
J. PORAZIŃSKA	— Za górami, za lasami	172	16.50
W. BANDROWSKI	— Opowieści dolnośląskie o Liczyrzepie	106	13.65
Wł. KOZŁOWSKI	— Klub 402	136	6.—
Z. ZAORAL	— Wesołe trzy po trzy, dla naszych najmłodszych	56	9.50
A. GAJDAR tłum. A. Watt	— Timur i jego drużyna	104	3.50
J. DIK tłum Z. Łapicka	— Ognisty potok	184	9.—
B. JEMIELIANOW tłum J Brzechwa i M. Górska	— Opowiadania o Gajdarze	164	6.95
I. WASILENKO tłum. St. Artowski	— Koguciki	148	7.50
A. MALIŃSKA tłum. H. Bayerówna	— Nasz Adamek	67	4.80
KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY			
A. DYGASIŃSKI	— Wybór nowel	263	14.10
H. SIENKIEWICZ	— Szkice węglem	304	16.20
Wł. ORKAN	— Wybór nowel	144	10.50
L. RYDEL	— Ferenike i Pejsideros	92	11.70
Wł. ŁOZIŃSKI	— Opowiadania Imć Pana Wita Narwoja, Rotmistrza Konnej Gwardii Koronnej	260	13.20
BIERNAT z LUBLINA	— Żywot Ezopa Fryga	80	6.—
K. STANIUKOWICZ tłum. R. Niewiadomski	— Opowiadania morskie	293	11.50
T. GAUTIER tłum. W. Natanson	— Kapitan Fracasse	450	19.40
M. JAKOWLEW tłum. Furmanik	— Roald Amundsen	265	10.50
SUDRABU EDZUS tłum. T Harley	— Dauka Cudak	80	5.80
M. SADOVEANU tłum. Zakrzewski	— Droga do Harlau	76	2.50
J. FUCZIK tłum. H. Gruszczyńska-Dubowa	— O bohaterach i bohaterstwie	338	19.—
S. WORONIN tłum. M. Kowalewska	— Szeroka droga	230	11.—
M. SIZOWA tłum. M. Kowalewska	— Łomonosow	427	22.50
DZIAŁ POPULARNO-NAUKOWY — KSIĄŻKI ROZRYWKOWE			
Cykl: Biblioteka Młodego Technika			
Z DĄBROWSKI	— Nasz warsztat	62	3.85
Z. DĄBROWSKI	— Budujemy stację meteorologiczną	21	1.25
J. KOWALSKI	— Robimy sami radioodbiorniki	75	2.65
J. NIEBOJEWSKI	— Budujemy silniczek elektryczny	40	2.—
R. ORLEWSKI	— Od probówki do fabryki	51	2.50
L. WIŚNIEWSKI	— Budowa modeli kolejowych część I		
	— Lokomotywy elektryczne	65	3.60
Cykl: Bawimy się i uczymy			
K. ARTYNIEWICZ i W. SZULC	— Brygada Zapalczaków	40	3.60
E. RUBINOWICZ	— Bumerang	19	1.25
E. RUBINOWICZ	— Kalejdoskop	16	1.80
E. RUBINOWICZ	— Stroboskop	20	2.—
Cykl: Czarodziej w świetlicy			
K. ARTYNIEWICZ i W. SZULC	— Teatrzyk na patyku	13	3.20
K. ARTYNIEWICZ i W. SZULC	— Zabawki i gry świetlicowe	30	1.40
Z. DĄBROWSKI	— Zabawki majstra Śrubki	48	1.05
Z. DĄBROWSKI	— Pomyśl — zgadnij	31	1.15
Z. GORCZYCKA	— Zagadki	45	1.50
E. RUBINOWICZ	— Każdy snadnie to odgadnie	23	1.—
E. RUBINOWICZ	— Spróbuj, czy potrafisz	32	1.20

Do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"

JULIAN TUWIM

Nowe fraszki

ODPOWIEDŹ

„Agent"? Ależ tak! Agent, oszczerco łaskawy!
Agent — ale bezpłatny i szlachetnej sprawy.
A tobie — dzicz bankierska daje na wydatki
Ze szkatuły, co zbrci morderców twej matki.

DO LONDYŃCZYKA

Tak jest, durniu! Na Śląsku przebywa już stale
Milion dzikich Chińczyków. To najgorsza z plag.
Wodzem ich jest Kitajec — straszny PA FA WAG
Z długim warkoczem...

Powieś się na nim, bęcwale!

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA
czyli o nauczycielu gramatyki deklamującym „Panią Twardowską"

Gdy wszedł na estradę, był blady, speszony...
Coś szeptał... Dosłyszałem ten szept przestraszony:

„Ja jem, piję, lulkę palę,
Ty jesz, pijesz, lulkę palisz,
On, ona je, pije, lulkę pali.
My jemy, pijemy, lulkę palimy,
Wy jecie, pijecie, lulkę palicie,
Oni, one..."

I teraz jak nagle nie wrzaśnie! — :

JEDZĄ, PIJĄ, LULKI PALĄ!!!

I już mu aż do końca poszło jak po maśle...

MISTYK

Idzie Mistyk! Anathema!
Kto on? Jest to ślepy, głuchy,
Skryty pod maskami trzema
Tudzież z obwiązaną głową
W sztok urżnięty facet, który
W czasie wichru, zawieruchy,
W czarną noc bezksiężycową,
W domu pustym i ponurym,
W przeraźliwie wielkiej sali,
Bez drzwi, okien, wyjścia, wejścia
(Cień by się tam nie prześliznął,
Gdyby, dajmy na to, wejść chciał),
W sali, której czarne ściany
Czarnym pluszem są obite,
A podłogi wyścielane
Czarnym, miękkim aksamitem —
Facet, który w takiej sali
(Anathema! Anathema!)
Złapać chce czarnego kota,
Którego tam wcale nie ma.

Rys. Jan Lenica

RÓŻA

Przypatrując się jej kształtom,
Barwie, płatkom, pączkom, listkom,
Nawet cieniom — myślę: gwałtu!
Jakież to prześliczne wszystko!

Jakież to bez skazy wszystko!
Jaka w niej perfekcja sroga
Różo, różo, formalistko!
Różo, różo, bój się Boga!

PIESEK

— „Ja jestem pieskiem księżny Pleplewskiej" —
Rzekł do mnie pewien piesek rozmowny —
„Wspaniałe życie! I wikt cudowny.
A pan szanowny czyim jest pieskiem?"

DO PEWNEJ ARCYDAMY W KRAKOWIE

Ten pani gniew rozjątrzony, łaskawa pani,
Ma precedensy — dawniejsze niż gród Krakusa,
Tak samo rzymskie matrony, łaskawa pani,
Nienawidziły pierwszych wyznawców Chrystusa.
Nie znając bomb atomowych, łaskawa pani,
Lwy i tygrysy judziły te wściekłe babska!
One by Rząd Chrystusowy, łaskawa pani,
Żywcem upiekły, gdyby dostały go w łapska!

ANTONI SŁONIMSKI

Za mało i za dużo

Tematem narad dwudniowych w Związku Literatów ma być stosunek naszego piśmiennictwa do zagadnień współczesnych. Daje się bowiem zaobserwować wyraźna ucieczka od tematyki aktualnej. Niepokojące zwłaszcza są masowe wycieczki pisarzy w poszukiwaniu postaci historycznych. Temat historyczny, zwłaszcza w teatrze, ułatwia zadanie pisarzom, którzy niewiele mają do powiedzenia, lub którzy nie umieją lub nie chcą wyjść naprzeciw problemom dnia dzisiejszego. Historia daje fabułę i charakter głównych postaci. Autor skleci parę obrazków z epoki i sprawę uważa za załatwioną.

Jest rzeczą charakterystyczną, iż wybiera się postaci najmniej kontrowersyjne i uznane za pozytywne w naszej przeszłości a więc najwygodniejsze jako ucieczka przed problematyką żywą. Powstają więc sztuki o Reju, o Kochanowskim, o Koperniku, Staszicu, Kołłątaju, Bogusławskim. Tylko patrzeć jak będziemy mieli komedię muzyczną o Dekiercie i operę o biskupie Krasickim. Ponieważ pisarze wywiedzieli się, które z postaci historycznych uznane zostały przez krytykę marksistowską za pozytywne, idąc po tej linii, sięgną niebawem do epoki pozytywizmu warszawskiego i obdarują nas sztukami o Orzeszkowej i Prusie, albo komedią z tańcami góralskimi na temat Chałubińskiego.

Prowadzi to często do osobliwych nieporozumień artystycznych. Czytałem parę fragmentów poetyckich sztuki Maliszewskiego o Kochanowskim. W sztuce tej Kochanowski mówi wierszem Maliszewskiego. Wolałbym, żeby było odwrotnie. Jeszcze pół biedy jeśli chodzi o parę Maliszewski — Kochanowski, ale gorzej będzie, gdy Brandstaetter napisze sztukę o Mickiewiczu i Mickiewicz będzie mówił ze sceny wiersze Brandstaettera.

Warto by przynajmniej wprowadzić zasadę, że sztuki o poetach powinny być pisane prozą. Byłby to bądź co bądź pewien objaw poszanowania dla wielkich poetów przeszłości.

Gdy jedni pisarze uciekają w przeszłość zdarzył się odosobniony przypadek ucieczki w przyszłość i to do tego na inną planetę. St. Lem napisał zajmującą powieść dla młodzieży „Astronauci", której akcja rozgrywa się na planecie Wenus. Rozpętała się wokół tej powieści dyskusja zataczająca kręgi międzyplanetarne. Recenzentka tej powieści tak sformułowała swój najważniejszy zarzut: „To samo tyczy i sprawy Wenusjan: zarzucam Lemowi, że giną oni dlatego, że napadli na ziemię, a nie dlatego, że żyją w określonym antagonistycznym społeczeństwie".

Jak widzimy antagonizmy społeczne obowiązują na przestrzeni całego systemu słonecznego. Dowiedzieliśmy się również, że stosunki antagonistyczne doprowadzają do zagłady gatunku. Nie bez powodu Paweł Hoffman ostrzegał parokrotnie naszych pisarzy przed wulgaryzacją marksizmu. Warto by również przypomnieć, że brak poczucia proporcji i brak poczucia śmieszności jest również poważnym mankamentem.

Uwagi moje na temat sztuk historycznych nie mogą się oczywiście stosować do każdej sztuki o tematyce historycznej. Ale wydaje mi się, że schodzić do historii należy po to, aby z niej wynieść na światło dnia zagadnienia i konfrontacje ważne dla człowieka naszej epoki. Jeśli zaś chodzi o powieść fantastyczną, to pewien jestem, że znaczenie takich powieści jest niedoceniane. Powieść fantastyczna a raczej powieść na tematy przyszłościowe pobudzać winna imaginację młodzieży, dawać pokarm marzeniom, pokazywać najdalsze drogi i cele budowy socjalizmu i komunizmu, malować świat przyszły, świat człowieka wyzwolonego.

Mitologia naszych wierzeń nie musi uciekać się do sił nadprzyrodzonych, żyjemy bowiem w czasach, gdy fizyka bardziej działa na wyobraźnię niż metafizyka. Depesza w gazecie dystansuje legendy biblijne, jakże bowiem skromnie wygląda opowieść o wodzie, którą Mojżesz wypuścił ze skały, wobec połączenia Wołgi z Donem, wobec tych potężnych strumieni nowej rzeki, która tworzy nie tylko nową arterię komunikacyjną, ale zmienia ogromne przestrzenie stepów bezwodnych na ziemie żyzne, która przeobraża florę obszarów większych od niejednego państwa europejskiego.

Połączenie Wołgi z Donem jest dość piękne jako rzeczywistość i obejdzie się bez złych wierszy. Lękam się jednak, że fakt ten stanie się przyczyną zalewu naszej rodzimej grafomanii, upustu wody poetyckiej, która niczego nie zmieni ani niczego nie użyźni.

Nadmiar wierszy okolicznościowych w naszej prasie jest zjawiskiem nie mniej niepokojącym niż odwracanie się wielu pisarzy od problematyki współczesnej. Zła propaganda jest antypropagandą. Zły wiersz okolicznościowy nie jest pozycją obojętną ale pozycją szkodliwą. Wobec zdarzeń tragicznych jak śmierć skazańców greckich czy los ludności Korei obowiązywać musi pisarza prawdziwy stosunek uczuciowy i prawdziwa solidarność walki. Obowiązywać musi prawdziwy gniew przeciw faszyzmowi. Martwo urodzone deklaratywne elukubracje są obrazą dla naszej wspólnej sprawy.

Warto by ograniczyć poważnie ilość miejsca poświęconego poezji, zwłaszcza w pismach codziennych i tygodnikach nieliterackich. Wytworzył się dość osobliwy proceder szmuglu towarów wierszowanych. Najłatwiej przekraść się przez granicę do kraju poezji, tam gdzie ta granica najmniej jest strzeżona. Redaktorzy pism codziennych i przeróżnych tygodników warszawskich i prowincjonalnych chętnie łatają dziury lub wykręcają się sianem czyli złym wierszem deklaratywnym, tam gdzie trzeba napisać z sensem o jakimś ważnym zdarzeniu politycznym.

Przyzwyczajono czytelników, że wiersz może nie mieć sensu. Niedawno jeden z naszych czołowych poetów opublikował wiersz, w którym przez omyłkę w maszynopisie wypuszczono jedną linijkę odbierając całkowicie sens zakończeniu wiersza. Nie zauważył tego redaktor, bo przyzwyczaił się, że w utworach wierszowanych może nie być sensu. Sekretarz redakcji przeczytał i stwierdził, że w danym fragmencie nie ma sensu, co uznał za stan naturalny.

Oczywiście redakcje pism literackich mogą popełniać podobne błędy lub też mogą mylić się w ocenie nadsyłanych poezji, ale w każdym razie jest tam jakiś fachowy stosunek do poezji i stosowane są jakieś kryteria. Któż jednak pozwolił redaktorom najrozmaitszych fachowych i niefachowych publikacji dziennikarskich kreować się na sędziów w dziedzinie poezji? Widzimy, że w „Twórczości", gdzie redaktorem jest poeta z prawdziwego zdarzenia, poziom poezji jest wysoki, a jeśli miesięcznik ten wydrukuje czasem utwór zatrącający grafomanią, nie czyni tego nigdy bez dostatecznych powodów natury pobocznej.

Jednym słowem trochę mniej miejsca dla wierszy a trochę więcej dla poezji, trochę mniej szmuglu i szabrowania naszej historii a trochę więcej samodzielności artystycznej, a nade wszystko prawdziwej chęci wzruszenia, przekonania i pozyskania czytelnika.

Antoni Słonimski

GOGOLOWSKIE POSTACIE W RYSUNKU HENRYKA GRUNWALDA

Rysunek do opowiadania „Płaszcz"
Rys. Henryk Grunwald

Dn. 18 maja otwarta została w lokalu Towarzystwa Przyjaźni Polsko Radzieckiej przy ul. Kredytowej wystawa prac Henryka Grunwalda. Pokaz obejmuje 67 rysunków do dzieł Gogola, w tym 18 plansz, które znajdą się w jubileuszowym wydaniu Gogola przygotowywanym przez „Książkę i Wiedzę".

Cykl ilustracji do „Martwych dusz", o którym pisaliśmy w swoim czasie w „Nowej Kulturze", uzupełnił Grunwald obecnie serią szkiców, studiów i plansz przedstawiających bohaterów innych utworów klasyka rosyjskiej literatury: „Ożenku", „Nosa", i in. Spokój, systematyczność, sumienność i wytrwałość, jaka cechuje pracę Grunwalda nad cyklem gogolowskim, jest naprawdę godna pozazdroszczenia. Nie często zdarza się oglądać dzieła plastyczne pozbawione znamion pośpiechu, opracowane we wszystkich szczegółach.

O sumienności autora świadczą szkice i studia pokazane na wystawie, które są właściwie również skończonymi rysunkami swobodnie i ciekawie zaaranżowanymi. Trzeba przyznać, że są one bardziej przejrzyste, nawet żywsze, niż niektóre skończone plansze, w których autor nie ustrzegł się od nieco przesadnej ornamentyki rysunkowej podkreślającej ekspresję postaci.

Grunwald przeprowadził w całym cyklu pewną swoistą koncepcję „psychologicznego portretu" gogolowskich bohaterów. Wiemy, że ta plastyczna interpretacja zmieniała się wielokrotnie w ciągu lat, począwszy od ilustratorów współczesnych Gogolowi. Wydaje się, że koncepcja Grunwalda warta jest przedyskutowania

Ien.

IMPERIALISTYCZNA GEOGRAFIA
(Czasopismo „Look")

Mówiąc, że Eisenhower z żoną mieszkają we Francji, popełnia się pewną nieścisłość. Mieszkają oni w wygodnej amerykańskiej placówce wojskowej, która przypadkowo znajduje się na terytorium francuskim.

John Gunther

EKSKLUZYWNOŚĆ KULTURY
(„Trenton Times", New Jersey)

Instytucja Uniwersytetów prywatnych musi istnieć, ponieważ stanowi najsilniejszą obronę przeciwko argumentom na rzecz masowej oświaty.

Z oświadczenia dr Haralda Doddsa, przewodniczącego uniwersytetu Princeton.

TAKO RZECZE WACŁAW TRZECI...
(Paryska „Kultura")

„Od roku 1943 uznawaliśmy i uznajemy Rosję za wroga nr 1. Od tego czasu Niemcy spadli w hierarchii nieprzyjaciół na plan drugi. Mieliśmy kontakty z Niemcami. Miał je nasz wywiad. Zdarzało się, że Niemcom na wysokich stanowiskach dawaliśmy nasze dokumenty i asystę".

Podpis: Wacław Trzeci, podpułkownik W. P., b. szef oddziału trzeciego sztabu N. S. Z.

TO BĘDZIE ŁATWIEJ

Zapytany o zdanie w sprawie oskarżenia Stanów Zjednoczonych o wojnę bakteriologiczną na Korei, wskutek której zginęło już blisko milion osób, dr Brock Chisholm odpowiedział: „Milion to bardzo mało. Nikt nie stosuje wojny bakteriologicznej aby zabić tylko milion ludzi. Tego można dokonać bombą atomową".

Z wywiadu prasowego udzielonego przez kierownika Światowej Organizacji Zdrowia Narodów Zjednoczonych.

NIE DO WIARY
(New York Times)

Dr Butterick ostrzega przeciwko propagandzie komunistycznej w Indiach: „Rosja mówi o pokoju. My w Ameryce mówimy o wojnie. Tragedia polega na tym, że Indie wierzą i Rosji i nam na słowo".

TEN POWINIEN WIEDZIEĆ NAJLEPIEJ
(Pittsburgh Press)

W dzisiejszym programie (radiowym) usłyszymy przemówienie Johna Foster Dullesa, potępiające podłość szantażystów, którzy oszukują ludzi, pragnących pomagać wzniosłym celom. Oszuści ci przedstawiają się jako agenci, zbierający składki na różne fundusze. Wypowiedź pana Dullesa, demaskująca oszustwa, popełnione w imieniu cierpiącej ludzkości, będzie dziś wygłoszona przed mikrofonem. Pan Dulles jest przewodniczącym towarzystwa dobroczynnego Amerykańskiej Pomocy dla Korei, Sp. Akc.

(G. Bll.)

HISTORIA JEDNEGO FRESKU
(ciąg dalszy)

W (14) numerze „Nowej Kultury" informowaliśmy czytelników o losach fresku „Widmo wojny i sen o pokoju", malowanego na zamówienie swego rządu przez wybitnego malarza meksykańskiego Diego Rivera. Jak wiadomo, fresk ten miał być wystawiony w Paryżu na wystawie meksykańskiej, lecz komisja kwalifikacyjna odrzuciła go jako zawierający „oskarżenia polityczne". W rezultacie Diego Rivera wycofał z tej wystawy wszystkie swoje obrazy. Ale to nie wszystko. W sprawę wdała się prasa amerykańska, między innymi zaś tygodnik „Time", który tak „rozrobił" całą historię, że przerażony rząd meksykański podał natychmiast do wiadomości publicznej, że fresk Rivery nie tylko nie pojedzie na wystawę do Paryża, ale ponadto nie będzie wystawiony w żadnym oficjalnym gmachu ani muzeum meksykańskim.

W odpowiedzi na to oświadczenie Rivera urządził „vernissage" swojego fresku w prywatnym lokalu w czasie którego składano podpisy pod listem protestacyjnym do prezydenta republiki. (Podpis swój złożył także największy obok Portinariego malarz kontynentu amerykańskiego, Siqueiros).

I teraz dopiero epilog w osobie komisarza policji (od czasu paryskiego „Salon d'automne" wiadomo powszechnie, że właśnie tego rodzaju krytycy wyrokują ostatecznie w sprawach sztuki na Zachodzie). W kilka godzin po „vernissage'u agenci policji w cywilu włamali się do lokalu, zerwali ze ściany fresk Rivery i unieśli go w niewiadomym kierunku.

Nie, to nie był jeszcze epilog. Wyraziliśmy się nieściśle. Epilog będzie dopowiedziany przez lud meksykański, który po dokonaniu tego bezprawia przez policję wszczął olbrzymią akcję protestacyjną.

A teraz inna historyjka ale z tej samej beczki. W Meksyku wolność sumienia artysty można już dławić policyjnie, w Paryżu — jeszcze nie, a w każdym razie trochę to nieporęczne. Ostatnio czterech wybitnych malarzy francuskich, bardzo w Ameryce cenionych, nie związanych z żadną partią polityczną, ani ruchem pokoju, podpisało telegram do rządu greckiego z żądaniem uwolnienia Belojannisa. Kilka dni później wysłannik ambasady amerykańskiej złożył wizytę najpoważniejszym paryskim handlarzom obrazów i zakomunikował im, że jeśli nie potrafią wpłynąć na tych malarzy, aby podobne „wyskoki" się nie powtórzyły automatycznie giełda nowojorska zanotuje spadek cen współczesnych płócien francuskich.

Jeśli nie możemy pana na razie zakneblować to może można pana kupić?

MARTWA NATURA

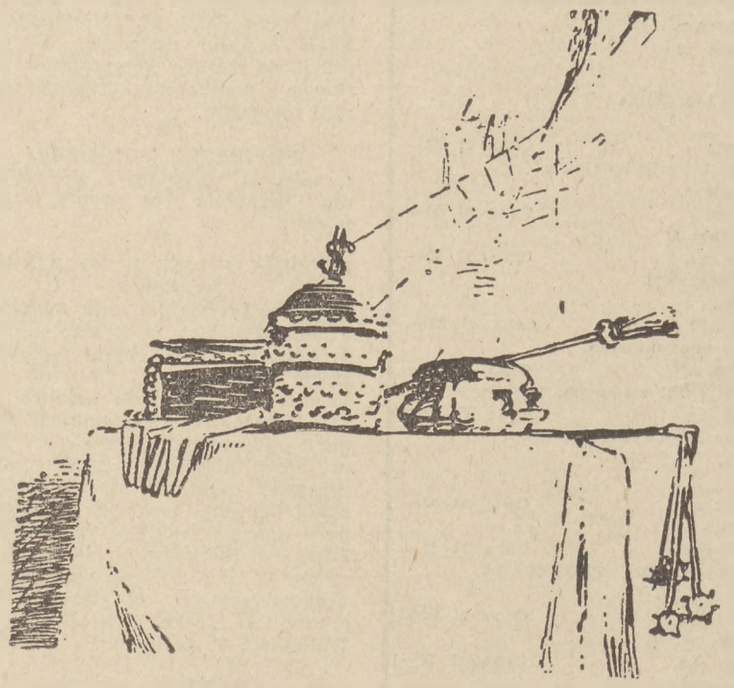

Rys. Walerian Borowczyk

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80 wewn 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch". Oddz. w Warszawie ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25 Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel 7-38-05. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-17232